



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

7115

6.107

Slaw 7115.6.107

**HARVARD COLLEGE
LIBRARY**



**BOUGHT FROM THE
AMEY RICHMOND SHELDON
FUND**

MY I ONI.

MY I ONI

OBRAZEK NARYSOWANY Z NATURY

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.



Nakładem Wydawnictwa „Nowej Reformy“.

—
W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ

pod zarządem L. K. Górskiego.

1902.

Slav 7115.6.107

✓



Było to — niedalej, niedawniej jak w tych krwawych chwilach, których rany jeszcze niezgojone boją, wśród zamętu, który poprzedził wybuch Styczniowy 1863. Na jednej z ulic Warszawy (straszno jest nawet w powieści wymienić ulicę, aby komisya śledcza wszystkich jej mieszkańców nie pociągnęła do protokołu i nie wysłała na Sybir hurtem, nie znalazłszy winnego) spotkało się dwóch ludzi.

Jeden z nich był osiwały, słusznego wzrostu, bladej twarzy, mężczyzna lat pięćdziesięciu kilku; drugi młody, ale jak nasza niemal wszystka młodzież dzisiejszego pokolenia, zwiędły zawczasu, z twarzą okwitłą, zmęczony... W oczach jego płonęła reszta ognia, który niedogorzał w piersi... Z czoła tego nie patrzyły sny młodzieńcze, z ust nie uśmiechały się nadzieje, na sfałdowanej marszczkami czaszce, z której zawczasu włosy wypadły, ucisk napisał zemstę, dyspotyzm wyrzył wyrok śmierci. Było tam bohaterstwo ale niespo-

kojne, namiętne, dopraszające się oręża, walki i zgonu; czuć mogłeś, zbliżając się do tego człowieka, że wiało odeń chłodem konania i gorączką męczeństwa buchało.

Spotkali się, młody przyskoczył i pochwycił dłoń starszego szybko, namiętnie.

— Kość rzucona! — rzekł — robimy powstanie...

— Wy? robicie powstanie? — spytał, uśmiechając się starszy,

— Co znaczy to wy? — odparł gwałtownie, odskakując młody człowiek.

— To wy wiele a bardzo wiele znaczy w istocie, — mówił spokojnie pierwszy — to wy znaczy moją w was niewiarę, znaczy podziw nad zuchwalstwem, nad lekkomyślnością, nad gorączką waszą... to wy, wypowiada że czynicie to, co wasze i nasze siły przechodzi!

— Sceptyki, — uśmiechał się młody — zobaczysz...

— Zobaczę, — rzekł drugi, — zobaczę heroizmy daremne i upadek straszliwy..

Zaczęli iść i powoli zbliżyli się do alei... W alejach szron okrywał brylantami drzewa, a słońce otrząsając je, przeglądało się w tych klejnotach, mających żyć tylko chwilę.

— Mów pan, ciekawym słuchać — odezwał się po chwili blady chłopak.

— Powiem ci myśl moją, ale przeleci mimo twych uszów i serca, bo męczarnie zagłuszyły w was poczucie prawdy, jesteście szaleni boleścią. Tak, mój drogi, powiedziałem *wy* z podziwieniem, bo kraj, bo wy młode latorośle nie jesteście zdolni do tego, na co się porywacie. Uderzcie się w piersi, uderzmy wszyscy, popatrzmy na społeczność naszą okiem chłodnym, bezstronnem, nie Polaka, co kocha aż do zaślepienia wszystko swoje, ale człowieka, który ma sądzić wedle sumienia i rozsądku. Płomienia dosyć w was, ale tylko płomienia... rzucicie nań garść słomy, buchnie ogień wielki i spłonie. Niestety, Niestety! posypmy głowy popiołem, rozedrzyjmy szaty — Polska niema kim, przez kogo zrobić i prowadzić wojny o niepodległość. Nie karabinów nam braknie, ani tych coby je chwycili, mogą się oni znaleźć, znajdą się tacy, co z dobrą poginą wiarą, ale kto będzie prowadził? kto pokieruje? gdzie dłonie? gdzie głowy? gdzie wodzowie?

— Za pozwoleniem! — przerwał drugi — gdzieżeś widział, aby wybuch podobny znalazł gotowych ludzi, wypadki ich wyrabiają... Występują bohaterowie z łona ludu, męczennicy od warsztatów, wodzowie od młotów i siekier...

— Bywa to, — mówił stary wzdychając —
cud i u nas trafić się może, ale chyba cud,
po ludzku sądząc, wy, co się rzucicie do
tej roboty, nie jesteście materiałem do
niej sposobnym...

— O! cierpieć potrafimy!

— Ale nie działać! Złamał was żelazny
despotyzm i trucizna jego powolnie w żyły
wasze wsączona... Patrzę ja okiem ojca na
młode pokolenia i płaczę. Jest gorączka,
niema hartu, jest płochosć i zarozumiałość
olbrzymia, są talenta ale w pieluchach, bo
ich wychowanie nie rozwinęło, bo je za-
dusiła ciemnota... wszyscyśmy jak owe ro-
śliny, co rosły w piwnicy, puściliśmy łodygi,
ale poźółkłe i bezsilne... niemi pniemy się
do okienka więziennego, ale gdy dojdziemy
do słońca, powędniemy...

— Tyś niewiara chodząca! tyś aparat
ostudzający, — rzekł młody człowiek —
człowiek się psuje słuchając ciebie, trzeba
uszy zatykać.

— Z wielkiego narodu — ciągnął dalej
jakby go nie słyszał starszy — pozostały
ruiny wielkie. Chcąc się wybić do niepodle-
głości, trzeba było albo zdziczeć jak Grecy,
albo się zahartować jak Szwajcarowie
ubóstwem, pracą, nauką. U nas ani jednego
ni drugiego nie znajdziesz, jesteśmy wy-
cwilizowani do erdredonu, zepsuci zby-

tkiem, rozmiękli rozpustą wszelaką — jesteśmy pół-oskrobani, niedouczeni, samouki... a gorączkę bierzemy za energią.

— To są występki przeciw narodowi co pan mówisz! każde jego słowo zasługuje na wyrok śmierci... — rzekł młody gwałtownie.

— Wydajcie ten wyrok i zabijcie sobie nieużytecznego starego gadułę — odpowiedział chłodno stary — życia nie pożałuję... ale strach śmierci usta mi nie zamknie i przekonań nie zmieni. Tak, mój drogi drogi, nie dorosiliśmy do tego, aby powstać: szlachty za mało, siedzi na pół w gnoju folwarcznym, pół w salonach zagranicznych, średnia klasa ma chętki, nie ma woli, młodzież ma wolę, a nie ma rozsądku, ma zapał, a nie ma doświadczenia... Tylko wielki naród może się wybić na niepodległość, jednolity, zmężniały... my się nie ludźmy, nie jesteśmy nim — niestety. Być nim możemy, ale pracować nad sobą byśmy powinni.

Patrzę rok — dodał — na to co się u nas dzieje, i codzień mocniej się przekonywam, że to będzie ogień słomiany, jest trochę łuczywa, jest kupa mierzwy — drzewa niema! drzewa niema!

— Panie — wybuchnął młody — strzeż się pan! milcz... nie mów tego...

— Mój kochany — rzekł odsłaniając piersi stary — jeśli ci się podoba uderzyć, — oto masz serce, bije ono powoli, tu... znajdziesz je łatwo, ja się śmierci nie boję, ani od was, ani od bagnetu moskiewskiego... Włosy mi posiwiały w kopalniach Nerczyńskich, nogi mi osłabły od kajdan niewoli, w przyszłość nie wierzę — zabijcie, proszę!

Młody chłopak spojrział nań, drgnął i łza zakręciła mu się pod powieką.

— Z życia — mówił powoli pierwszy — spilem słodczyne wiosenne, zjadłem jesieni pioluny, skwary lata przepaliły mi szpik, przewrzała nim krew w żyłach... nie mam co robić z niedogryzkiem żywota... weźcie je sobie... Ale to nic nie pomoże. Nie powiem wam z pochlebcami, jakich nie brak rewolucjonistom zarówno i królom — bohaterowie jesteście! — jesteście garstką dzieci upojonych, z zawiązanymi oczyma...

— Słuchaj pan — zawołał drąc na sobie odzież blady chłopiec — więc nic nie poczynać? więc siedzieć z założonymi rękami, gdy nieprzyjaciel nęka, gnębi, upadła, więc kłamać mu pokorę, więc całować bizun kozacki?!

— Widzicie moi drodzy — odpowiedział zwolna pierwszy — gdybyście potrafili to zrobić, co mówicie, uwierzyłbym w istocie, że możecie wyjść na wielkich ludzi... My-

ślicie że nękanie a cierpliwy nie hartuje się ucząc cierpieć, że spodlony a milczący nie jest tym Sparcyatą, któremu skradziony lis piersi wyżarł, a nie jęknął z bólu, że pokorny a nieugiętej duszy człowiek nic nie znaczy, że ten coby pocałował bizun kozaka nie byłby w stanie potem złać tego bizuna?

— O! stare i głupie wallenrodyzmy wasze! — krzyknął młody.

— Nie! nie, nie! ja was wallenrodyzmu uczyć, ani doń zachęcać nie będę; wallenrodyzm kłamstwem jest, a fałsz nic dobrego nie zrodzi. Wy chcecie iść i bić się, ja mówię wam: idźcie i mężnie cierpcie za prawdę. Co wy robicie? kłamięcie, spiskujecie, kryjecie się, a żaden z was nie ma mężstwa, gdy go spytają, powiedzieć, że jest Polakiem... Gdy na turturach wszyscy jak jeden zeznawać będą prawdę, naówczas Polska się odrodzi.

— Utopje... Towianizmy.

— Tak! tak! myśmy starzy głupcy, wyście młodzi władcy przyszłości! tak! więc milczę...

I zamilkł stary i szedł ze spuszczoną głową długo... A młodego gryzła milczenie i począł go wyzywać znowu.

— Mówcie — rzekł — już spiłem gorycz z kielicha, nie złękne się go dokończyć...

— Mylisz się Władziu kochany — rzekł pierwszy — z goryczy ja ci dałem najśłodszą, piołun, ocet i żółć zostały w naczyniu, we mnie — tychby ani usta, ani serce twe nie zniosło... Niestety! Niestety! ucisk nas zламаł i skarlił... nie było nas komu prowadzić, szliśmy na oślep i rozpierzliśmy się... Dziś miłość ojczyzny jedyne hasło ostatnie co zjednoczy, spędzi nas do... jednej wspólnej mogiły. Umrzeć potrafimy, ale życia odzyskać — nie!

— Jeżeli tak jest źle — ozwał się w końcu Władysław — stary proroku wynijdź, stań na górze i pokaż nam ziemię obiecaną...

— Tak! Polskę! — odparł Jeremi — ale Polska jest ziemią obiecaną tym, co na nią zasłużą... wy coście uczynili dla niej? czyście przeszli cierpliwie pustynię i morze? czyście wyplakali łzy, czyście wyłamali dłonie, czyście zakuli piersi w pancerze a głowy w hełmy? Nie, z pieluch wynieśliście miłość wyssaną z piersi matek, miłość niewieścia, która się gorącą czuje... a pracować nie umie! Do książek, do trudu, do nauki, do życia w siermiedze i o razowym chlebie *mości panowie...* a nie do tej roboty...

Władzio zapłonął i zadrzał znowu.

— Nielitościwy jesteś — rzekł — Jeremiaszu stary.

— A wy chcecie litościwych i pobłażających? litością i cacaniem waszych słabostek nie zrobi się nic, oślepniecie gorzej.

— Czegoż od nas chcecie? czego? — spytał młody.

— Do ołtarza ofiary trzeba iść ludziom czystym, świętym, oblezonym w szaty białe, obmytym, wykąpanym w wodzie życiodawczej... do ofiarnictwa za ojczyznę potrzeba kapłanów, wyście co najwięcej, chłopcy do trybularzy...

— Stary jesteś i zgniły, człowiecze — krzyknął Władysław — patrzysz na świat oczyma zaropiałemi, sercem zastygłym, piersią wydychaną... zdaje ci się, żeś sam jeden wielki...

— Mylisz się — rzekł spokojnie Jeremi — jam najmniejszy... i dlatego, że się czuję karłem, nie rwię się do pracy olbrzymiej...

— Myślicie, że nas to ostudzi? — mówił porywczo Władysław — o! bynajmniej...

— O tem wiedziałem z góry! — ruszając ramionami, szepnął Jeremi.

— Dla czegoż mówicie mi kazanie?

— Boście je słyszeć chcieli... — rzekł spokojnie stary...

W tej chwili żółtymi, czerwonymi, niebieskimi otoczony kozakami, ukazał się w alei powóz wielkiego księcia, przechodzący skryli się za drzewo, aby się uwol-

nić od ukłonu. Staremu uśmiech igrał po ustach...

— Czego się śmiejecie — spytał Władzio — z wielkiego księcia? czy...

— Z wielkiego głupstwa naszego — rzekł Jeremi — najlepsze narzędzie do podźwignienia się odrzuciliśmy z heroiczną zarozumiałością... nie zrozumieliśmy tego, że ten człowieczek przepalony ambycją, marzył już o koronie, że gdybyśmy raz mu umieli pomagać, on by nas był wyzwolił...

Władysław splunął.

— O! o! Znowu Wallenrody!

— I tego było nie trzeba... dość było trochę cierpliwości, trochę krwi zimnej... byłby powoli zaczął z nami spiskować, straciliśmy doskonałego sprzymierzeńca.

— W synu Mikołaja...

— To było rękojmią, że możeby dokazał swego...

— I chcieliście, żeby naród się spodlił?

— Nie, żeby tylko czekał i umiał rachować...

— Marzenie...

— Lepiej to było, niż marzenie, ale już się ono rozwiało... Zresztą, pozwólcie mnie na moje hypothezy, ja wam waszych nie bronię. Dowodów bym dostarczyć mógł, że moje przypuszczenia są więcej niż pra-

wdopodobne... Ale co po czasie wznawiać stare dzieje. Co się stało, nie odstanie...

— Widzicie stary, widzicie, jakeście sami z sobą w niezgodzie, mówicie mi: idźcie prawdą, wyznawajcie prawdę i... chcielibyście, żebyśmy głaskali przybysza, milczeli, aby go sobie pozyskać...

— Idźcie prawdą! powtarzam — rzekł Jeremi — ale pokazałem wam i drugą drogę, którą mogliście iść, albo raczej na której możecie stać i czekać cierpliwie... obie mogły doprowadzić do celu, o tej, którą idziecie wątpię.

— Lelewel powiedział podobno — przerwał Władysław — że ludzie po latach czterdziestu na nic się nie zdali do takiej jak nasza roboty, do niej potrzeba wiary i sił młodzieńczych, pogardy niebezpieczeństwa... myśmy wedle słów poety »rozumni szalem«; wy...

Jeremi się roześmiał.

— Szał jest doskonały do roboty trwającej dwadzieścia cztery godzin, ale gdzie się na dłuższą zabiera, nic po tem... zobaczycie... Wierzę w najlepsze chęci wasze, w najpoczciwsze serca, w złote ofiary pragnienie i do ofiar gotowość, ale to wszystko pochłonie zadanie daleko większe nad wasze siły. Pojmuję ja rewolucję, a raczej przypuszczam powstanie narodu

+ całego, ale na to potrzeba, ażeby naród był *cały*, a myśmy jeszcze embryonem narodu na gruzowisku starem... Może na chwilę zapał zlepi te różnorodne pierwiastki nieszczerą i niechętną jednością, ale najmniejsze niepowodzenie znowu je rozbije. Wy poczciwcy bez głów jesteście garścią, szlachta dobrze życzy, nie wiele rozumie, ale jest oględniejszą od was, pociągniecie jej część, nie pójdą z wami wszyscy i powiedzą wam, że w sobie obowiązani są przechować tradycję narodu... Średnia klasa da się ująć wielką nadzieją odegrania roli politycznej, której dotąd nie miała, ludu z małymi wyjątkami nie pociągniecie.

— Lud mieć będziemy! — zawołał Władysław.

— Nie — rzekł stanowczo stary — nie, lud nie ma jeszcze za co się bić, za nędzę swoją, za upadek wiekowy, za zapomnienie, nie może i nie będzie... Wy chcecie Polski, on chce chleba, kąta i człowieczeństwa... wprzężony w pług razem z wołem, z wołem pozostanie na zagonie, patrząc po ludzku na krwawy bój, może ze łzami, ale bez zapału... Nie dorósł jeszcze do walki.

— Rozgrzeje się i zolbrzymieje...

— Nie — odparł stanowczo Jeremi — nie czyni się w godzinę co wieki rosnać było

powinno... Zacni jesteście moi kochani młodzieńcy, ale raczej uczyć się historii, niżeli ją robić byliście powinni. Kłamięcie sami przed sobą tak w was wre krew. Któż wie, Bóg może jedno pokolenie wasze, wychowane przez Muchanowa, przeznaczył na heroiczną śmierć, bo do życia było niezdadne.

— Gorzkie słowa... — szepnął Władysław niecierpliwiąc się.

— Gorzka zawsze prawda jak piołun — mówił Jeremi — ale piołuny są lekarstwem... O Boże nasz — dodał — jakże boleśnie i gorzko patrzeć na was wyznaczonych na zagładę... bez korzyści może... choć nie bez wielkości... tyle rodzin osieroconych, tyle mogił... a po za nimi jeszcze cięższa niewola!!

Odwrócił się stary, ujął chłopca za głowę i pocałował go w czoło.

— Na polskiej płoncy wszczepili Moskale — rzekł — rewolucyjną latorośl swoją... Moskałami jesteście, nie wiedząc o tem. Nie Kościuszko i Pułaski, nie Małachowscy i Rejtanowie, ale Pestele i Bakuniny przez was czynią i mówią. Ucisk wywołuje w was oburzenie, a tchórzliwe wychowanie rodzi ślepotę... Ale Bóg wie co czyni... to co żyć nie mogło bez szkody narodu, umrze ze sławą dla niego, z żalem jego.

— Więc jesteśmy na ogień wyznaczeni?
— spytał drugi.

— Tak mój drogi, uderzcie się w piersi,
co wy umiecie, do czegoście zdadni?

— Umrzeć potrafimy!

— I to też wam los wyznaczył! Umrzecie
więcej niż za Polskę, umrzecie za nieprzy-
jaciół, za Moskali, śmierć wasza ich cze-
goś nauczy, na nic. Wychowańcy ich szkół,
ich idei, ich rewolucyi, poświęćcie się, aby
skorzystali ze śmierci waszej. Zasiajecie
ziarno na ich roli... Napróżno wam to mó-
wić, próżnobym odwrócić pragnął nieu-
chronne... musicie poginać... A szczęśliwi
jeszcze ci, którym będzie dano umrzeć, nie
zwałać się i wysączyć do kropli ducha, by
suchą potem i smutną nie chodzić po świe-
cie łupiną...

Patrząc w przyszłość krwią mi oczy za-
chodzą... nikt nie odgadnie dróg Bożych...
Któż wie na co się to przyda? uczynicie
szaleństwo... a Bóg je obróci na jakąś ko-
rzyść dla świata... Są fatalizmy! Ma czło-
wiek wolę i rozum, ale jest coś silniej-
szego nad nie... prawo żywota i dziejów.
Wedle tego prawa stanie się, co się stać
powinno, wyniknie z faktu to, co natura
jego ma w sobie... Dzieci żaloby, *potomkowie*
ucisku i grzechów... wyznaczeni na zgon,

błogosławię was i przebaczam wam... nie mogło być inaczej... Z przeszłości zostały imiona, w teraźniejszości panuje siła nowa..., pójdziecie za -starą chorągwią, ale na posługi nowej idei... Bóg reszty dokona...

2*

Władysław odszedł po cichu zadumany, zmęczony ale nie przekonany. Jeremi sunął się dalej alejami ze łzą w oku, poważna twarz jego nie odżyła po tej rosie, która najstarsze oblicze umie oblewać rumieńcem, blady był i wydawał się martwym. Zdawało się, że łza pociekła z innego źródła, nie ztąd, zkad płynął pokój na wyjaśnioną twarz jego.

Był zaledwie o kilkadziesiąt kroków od Władysława, gdy spostrzegł naprzeciw siebie idącego mężczyznę średnich lat w mundurze wojskowym, który już zdala mu się przyjaźnie uśmiechał i rękę wyciągnął. Rodowity Moskal, ale po europejsku wychowany, generał Żywcow znał się z Jeremim, lubił go i widać było, że rad go spotkał. Zatrzymał się, chwytając go, i zawołał po francuzku:

— Niezmiernie rad, bardzom szczęśliwy... pragnąłem widzieć pana. Zmiłuj się, mów mi, wyłumacz! co się to dzieje!

— Jak to? cóż się dzieje? — spytał Jeremi.

— No! nie udawajcie ze mną. Szpiegiem nie jestem, życzę Polsce i Polakom dobrze... ale co wy robicie? dokąd to idzie! Chcecie rewolucyi! chcecie waszej zguby!

— To się nazywa odrazu wejść *in medias res*, — rzekł uśmiechając się stary — no! dobrze... mówmy o tem.

— Mówmy — zawołał generał — zginięcie...

— Nie, generał, przecierpim, skąpiemy się we krwi, wyjdziemy z kąpieli młodszy i silniejsi. Co się tyczy rewolucyi mylicie się, nie my ją robimy, nie my jej chcemy, robicie ją wy, zmuszacie nas do niej.

— My! mówmy serio! — zawołał Żywców.

— Zupełnie serio... — rzekł Jeremi. — Kto wychowywał tę młodzież? wasi nauczyciele, szkoły wasze i wasza niewola... Trzydzieści lat pracujecie na zaszczepienie w nas zasad rewolucyjnych.. nożem zaropałym od jadu wyrzynając rany, w które go wlewacie sami... Zapomnieliście, żeśmy byli narodem wielkim i mamy po przeszłości spuściznę, nie szczędziliście naszej miłości własnej, upokorzeń, ucisku... zepsuliście dzieci nasze i zasiawszy ziarno, skarczycie się, że wschodzi?... Mówicie na nas, żeśmy niepoprawni, my wam toż samo powiedzieć możemy.

— Więc cóż z wami było robić, żebyście siedzieli spokojnie? — spytał Żywcow.

— O! na to było wiele potrzeba! — smutno odparł Jeremi — nie potraficie tego, dopóki się waszych wyobrażeń nie pozbędziecie. Czujecie w sobie siłę a nie wiecie jak ją obrócić, umiecie tylko cisnąć i cisnąć. Ciśnienie wywołuje w nas oddziaływanie.

— Ależ przecież rozpoczęły się reformy! Jeremi się uśmiechnął.

— To co wam zdaje się ogromnem ustępstwem, dla nas jest zaledwie częścią tego, co się nam należy... Zabraliście nam majątki, a dajecie z łaski małą pensyjkę na życie, tak samo ze swobodami, wzięliście wszystkie, zwracacie pozornie odrobinę. Ale dając i to, boicie się, żebyśmy nie mieli za dużo. Fatalizm historyczny stworzył to położenie dziwne, niemożliwe, męczeńskie dla nas, ale pewnie płodne dla świata, a szczególnie dla Rosyi. Osobliwsza rzecz, że my w upadku, w poniżeniu, przy widocznem nadgnicu charakteru narodowego jeszcze wyżsi jesteśmy od was. Gardzicie nami, znęcacie się, a w duszy czujecie, żeśmy spadkobiercy bogatszej, niż wasza, matki przeszłości. Was wychowali Iwanowie Groźni, Piotry i Mikołaje, nas Batorowie, Sobiescy, Mieczysław, Bolesławy i Kazimie-

rze... myśmy żyli z Europą i światem, gdy was w żelaznej kolebce kołysał jeszcze despotyzm, wykarmiając na posłusznych żołnierzy. Wyście żołdackie dzieci, my potomkowie rycerzy...

A wiecie — dodał — jaka jest różnica żołdata od rycerza? żołdat słucha wodza, rycerz natchnienia, tamten walczy o zdobycie kawałka ziemi dla ambitnego samoluba, ów o ideę i przekonanie. — Cała przeszłość wasza moskiewska w tem, że podbijacie ziemię dla niewoli, myśmy je umieli tracić dla swobody...

Zamilkł, chmurą powlokło się czoło jenerała.

— Wiecie — rzekł — że niebezpiecznie jest dziś mówić rzeczy podobne. Dziękuję wam za prawdę, lub za to, co za prawdę macie, wypowiedzenie jej jest dowodem szacunku, umiem go cenić... jednakże radziłbym wam nie roznosić głośno tych teoryi, oneby was mogły zawieść do Wiatki i Kostromy.

— Widzisz zacny jenerale — odparł uśmiechając się Jeremi — na czem zawsze wasza *ultima ratio*... nie chcecie rozprawiać i przekonywać się, wolicie zawiązać usta i zdusić to, czego nie umiecie obalić rozumowaniem... Odzywa się w was zawsze

żołnierz... przemawia przez was despotyzm — czujecie słabość waszą...

— Słuchaj — rzekł generał — być to może, ale przyszłość nasza! powoli Iwany, Piotry i Mikołaje wyrobiją w nas to, czego wy nie nauczyliście się, wojując z Batorym, Sobieskim i z całym waszych królów szeregami. Gdy zaświta dla nas jutrzienka swobody, my ją potrafimy szanować; dla was zawsze jej będzie mało... żołnierze będziemy karni, rycerze wyjdziecie na Don Kwichotów... bić się będziecie z wiatrakami, byle się bić...

— Macie nieco słuszności i tę wam przyznaję — odparł Jeremi — wyglądamy na Don Kwichotów, ale pozwólcie sobie powiedzieć, że rycerza z Manszy nie rozumiecie wcale. Powieść tę, arcydzieło to czyta ludzkość lat trzysta i nie pojęła, że Saavedra wyraził w tym typie człowieka, może naród, wyższy poczuciem ideału nad świat, który go otacza. Kawaler z Manszy jest śmieszny dla oberżystów i parobków, ale wielki dla ludzi serca... On chce dobra, gdy drudzy chcą tylko chleba...

Wolę być Don Kwichotem niż Sanszo Pansą lub parobkiem.

— Nigdy się nie zrozumiemy — przerwał niecierpliwie generał.

— Zdaje się — kończył Jeremi, idąc z nim powoli ku miastu — musimy się zjeść, bo się nie potrafimy zrosnąć ani rozdzielić... Chcecie z nas zrobić Moskali my czujemy, żeśmy byli czemś więcej, niż bojarowie Groźnego, my z was pragniemy zrobić ludzi, a wy lubujecie się w szaraku niewolników.

Twarz Żywцова pokraśniała.

— Dostyc tego — rzekł — zwróćmy się do przedmiotu... idzie więc ku rewolucyi...

— Być może, wiecie — odpowiedział Jeremi — że ja rewolucyi jak chorób nie cierpię, ale są słabości nieuchronne... tę wy nam wszczepiliście.

— Przepraszam, byliście zawsze garścią burzliwych wicherzycieli...

— A tak łatwo było z nas zrobić falangę spokojnych pracowników postępu!! ale na to potrzeba było czegoś więcej, niż siły, potrzeba było rozumu i szczerości... dobrej woli i wiary...

— Możnaż wam było wierzyć?

— Poruszacie kwestye ogromne... wiary się nie narzuca, ale się zdobywa i musi być wzajemną. Kłamaliście nam, kłamaliśmy też nawzajem, szczepiliście fałsz, zeszło łgarstwo... obiecywaliście zostawić nam wszystko, a odbieraliście powoli niemal

do ostatka i siłę i godność... Upokorzyć i zgnieść chcieliście nie przejednać.

— Wyście nas do tego zmuszali...

— Fatalizmy! fatalizmy! — westchnął Jeremi — napróżno byśmy teraz obżalowywali przeszłość niepowrotną... Chcieliście zgnieść i gniotąc wyrobiliście w nas potężnego ducha, nie skarżcież się nań, to dzieło wasze... Umieliście wyfrymarzyć, zagarnąć, nie potraficie rządzić, wielkość wasza terytoryalna zaślepiała was... wyobraziliście sobie, że wasze 40 milionów poddanych silniejsze są niż dwa kroć sto tysięcy ludzi!

— Ale te miliony was zgniotą...

— Zgniota... zgniota... — rzekł Jeremi — a stanie się to, czego się nie spodziewacie, że ze zgniecionych stu wyrośnie żywych tysięcy, że z Moskali porobią się Polacy, że w szeregach buntowników walczyć będą żołnierze, że ostatecznie nie Moskwa da Polsce niewolę, ale Polska Moskwie swobodę...

Zamilkli.

— Radziłbym wam, pod te ciężkie czasy — odezwał się po chwili generał — nie tak obszernie o tem rozprawać... Szczerze mi was żal, nie rozumieją was i... posadzą w cytadeli...

— Mówiliście mi już o tem, spodziewam się niechybnie pojechać z niej do Wiatki lub Kostromy, to rzecz nieunikniona... tam gdybym nawet milczał a kamieniami na mnie rzucano, moja twarz będzie powoli nawracać... moje lzy będą rodzić ludzi...

— Jabył was rad ochronił — rzekł jenerał — wiem, że czynnie przeciwko nam nie wystąpicie, boście do czynu już nie zdadni, ale w tym zamęcie oskarży was lada kto, i pojedziecie w Sybir.

— Jest to, wiercie mi, co mi się najszczęśliwszego przytrafić może — odparł Jeremi — nie rad bym patrzeć na to, co się dziać będzie, na nic się tu nie przydam. a tam...

Jenerał zadumał się.

— Przyprawdzicie do tego rząd — że na was naród cały podszczuje i wypuści, a gdy się w nim namiętności rozigrają, biada wam!

— Tak, ale i biada wam! powtórzę, — zawołał Jeremi — dla nas i dla sprawy ogólnej ludzkiej nic szczęśliwszego nad to stać się nie może... Będziecie musieli odwołać się do opinii, do siły, którą przez wieki usiłowaliście zniszczyć, stworzycie siłę niebezpieczną dla nas, ale stokroć szkodliwszą wam samym. Zrazu spuszczone z obroży, rzuci się ona na Polskę,

ale jej za łańcuch nie weźmiecie tak łatwo. Znacie tę balladę Göthego: Uczeń czarno-księżnika? to może być historia wasza... Uczeń znał zaklęcie, którem można było zmusić miotłę do noszenia wody, ale nie pamiętał słowa, co mogło powstrzymać... woda zalała mieszkanie... dziwnymi drogami idzie konieczność do celu opatrznosciowego... Rok 1814 obudził w Niemczech pragnienie i poczucie swobody, rok 1863 może też samo zrobić dla was... My zginiemy, ale idea wykwitnie zwyciężko...

— A moglibyście żyć! — podchwycił Rosyanin — dlaczegoż ginąć dobrowolnie?

— Dla idei! narody ani dobrowolnie biorą posłannictwa, ani je same zrzucić mogą z siebie, choćby im one ciążyły. Spełniają je często mimo woli i mimo wiedzy do zgonu i po zgonie, jak kwiat, którego woń i własności przechowują się w nim, choć dłoń człowieka zerwie z łodygi i rzuci na bezdroża. — Za sto lat wy inaczej sądzić nas będziecie, i postawicie sami pomniki tym, których umęczycie dziś zajadle... Bóg wielki, ludzkość nieśmiertelna, a idee dziećmi są bożemi!! Wam tylko młodym zdawać się może, iż z nimi walczyć potraficie! Nie postrzegacie, że to, co się wam zdaje walką i zagładą, jest inną formą pracy z nami wspólnej.

Cesarz Mikołaj był tak dobrze robotnikiem na polu swobody ogólnej, jak w innym rodzaju Garibaldi... jego ucisk był takim narzędziem do postępu, jak gdzieindziej szerokie, otwarte jej pola. Mikołajowskiej arbitralności winna Polska, że żyje i nie śpi, a może gwałtowności waszej zawdzięczać odrodzenie moralne, okupione strumieniami krwi. Znaczenie ludzi i faktów nigdy zbliżka się nie da oznaczyć, trzeba trochę perspektywy, aby je objąć całe... To co na pierwszy rzut oka wydaje się chropawe i niemiłe, zdala błyszczą światłami uroczemi.

— Bałamucicie — rzekł generał.

— Być może — odparł Jeremi — za to pojedę do Kostromy lub Wiatki, ale podróż moja ani wygnanie tysięcy nie zmieni na włos jeden tego, co z prawa zasadniczego dorobić ma się ludzkość przez waszą i naszą... głupotę...

— Co za szczęście, że nie mamy rozumu! — uśmiechnął się Żywcow — mogłyby się przezeń zachwiać losy świata...

— Dobry żart, ale nie prawda — dorzucił stary — gdybyście wy i my mieli rozum, stałoby się tylko, że zamiast broczyć we krwi, poszlibyśmy lepszym gościńcem a zawsze jednak do tego samego

celu... Przeznaczenie może się odwlec i utrudnić, zmienić się nie może.

— To coś już zakrawa na turecki fatalizm — uśmiechając się, rzekł Żywcow...

— Nie, ale na niezmienność praw pewnych, do której rozum ostatecznie przyjść musi, choćby ją sobie nazwał jakimkolwiek imieniem... Świat nie może stać bez prawa twardego i nieporuszonego, widzimy prawa te w świecie materyalnym niezachwiane od lat tysięcy, tak samo w moralnych sferach istnieją one i rządzą. Wyłamywać się z nich jest śmiesznością, w tym młynie co padnie pod kamień, nie wstrzyma obrotu i zmełtem zostanie.

— *Gare à Vous!* — śmiejąc się, rzekł Żywcow.

— Strzeżcie się, bo i wy nie jesteście wyjątkiem... — mówił dalej stary. — Ten młyn i waszą potęgę zetrzeć może, jeżeli się opierać będziecie koniecznościom czasu, epoki i przeznaczeniu ludzkości.

— Za dalekośmy zaszli — rzekł generał — radbym zniżyć na ten padół płaczu i bliżej nas tyżące sprawy... A więc robicie rewolucję?

— My? nie, ale wy sami popychacie do niej... stanie się po waszej woli i przyjdą wielkie klęski dla nas, wielkie a bolesne dla was tryumfy, cieszcie się, zwyciężycie

niezawodnie! Ale co za tą chmurą stoi w wyrokach Opatrzności... Bóg jeden wie...

— I my — dodał żywo Rosyanin — jeżeli się porwiecie, zgnieciami was, wytępiam, zniszczymy — Polska zginie!

— Polska nie zginie — odparł Jeremi — Polaków dużo... ale nie Polska. Polska idea może tylko wówczas zlać się i zniknąć w ogólnej sprawie świata, gdy zwycięży, dopóki walczy nie może być zwyciężoną.

— Dla czego?

— Bo jest wyższą nad tę ideę, której wy uczyniliście się obrońcami, wy prowadzicie z sobą przeszłość, my przyszłość... a w imieniu przeszłości nikt nigdy na ziemi trwale nie zwyciężył... Marzeniem jest powrót do tego, co skonało.

— Mówicie przeciwko sobie... — przerwał generał — my to jesteśmy przedstawicielami nowego świata, wy chcecie szlacheckiego feudalizmu, poddaństwa, powrotu do republiki magnackiej i szlacheckiej. My...

Stary począł się śmiać mocno.

— Jedna potwarz więcej — rzekł — już nie boli, tak u was piszą i mówią, ci co chcą nas zjeść w imię ciemności. Stara Polska tak jest niemożliwą jak stara Moskwa wasza... Szlachta nasza zrobiła ofiary wielkie i choćby z bólem, uczyni jeszcze

olbrzymie... Nie chce ona swobody dla siebie, ale dla wszystkich... Na nieszczęście wyście nie dorosli do zrozumienia nas, a my... do obrachowania sił własnych... Aspiracye nasze są czyste... porywy wielkie... ale tchu na wykonanie olbrzymiego dzieła zabraknie... Dajmy sobie pokój jenerale... widzicie, że się zrozumieć nie potrafimy, ja w was widzę ludzi, którzy służą despotyzmowi przebranemu w demokratyczną siermięgę chwilowo, wy w nas zawsze zakutą tylko szlachtę, chcącą odzyskać przywileje i różgę na wieśniaka... Dodajcie do tego starą bajkę o Francuzach jedzących żaby, o Anglikach sprzedających żony na postronku za dwa szylingi... pójdzie to wszystko do pary...

I zaczął się śmiać stary Jeremi, ale łzy miał w oczach wilgotnych... a Moskał się głęboko zamyślił.

— Niedobrańskiej pary nad Rosyę i Polskę nie było pod słońcem — odezwał się Jeremi — nie znalazłem między najzacniejszych ani jednego Rosyanina coby był w stanie ocenić Polskę i Polaków, może też ni jednego Polaka coby Moskala zrozumiał. Jenerale! macie w sobie wiele dobrego, wszystko złe w was pochodzi z despotyzmu. Każda z wad waszych jest jego dziecięciem, noszą one na sobie piętna po-

chodzenia... i długo, długo będziecie się musieli z nich leczyć... Oczy wasze już w mgłach i ciemnocie odgadują jutrzeńkę, czujecie, że światło zejdzie, ale ono was razi i zatulacie przed nim źrenice wasze, boście do nocy przywykli, a noc i sen trwały długo...

Któż wie, w widokach Opatrzności może jest zużytkowanie naszych błędów w sposób, którego się nie spodziewamy ani my, ani wy... nic nie przechodzi darmo... nawet pył, co leci drogą, jest czynnikiem koniecznym dla dziejów świata... może oczy zasypać w chwili, gdy niepotrzebny widok miał je uderzyć.

— A więc... a więc — dokończył Rosyjanin — rewolucya nieunikniona, rozlew krwi i my... my znowu zmuszeni będziemy wystąpić jako barbarzyńcy przed światem.

— Niech to was nie obchodzi — odparł Jeremi powoli — świat w tej chwili wszystko wam przebaczy, byle siedział spokojnie u warsztatu i za biurkiem bankierskim. Policzy krew przelaną na procenta od swych kapitałów... a gdy zwyciężycie, pożyczycy wam pieniądze na nowe dla nas kajdany. Świat nie jest czem był... Trzeba mu nowego mesyasza, coby go odrodził, wielkich nieszczęść, coby nim wstrząsły... Nie okrzyczy was opinia, ale laurami opa-

sze... Byle cicho! byle nie spadły papiery,
byle handel szedł..

Uśmiechnął się boleśnie, ścisnęli sobie
ręce i rozstali jak dwaj ludzie, co zrozu-
mieć się nie mogą, czują wzajemny sza-
cunek, ale zarazem i litość.

Moskal rzekł w duchu:

— Marzyciel stary!

Polak szepnął:

— Poczciwy stupajko!

Jeden od drugiego nie nauczyli się nic.

na ostatek do jakiegoś mieszkania od tyłu. W zadusznym i smrodliwym przedpokoju na ławkach i po kątach kryło się kilka osób, jakby wstydząc się własnych twarzy. Każdy tu wchodził, zakrywając się o ile możności i usiłując pozostać w cieniu. Towarzystwo było jak najdziwniej dobrane: jakaś kobieta wystrojona w atlasowej salopie, której z za zasłony tylko bardzo wyróżzoną twarz widać było, jakiś mężczyzna w wytartym fraku, chudy i skurczony, jakiś wielki drab obdarty, ale z twarzą zuchwałą i czołem bezwstydnem, jakiś staruszek kaszlący, lecz uśmiechnięty i słodziuchny, наконец elegancik fałszowany, którego lakierki nie broniły się domyślać, że mu może pończoch brakło.

Kuźma, wchodząc za porucznikiem, poczuł dreszcze po skórze i zamieniłby był chwilowe położenie swoje na największą nędzę. Otarcie się o tych ludzi nabawiało go obrzydzeniem. Jakiś sługa wchodził i wychodził z salonu do przedpokoju, z przedpokoju do salonu. Spozierał on z góry na oczekujących i po jednym wpychał ich w paszcze potworu. Odbywało się to dosyć prędko i kolej na porucznika przyszła niebawem. Kuźma pozostał jeszcze, póki go nie zawołano. Naostatek otwarły się drzwi i porucznik na niego kiwnął;

potknął się nieborak w progę, a gdy oblaną wstydem twarz podniósł, ujrzał przed sobą wcale ładny pokój niezgorzej umeblowany, z sofami i krzesłami dokoła, z kilkoma zwierciadłami na ścianach. Na stole między oknami wśród książek i papierów stała lampa i dwie świece, na małej kanapie siedział mężczyzna lat czterdziestu kilku, pięknie łysy, nader przyjemnej i łagodnej twarzy.

Wyglądał raczej na smakosza i dobrego koleżkę, niż na jakiegoś tam naczelnika tajnej policji. Niebieskie jego oczy miały wyraz łagodny, usta rumiane i duże, uśmiechały się dobrodusznie i serdecznie, mimo pozornej szczeroty rozlanej w całej fizyonomii, Lawater byłby w niej odkrył dobrze zamaskowaną chytrą bizancką, w rodzaju tej, jaką się odznaczała twarz Aleksandra I., owego moskiewskiego anioła... z pazurkami pochowanymi w glansowane rękawiczki.

Z pierwszego wejrzenia wziąłbyś go za niewinnego epikurejczyka, w rozmowie, dopiero, gdy się te rysy nerwową grą ożywiły, wybitnie tryskała z nich przebiegłość a niekiedy zimne okrucieństwo. W ruchach tej postaci było coś kociego. Kuźma prosty człek, który się spodziewał ujrzeć potwora,

zdziwił się mocno, zobaczywszy tak uśmiechniętą i miłą istotę.

Gdy siedzący na kanapie mężczyzna mierzył przybyłego dość ciekawemi oczyma, porucznik tymczasem mu go przedstawiał:

— Oto, proszę pana naczelnika, majster Maciej Kuźma, bardzo porządny i uczciwy człowiek, o którym panu radcy miałem honor wspominać...

Porucznik dawał mu na przemiany ten tytuł naczelnika i radcy, którym ozdobiano zwykle wszystkich wyższych urzędników w Warszawie.

Przyjemny naczelnik nie odpowiedział tak rychło, zajęty był bowiem wydobywaniem resztek obiadu z dosyć jeszcze białych ząbków.

— A wieszże mój kochany o swoich obowiązkach? — zapytał w końcu po chwili milczenia.

— Nie, proszę pana, ja nic jeszcze nie wiem prócz tego, że mam być *szpiegiem!*

Naczelnik aż się rzucił z kanapki.

— Moja duszo, moje serce, kochany człowiecze głupi jesteś jak but. Co to jest szpieg? to jest wyraz przez nieprzyjaciół porządku wymyślony na pogardę! i wacpan i ja i wszyscy uczciwi ludzie jesteśmy obowiązani służyć naszemu królowi i krajowi, strzedz i pilnować, aby w nim był

porządek i bezpieczeństwo; ludzie źli, podbechtani przez zagranicznych burzycieli, chcieliby zamącić spokój, aby w mętnej wodzie ryby łowić. Cóż to jest złego, pytam się, stać na straży i dawać znać o pożarze? he?

Porucznik, który czuł się obowiązany coś dodać od siebie, rzekł poważnie:

— A widzisz asan, co ja mówiłem.

Naczelnik udobruchał się po chwili:

— Instrukcję szczegółową, moja duszeczko, będzie ci dawał ten oto porucznik. Wypadnie ci mieć oko szczególnie na czeladź rzemieślniczą i dobrze ją poznać. Szkoda, że asan, mój drogi panie Macieju, nie masz tam stosunków z rzeźnikami na Pradze, bo na nich najwięcej baczność zwracać potrzeba, to hałastra niebezpieczna i zuchwała. Nie potrzebuję cię przestrzegać, moja duszo, że chcąc coś wiedzieć, musisz naturalnie często sam coś gorętszego przebaknąć, bez tego nic. Różne są okoliczności, ludzie źli czasem udają spokojnych, aby rząd oszukać; może się trafić, że trzeba będzie zrobić jaką awanturę, ażeby lepiej ich poznać. Jeżeli tam w zamieszaniu i ciebie mój kochany przychwycili, potrzebujesz mieć jakieś świadectwo coby cię obroniło. Da ci się tu z kancelaryi kartkę z pieczętką, którą

w potrzebie pokazać możesz policyantom. To już tam porucznik o tych rzeczach będzie pamiętać, a gdy znajdziesz co donieść, on poinformuje gdzie i jakim porządkiem.

Rzecz zdawała się skończona, porucznik wskazał Maciejowi drugie drzwi, idące do kancelaryi, popchnął go tam, a sam został z naczelnikiem.

Chwilę milczeli oba, aż radca się odezwał:

— Coś mu nie bystro z oczów patrzy, podobno nie wiele z niego będzie korzyści!

— Przepraszam pana radcę, ale to w każdym stanie — rzekł porucznik — rozmaici ludzie są potrzebni, tylko wiedzieć jak ich użyć. To człek stateczny, biedą zmuszony i dlatego dobry, że go się nikt obawiać nie będzie, a już ja nim tak pokieruję, że z niego zrobimy ajenta co się zowie.

— A no zobaczmy, da się to widzieć — rzekł naczelnik.

Porucznik mimo skończonej na pozór rozmowy stał ciągle, a radca milczeniem swem dawał mu do zrozumienia, że mógłby sobie pójść precz.

Tamten jakoś tego nie rozumiał, nakoniec porucznik odważył się przebaknąć:

— Proszę pana naczelnika, co się tyczy gratyfikacyi?

— Co się tyczy gratyfikacyi — odparł powoli naczelnik — daje się to tam różnie, wedle tego jaką rybę ułowicie, a któż to wie jeszcze czy szczupak czy płotka?

— Już proszę pana naczelnika spuścić się na mnie, że człowiek będzie przydatny.

— No, no, wypłacą ci tam dwieście złotych (tu zniżył głos naczelnik) tak jak zwyczajnie, wytrąciwszy na koszta kancelaryi...

Porucznik spuścił głowę smutnie i spytał cicho:

— Jakże proszę pana naczelnika?

— Waćpan tam już wiesz.

— Ale jeżeli wolno zanieść pokorną prośbę, słowo honoru, panie radco, że kawałka chleba w domu nie mam...

Na słowo honoru uśmiechnął się naczelnik i odpowiedział:

— Sameś sobie winien, nie statkujesz... ale dość, waćpan wiesz, że nie może być inaczej. Sto złotych weźmiesz do rąk a pokwitujesz z dwóchset i sza!

To mówiąc, zadzwonił, wszedł żywo kurlawy mężczyzna z piórem za uchem w wice-mundurku. Naczelnik mu coś poszeptał i z nim razem odprawił porucznika, żegnając go:

— Idź, idź, moja duszyczko, a statkuj i bądź uczciwy...

Po upływie krótkiego czasu porucznik i Maciej Kuźma wyszli oba z domu przy Długiej ulicy, a stolarz przybity i upokorzony, nie mogąc zaraz pójść wypowiadać się pod figurę Matki Boskiej, poleciał do domu, czując, jakby go kto gonił, myśląc, że cały świat wie o jego sromocie.

Porucznik trzymał w ręku owych trzydzieści srebrników, za które sprzedał duszę ludzką a w sumieniu jego stwardniałem nie odezwała się nawet na chwilę zgryzota, kłął po cichu tego pana naczelnika, który go tak grzecznie i słodko na sto złotych okradł, kłął kancelistę, który z pozostałych stu, jeszcze mu dziesięć przy wypłacie oderwał.

Dziewięćdziesiąt pozostałych paliły rękę nałogowego pijaka. Wprawdzie miał on po szynkach, gdzie się jego obowiązków domyślano i kredyt i daremny wódki kieliszek, ale to nie starczyło upadłemu rozpustnikowi, który łaknął przysmaków czując choć grosz w kieszeni.

W duszy jego odbywała się walka straszliwa. Miłość rodzicielska, jedyne uczucie, które jak iskra w popiołach tych się uchowało, mówiło mu, nakazywało, aby grosz ten zanieść dla Julka, który się podwójną pracą dla utrzymania i nauki zabijał. Nałóg pędził go do szynku. Znał siebie dobrze

porucznik i wiedział, że raz tam zaszedłszy, nie wyjdzie, aż ostatni szeląg przepije, obawiał się sam siebie. Chciałby był spotkać co najprędzej syna, aby mu oddać te pieniądze, bo puściwszy się w drogę do domu, czuł, że przed pierwszą winiarnią pokusie ulegnie. W tej upadłej istocie było jeszcze coś, co ją do świata wiązało, kochał syna i dla niego jednego do ofiary z siebie był zdolnym. Począł myśleć, gdzieby go mógł znaleźć i zwrócił się przez Bielańską, chcąc go szukać przy akademii, około której czasem go w tej godzinie spotykał. Myślał nawet wziąć dorożkę, aby tem pewniej do miejsca dojechać, ale dorożki na birży nie znalazł. Poszedł więc pieszo.

O kilka kroków przed nim szły dwie kobiety, niosące ciężki kosz bielizny. Idąc za nimi, porucznik usłyszał głos, który go wielce zadziwił; zdało mu się, że to był głos jego żony, ale cóżby tu robiła po nocy i z tym ciężarem? zbliżył się. Przywykły do podsłuchów, z kilku słów się przekonał, że kobiety wracały od magła, że jedną z nich była w istocie jego żona, a drugą służąca. Tknęło go to dziwnie, gdyż kosz ten zawierał daleko więcej bielizny, niżeli jej było w całym domu. Ta wyprawa wieczorna zaczęła go niepokoić, różne myśli przechodziły mu po głowie,

na ostatek, gdy dochodzili do zawrotu, porucznik nie mogąc wytrzymać, wybiegł naprzód i grzmiącym

— Stój! — zatrzymał żonę.

Kobieta tak się ulekła, że jej z rąk kosz się wysunął i część bielizmy wysypała się na ziemię.

— Łapię cię na uczynku! — zawołał. — Co to jest? gdzie idziecie? jaka to bielizna? gadaj mi zaraz lub...

Kobieta wczoraj tak odważna, dziś zdawała się struchlała, chociaż sumienie nie jej wyrzucać nie mogło. Od porucznika mało można było wydobyć na potrzeby domu i dzieci, biedna żona pracowała ukradkiem, aby mieć grosz na wychowanie syna i córki. Tała się z tem, bo wiedziała, że mąż albo by jej nie już nie dawał, lub i to jeszcze co miała, wydrzećby albo wykraść potrafił. Odkrycie jej lichego zarobku przeraziło ją, długo stała milcząca, potem zaczęła się tłumaczyć, jękając niezgrabnie, płacząc w odpowiedziach i utrzymując, że chorej sąsiadce odnosiła robotę, za co tamta jej tam coś uszyć czy odrobić miała.

Trudno zrozumieć dlaczego porucznik tym razem ani był natarczywym, ani nadto domyślnym, wysłuchał wszystkiego, pokiwał głową i rzekł zbliżając się do żony:

— Ten Julek to się zamęczy i uczyć

siebie i jeszcze zarabiać, a to młode, oh — dodał — trochę tam dostałem pieniędzy, ale żebyś mi całe oddała Julkowi! słyszysz? bo on najwięcej potrzebuje, przysiążę mi..

Kobieta, której się to wszystko jakby snem szczęśliwym wydawało, poruszona, mruzczała wszystkie zakłęcia, jakie umiała, wyciągając ręce ku porucznikowi.

Ale gdy przyszło wyrwać mu ten grosz, na nowo rozpoczęła się walka w jego duszy. Chciał naprzód oddać wszystko, potem zachował dla siebie jednego rubla papierowego i pół rubelka drobnymi, potem zażądał trzech rubli, potem zachował trzydzieści złotych, aż żona spostrzegłszy to wahanie, gwałtem prawie pochwyciła mu cztery papierki trzyrublowe, chowając je co najprędzej. Mąż zrazu chciał walczyć, ale się upamiętał i krzyknął tylko:

— Oddajże w ręce Julkowi, słyszysz!

Kobieta już nic nie odpowiadając, pochwyciła za kosz i nie patrząc co się z nim dzieje, dawszy znak Kachnie, pospieszyła do domu.

Porucznik stał długo, jak wryty na trotoarze, kwaśny był i zły, że mu nie pozostało więcej nad dziesięć złotych. Co zrobić z dziesięcioma złotymi, gdy się miało projekta tak świetne na wieczerzę w porządnej

restauracyi? Oblizywał się na myśl jedzenia kapłona i polania go dobrą maderą, na to już teraz wystarczyć nie mogło; przeklinając żonę, bo ją był zwykł o wszystko obwiniać, poszedł powoli z postanowieniem wstrzymania się od jadła, ale uczęstowania obficie dobrem winem.

Uczyniwszy postanowienie utraktowania się, porucznik rozrachowywał jeszcze, jakby się za te złotych dziesięć mógł najmocniej upić. Czuł bowiem, że tym razem żona wymówek mu srogich czynić nie będzie. Pierwotna myśl napicia się wina ustąpiła daleko praktyczniejszej szkosztowania wódek i likworów u Lipkaua. Od dawna bowiem porucznik przekonał się, że wina są to romanse, a rzeczywistością wódka.

Szybkim krokiem zawrócił się nazad, przebiegł część Długiej ulicy i wpadł na Miodową. Stacya u Lipkaua, naprzeciw Trybunału apelacyjnego, znaną jest wszystkim, co kiedykolwiek u bram świątyni sprawiedliwości wyczekiwać musieli naczynionej godziny. Obiór tego miejsca dowodzi trafego instynktu przedsiębiorcy, ale nawet w godzinach, w których sądy i kancelarye bywają zamknięte, Lipkau ma swych wiernych zwolenników i ustaloną reputacyę. Porucznik znalazł tu jeszcze kilkanaście osób wieczorzających, a że po

większej części byli to porządniejsi ludzie, jakoś mu się wstyd zrobiło o tej porze pić tak wódkę samą. Kazał sobie coś podać a tymczasem pod różnemi pozorami zręcznie dochodził do bufetu i coraz z innej flaszki żądał kieliszka. W jednej z tych przechadzek od stolika do flaszek uderzyła go fizyonomia starego człowieka w skromnem ubraniu, który coś jadł na boku i pilnie mu się przypatrywał. Jak to się często po długich latach niewidzenia zdarza, porucznik czuł, że gdzieś tego człowieka widział a przypomnieć go sobie nie mógł. Widocznie także ów jegomość nie był pewnym czy ma przed sobą znajomego, lecz bacznie za nim wodził oczyma.

— Co u dyabła, Presler czy nie? — odezwał się wreszcie głos od stoliczka.

— Dalibóg to ja! — rzekł, odwracając się porucznik. — Pan pułkownik?

— A ty co tu robisz? byłem pewny, że już gdzieś od dwudziestu lat gnijesz w ziemi.

— A! jeszcze nie — rzekł z wielką pokorą i jakby zawstydzony porucznik Presler. — Dawno mnie już dyabli wziąć byli powinni, ale wołą męczyć żywego.

— No, cóż się z tobą dzieje? Od czasu jak cię wypędzili z wojska coś robił?

mi obchodzili, gdyby przyszedł dzień sprawiedliwości... i... i

— Nadejdzie, ale go rozumem trzeba przyspieszyć — zawołał Artemjew — w naszych to rękach, rozumiesz! Jeżeli Polska się uspokoi, jeżeli jej dadzą czego ona chce, zbliżą się do niej, pogodzą... my na wieki przepadli. Potrzeba nie dać im się porozumieć, dowodzić, że Polacy byli, są i będą buntownikami, zburzyć przeciwko nim całą Moskwę, ruszyć się na nich... Rządowi w to graj, puści nam cugle... a po tem... już ich nie pochwyaci... Polskę zgnieciemy, ale i naszych bojarów razem... W Polsce naprzód to zrobimy z chłopami, co po tem u nas zrobić będzie potrzeba... precz ze szlachtą!... Ludowi damy siłę, a tą siłą wywrócimy wszystko co nam stanie na przeszkodzie... Rozumiesz!

Nikifor tylko, oglądając się, głową kiwnął.

— Już tu są tacy wielcy ludzie, co myślą o łagodzeniu Polaków, na to nie można pozwolić., nie, nie dopuścim tego... tylko niepokój w Polsce może nam dać wolność... a co nam popsuje? to, że razem dwóch nieprzyjaciół pokonamy? Nasz interes ze wszech miar mącić, cisnąć, dusić i nie dać ładu tu wprowadzić. Rząd w kłopotie będąc z niemi, od nas oczy odwróci, my tymczasem wychycim mu potrosze co się

tylko da porwać... a przygotujemy do oswo-
bodzenia. Dziennikom naszym już dziś
wolno więcej niż było... opinii potrzebują,
aby się nią przed Europą zasłonić... bę-
dziemy gardłowali za niemi... Tymczasem
oka nie spuścimy z naszej sprawy. Dostyc
już tej niewoli ludu i naszej.

Artemjew mówił to gorąco, przerywanie,
chodząc po pokoju z papierosem w rękę.
Nikifor słuchał go z pokorą, jak przystało
Radcy dworu przy Radcy stanu. Ale-
ksander Aleksandrowicz był już bowiem
zaszczycony tą rangą wysoką, ktoby go
teraz porównał do widzianego w zamku
przed chwilą, ledwieby go mógł poznać,
tak był zmieniony, rozgorączkowany i oży-
wiony.

— Spodziewam się, żeś mnie zrozu-
miał — rzekł po chwili do Nikifora Pio-
trowicza — my się wszyscy starać powin-
niśmy, aby jak najdłużej nie było w Pol-
sce ładu i pokoju... Starzy głupcy, jak
Żywcow, zarazby go załagodzili! na co? na
co? Wojsko sobie pohula, urzędnicy się
nażyją dobrze, a póki tu hałas, my swoje
robić w Moskwie będziemy. Spostrzegli się
bestye, gdyśmy z Milutynem w komitecie
wiejskim poczęli u siebie robotę, nie dali
dokończyć, ale teraz pora, jeśli kiedy...
niech się tu burzy... niech gotuje...

Zatarł ręce...

— Polakom nie trzeba przeszkadzać — dodał — owszem, owszem niech popróbują... jabym im sam dał broni, zrobić nam nic nie robią, ludu za sobą nie mają... a dla nas w samą porę się wybrali... Czy może być lepiej?

Zaczął się śmiać, patrząc na Nikifora Piotrowicza, który był wylękły i siedział zdumiony.

Artemjew położył palec na ustach.

— Rozumie się — rzekł — to między nami, sprawa domowa... nie gadać o tem... Głupie kniazie i bojary sami nam dopomogą... nie domyślą się, a gdy się opatrzą, będzie zapóźno... Nie potrzebny nam już Hercen i Ogarew... damy sobie rady sami. Nim nas wstrzymają, tak dobrze na kiel weźmiemy, że uzdy już nie nałożą...

Mówił to więcej prawie do siebie, niż do swego towarzysza, który okazywał rzućcanemi do koła wejrzeniami wielki jakiś niepokój. Artemjew był wesół nad wyraz.

— No! jak myślicie — spytał, siadając — będzie u nich rewolucya? musi być? Górczakow ją zrobił, a Wielopolski dokończy...

— Aleksandrze Aleksandrowiczu — zawołał Nikifor — ja tam waszej głębokiej polityki nie rozumiem, ja prosty człowiek,

mnie słuchać i pisać co przykażą, ale z Polską źle — o źle!

— To dla nas dobrze! słyszysz! to dla nas doskonale! niech zrobią rewolucję, niech się ona ciągnie, niech sobie mydła oczy pomocą Europy, zdusimy ich, gdy zechcemy, a tymczasem przygotowujemy się do wielkiej sprawy! I nie będzie w Rosyi tylko chłop i car... tylko car chłopski... a bojarom...

Ręką posunął po gardle i rozśmiał się.

— Szlachta nasza już przyduszona — dodał — ogłupiała... nie potrafi się oprzeć, gdy zaczniemy szumieć patryotycznie na Polaków, musi nam pomagać jeszcze, nie spostrzeże się nawet, że o jej skórę idzie... tymczasem naostrzymy noże...

— Aleksandrze Aleksandrowiczu, wyście wielkim człowiekiem! — krzyknął Nikifor, ręce składając — ale i oni... o! och nie głupi!

— Oni wcale nie są głupi, ale pieszczone dzieci, zdaje im się — odparł Artemjew — że ich nic obalić nie potrafi, że są podpora tronu, a nie widzą, że dla nich w świętej Rosyi miejsca niema... To niemiecki koncept ta arystokracja... na co nam te trunie... Car ich nie potrzebuje, oni się uśmiechają do Europy, im cywilizacja w smak, a my nowy świat zrobimy, świat ruski,

nasz... Zgniły zachód wywrócim, zawojujemy narody podzięczniałe... pluje ją na ich Europę...

— Ale ty coś wzdychasz — rzekł uśmiechając się — źle tobie tu Nikifor Piotrowicz...

— Jużciż nie dobrze — szepnął Radca dworu — człowiek się czuje wśród nieprzyjaciół, ani dnia spokojnego, ani nocy, ani ich zrozumieć czego oni chcą...

— Ale kiedy ci mówię, że nam i nie troszczyć się o to, byle mętna woda i jak najdłużej. I po to — dodał ciszej — chciałem ja wezwać ciebie do pomówienia, pamiętaj ty i ucz drugich, nie dawajcie, aby się rząd z Polakami zbliżył... aby rewolucyi przeszkodzili, albo ją zbyt zawczasu stłumili, nasza rzecz, aby to jak najdłużej trwało.

— Rozumiem — odparł Nikifor — rozumiem.

— Wy, po kancelaryach możecie więcej, niż się nam zdaje... nasze generały i bojary próżniaki, sami nic nie robią, nic nie myślą, z nimi zawsze można sobie począć jak się nam podoba... byle umieć. Sekretarz zrobi co chce... puścić pomiędzy swoich, aby wszelkiemi sposobami kaszę tu jak najdłużej gotować... My wam przez dzienniki moskiewskie pomagać będziemy...

W Rosyi panuje car, kłaniają się wszyscy jego dworowi i panom, ale ci robią wszystko, których nikt nie widzi... Oni noszą mundury i szlify, a władzę my mamy... Otóż ją trzeba umocnić i powiększyć jeszcze... rozumiecie?

Nikifor tylko głową pokiwał.

— Ja będę wiedział co robić — mówił petersburski czynownik — wy mi tu pomagajcie. Jedno słowo, nie dopuścić, aby się oni uspokoić i zgodzić mieli, przeciągać, nie głaskać, ale drażnić ich, nie koić, ale ranić, kłuć, rozjątrzać... rok, dwa, a zobaczycie jaką my siłę zdobędziemy. I głupi bylibyśmy, żebyśmy ją sobie potem wyrwać dali.

Mówił z coraz większym zapalem, gdy do drzwi zapukano...

— Miałżeby Sasza tak prędko głupi powrócić? — rzekł niecierpliwie, idąc otworzyć...

Ale nad spodziewanie, zamiast natrętnej twarzy służalca, ujrzał wybielony i zlekka naróżowany, wdzięczny buziaczek uśmiechniętej pani, lat trzydziestu może, niezmiernie wystrojonej i straszliwie pachnącej.

Popatrzyła na niego z progu, milcząc, i rozśmiała się głośno.

— Aleksander Aleksandrowicz tak to

dobrze pamięta o swoich starych przyjaciółach? — zawołała, podając mu rękę. — Jakto nie poznajecie mnie?

— A! przebaczenie Maryo Agathonówna! to wy! wy to!

— I z niecierpliwości widzenia was, narażając się na kompromitację, sama na wieczór zaprosić przychodzę...

Mamy z sobą do pomówienia — szepnęła mu na ucho. — Mieszkam nieopodal na Krakowskiem... numer... pierwsze piętro... czekam na was wieczorem...

— Ledwie oczom moim wierzyć mogę... cóż tu robicie?

— Powiem wam... nie od dawna jestem tutaj... byłam za granicą... Pytajcie o mnie pod nazwiskiem pani de la Rue... potrzebowałam zmienić imię... rozumiecie... Czekam o ósmej.

Ceremonialnie odprowadził ją aż na schody, szepcząc po cichu Artemjew, i powrócił zadumany, trąc włosy.

— To jednak dobrze, że ona tu jest — rzekł do Nikifora — nie znacie Maryi Agathonówny?

— Ja? a skądżebym?

— Tak! prawda! kobieta wielkich zdolności! Dopóki służy piękność jeszcze, lubo znacznie postarzała i mniej już jest świeża, potrafiła sobie zabezpieczyć kawałek chleba,

łącząc dwa rzemiosła i dwa talenta... W trzecim oddziale nie mamy lepszego nad nią urzędnika...

Nikifor się zdumiał.

— Jak to? — zapytał.

— A no, cóż dziwnego, kobiety są bardzo przydatne, zwłaszcza młode, ładne, dobrze wychowane i umiejące wszelką odgrywać rolę. Marya Agathonówna żyje jak w najlepszym tonie i zbiera... ręczę. ze zbiera... Znajdzie zawsze takiego, co opęda koszta... a pensję można zaoszczędzić. Rozumna kobieta...

— Jeżeli co ważnego a sekretnego było do doniesienia — podszeptnął — śmiało możecie przez nią przesłać do mnie... zostawię wam jej adres. Dobrze zrobili, że ją tu zwabili, Polacy są czułego serca, a ona Francuzkę i przyjaciółkę ich doskonale odegra. gdy zechce... potrafi wszelką rolę, jaka się jej podoba, oddać doskonale... Nikt nad nich gadatliwszy, będziemy przez nią wiedzieli wszystko.

— A ty — dorzucił — trzymaj język za zębami.

— O! o! przecie mnie znacie — rozśmiał się biuralista — nie umiem gadać, gdybym chciał...

I ruszył ramionami.

Ścisnęli się za ręce.

— Przed wyjazdem pomówimy jeszcze z sobą — rzekł, żegnając się z nim Artemjew — jestem kontent, wszystko dobrze, postaram ci się o awans w Petersburgu, albo o gratyfikację...

Napróżno byśmy starali się skreślić żywot pięknej owej pani, którą Artemjew nazywał Maryą Agathonówną, a która się nazwała panią de la Rue. Zbyt wiele osłon tajemniczych go pokrywało przed oczyma profanów. Pytając o nią tych, co ją znali, można się było wcale różnych dwóch lub trzech biografij dowiedzieć, które z sobą tak dalece się nie zgadzały, że wszystkie na kłamane wyglądały. Wedle niektórych była ona Francuzką rodowitą, dla innych Włoszką, dla wielu Rosyanką, a mała liczba domyślała się w niej Polki... lub dowodziła, że matka jej pochodziła z Warszawy. Równa niepewność panowała co do jej społecznego stanowiska. Wdową, zamężną, rozwódką była czy panną, nikt dobrze nie wiedział, mówiono o jakimś mężu, którego nigdy żywe nie widziały oczy... wspomniano za to o kilku bardzo rzeczywistych kochankach i protektorach różnych narodowości. Jedni znali Maryę w Paryżu na dosyć dobrej stopie, drudzy w Petersburgu z salonem wcale świetnym, w którym wie-

czorami odpoczywał jeden z ministrów, inni w Warszawie w skromnym, ale smaczkownie urządzonej apartamencie. Marya grała prześlicznie na fortepianie, śpiewała z wielką metodą, choć głosem nieco znużonym... czytała wiele francuzczyzny... miała liczne korespondencye... oddawała i odbierała tajemnicze wizyty, wyjeżdżała i wracała niespodzianie.

Wyglądała na artystkę, — wszyscy co się do niej zbliżyć mieli szczęście lub nieszczęście, godzili się na to, że była zachwycająca, wszakże w końcu każdy zachwycony odchodził od niej smętny, a wiele wygadywało się z tem, że Marya była po rozstaniu dla nich droższą, niż w czasie samego szau... istotą. Jakie do tego wyrazu znaczenie przywiązywać należało, zostawiamy domyślności czytelników.

Stosunki Maryi de la Rue, na której właściwe nazwisko nie godzili się badacze, były bardzo świetne i wielce urozmaicone. Salon jej w różnych dnia godzinach otwierał się dla osób najróżniejszych przekonań i świata; bywali w nim i możni, wysocy dygnitarze, artyści, urzędnicy, a niekiedy i złota, a raczej pozłacana młodzież, bo dziś złotej niema. Wieczorem piękna Marya była uroczą... zrana siadywała w przyémionym salonie, a na ulicy zapuszczała twarz woalem, przez

który przeglądały rysy dziwnie czystych linii, oczy czarne głęboko osadzone, nos prosty i kształtny, zbyt może różowe usta, trochę za białe oblicze i owal cudownie zakreślony. Marya, mimo tej piękności chowała się z rękami, nie zrzucając prawie nigdy rękawiczek, nawet w czarnych i obcisłych Jouvina, ręce te jakoś wyglądały dużawo i niezbyt kształtne, a ci, co je mieli szczęście oglądać jak je Bóg stworzył, nie unosili się nad niemi... przyznawali, że były brzydkie, że je napiętnowała jakby ciężka praca. Równie starannie pani de la Rue chowała nóżkę, nosiła długie suknie. Małe te szczegóły dla tego spisujemy, że w życiu i one coś znaczą.

Wieczorem tego dnia, gdy Artemjew został zaproszony, wcześniej paliła się lampa na stoliku, a służący odebrał rozkaz nie wpuszczać nikogo z wyjątkiem pana, którego mu opisano dokładnie. Marya chodziła po salonie w długiej sukni czarnej, niekiedy machinalnie stawała przed zwierciadłem, poprawiała włosów, ale myśl jej wyraźnie latała gdzieś daleko w światy niedoścignione żadnym domysłem. Gdy Artemjew wszedł, pospieszyła go powitać, ale głosem, który nie zdradzał najmniejszego uczucia.

— To ślicznie bardzo, żeście wy tu, — rzekł, kładąc kapelusz urzędnik — mogliście

się przydać w Paryżu, ale i tu nie będziecie siedzieć darmo... jest co robić... Maryo Agathonówno... no, jakże się wam zdaje? co z tego wszystkiego będzie? Rewolucya czy tylko takie gniecenie się jak dotąd?

— O! mnie się zdaje — żywo odpowiedziała kobieta — że rewolucyi nie będzie. Z czemże by oni ją zrobili? przeciwko takim siłom potrzebaby szaleństwa... a małe jakieś wybuchy, gdyby je nawet rozpacz spowodowała, w jednej chwili stłumione zostaną...

— Co mówicie! — przerwał Artemjew — toby było źle bardzo! bardzo źle! — powtórzył kilka razy...

— Źle? — niedowierzając uszom swoim, spytała kobieta — dlaczego!

Artemjew spostrzegł się, po raz drugi tego dnia, że jako Moskal wcale spiskować nie umiał, a niezwyčajność położenia czyniła go nieostrożnym i popędliwym.

— Dla tego, — rzekł, poprawiając się jak mógł — że raz to gniazdo zgnieść potrzeba, że jeżeli się ruszą, to będzie doskonały powód usprawiedliwiający stanowczą z nimi rozprawę i wyniszczenie tego nienawistnego plemienia...

Maryja spojrzała nań z jakąś obawą.

— Dla tego to chciałem i potrzebowałem się z wami widzieć Maryo Agathonówno —

rzekł, siadając przy niej Artemjew — powinniście wiedzieć jak sobie postąpić. Widzicie przecie, iż sam rząd czyni co tylko może, aby wywołać rewolucję, aby ją zrobić nieuchronną. Potrzebną mu jest dla Europy, choć my sobie z niej wielkich rzeczy nie robimy, usprawiedliwi ona represję i wytępienie żywiołu, z którym w zgodzie żyć jest niepodobieństwem. Darmo się ludzi... Mikołaj miał słuszość, chcąc zburzyć Warszawę i przyrzekając jej nie odbudowywać, my idziemy dalej, chcemy zniszczyć Polskę na wiek wieków.

Kobieta tem stanowczem zapowiedzeniem zdumioną była i zamilkła na chwilę... spuściła oczy.

— Tak chcą w Petersburgu — dodał Aleksander Aleksandrowicz — niech to dla was będzie wskazówką. Rewolucyi ich, ani pomocy Europy nie obawiamy się wcale, nietylko potrzeba, aby wybuchnęła, ale należy jeszcze, aby rozgorzała, rozszerzyła się, aby chwilowo dała im jakieś nadzieje aby do niej weszli wszyscy, co mają gorętsze serce... i poginęli. Naówczas Rosya na długo będzie mogła być spokojną.

Kobieta wzdrygnęła się nieco, była upadłą istotą, ale niewiastą i miała serce; to wypowiedzenie planu pełnego zgrozy i ohydy, poruszyło ją do głębi. Artemjew

mówił co myślał, nie dopowiadał tylko tego, jaki skrywał program dla Rosyi poza tą Polski zagładą.

— Nie powinniście wcale powstrzymać — rzekł powolnie — owszem, niech się burzą, niech powstają... Widzieliście kiedy naczynie miodem i cukrem napełnione, które stawiają na muchy... idą one, włożą w nie i już się wydobyć nie mogą... otóż tak my z nimi zrobimy... Ułudzą się pomocą Europy, współczuciem rewolucjonistów całego świata i wpadną w łapkę. My mamy ten rozum — dorzucił — że gdy rząd gra rolę zachowawczą i monarchiczną zyskując sobie sympatye tronów i monarchów, tymczasem dziennikarstwo i opinia będzie bić w bęben demokratyczny i pozyszcze Proudhonów, radykalistów, liberalnych... socyalistów. Dla Polski zostanie współczucie bezsilne ultramontanów i tych ludzi, co się uczuciem powodują, nie wiedząc dokąd i gdzie idą... Gra nasza doskonała, wygrać musimy. Demokracji i liberalnym powiemy: Polska jest feudalna, garść szlachty chce w niej wiecznie w niewoli trzymać chłopą; panującym szepniemy: oni chcą zrewolucyonować świat, są w związku z europejską rewolucją!! I demagogi pomagając nam muszą do zgniecenia wroga...

Mówił, a kobieta patrzyła nań ciekawie.

— Wielki z was Machiawel — rzekła nieśmiało — ale czy to wszystko tak pójdzie, jak obmyśleliście?

— Musi! — rzekł Artemjew — cesarz Napoleon, którego się próżno obawiają, książę Napoleon, który dużo gada... będą wywoływać za Polską, ruszać się niby i udawać, że dla niej coś zrobić chcą... ale cesarz dobrze wie, że w Polsce jest nieprzyjazny mu żywioł rewolucyjny... nie wzbroni nam zgnieść go... pomoże w istocie. Nie darmo jest panującym.

— Ale mogąż Polacy dać się tak wywieść w pole? — spytała kobieta.

— Oni! niema najmniejszej wątpliwości, rząd z początku oczy zamknie, oni się ludzi przywykli, parlament angielski i francuska dyplomacya przyjdą nam w pomoc... Zrobi się rewolucya; co gorętszego wybierzemy, resztę wygnamy w Sybir... i...

Tu przerwał; służący wszedł z herbatą.

— Maryo Agathonówno, zagrajcie co — rzekł nagle, — człek tak polityką zajęty, czuje potrzebę odświeżyć się, zapomnieć... rozmarzyć...

— Nie mam ochoty, palce mi zadrewniały — odpowiedziała powoli. — Wy jesteście mężczyzną, a cięży wam to, co się dziś dzieje, cóż dopiero mnie... Nie uwierzycie

jaki przestрах czuję, jaki niepokój, jaką litość...

Artemjew rozśmiał się dziko.

— A mnie się zawsze zdawało, że byliście stworzeni na politycznego agenta, że nic was nie kosztowało dla wielkiego dzieła ręce we krwi zmaczać... miałbym się omylić?

— Nadto blisko postawiliście mnie trupów i krwi — szepnęła kobieta — mdło mi się zrobiło...

— Któż tu wszystko prowadzi? — zapytał po chwili — czy Zamojski? czy szlachta? czy zdrajca Wielopolski? czy jacy inni ludzie?

— Aleksander Aleksandrowicz — odezwała się po chwili kobieta — wy i ja nie rozumiemy co się tu dzieje i nie rychło pojmiemy... Zamojski nienawidzi rewolucyi, to człowiek legalności i prawdy... Wielopolskiego kraj nie cierpi, nicby zrobić nie mógł... nikt nie pojmie, co i jak się tu dzieje... nikt nie powie kto prowadzi... pan Bóg, czy szatan, a dłoń niewidoma...

— Przecież takich spraw lada kto się nie podejmuje? — spytał Rosyanin.

— Kraju nie znacie i nie rozumiecie — zawołała kobieta żywo — mierzycie go zawsze miarą cudzą. Wam się zdaje, że tu potrzeba imienia, stanowiska, urzędu, zna-

czenia do prowadzenia tej sprawy, tak jak się to dzieje gdzieindziej. Tak nie jest; w Polsce kto najgoręcej i najśmiejlej ujmie się za ojczyznę, ten wszystkich za sobą poprowadzi, choćby to był dziesięcioletni ulicznik w łachmanach. Bądźcie pewni, że mali ludzie są w tej robocie, ale tacy, co dla niej zginąć gotowi...

— Jesteścież pewni?

— Zupełniem pewna; wy będziecie szukać przewódców po salonach, a kto wie, czy oni nie w przedpokojach i nie po kuchniach się znajdują.

— Ale dałaby się szlachta i kraj prowadzić im?

— Kto polską wywiesi chorągiew, pójdą za nim! — odpowiedziała Marya. — Dla tego nie schwycicie tak łatwo dowódców... nie zrozumiecie ruchu... a stłumienie jego kosztować będzie tysiące ofiar...

— Tem lepiej — rzekł Artemjew — i potrzeba, mówię wam, potrzeba, żeby się pociągnęło jak najdłużej... Moglibyśmy ich zgnieść w dni kilka, ale wolimy rok, dwa, aby co tylko polskiego w Polsce jest wylapać...

Nie wypowiedział co myślał, a w duszy rzekł sobie tylko — Rosyę tymczasem zrewolucjonujemy!

Rozmowa szła tak urywano, bez zapału z obu stron, bo znać było, że mimo stosunku poufalego tych osób, coś je dzieliło od siebie. Marya chciała go wybadać, on usiłował jej plan swój narzucić; oboje nie zupełnie szczerze spowiadali się przed sobą. Przy herbacie mówili o Petersburgu, o Moskwie, o znajomych dawnych, ale Marya Agathonówna napróżno usiłowała coś więcej wyciągnąć z tego człowieka, który był niby otwartym i szczerym, w istocie jednak główną myśl swą ukrywał starannie przed nią. Nie śmiał się zwierzyć słabej istocie, w której zepsucie i zaprzeczenie wierzył, ale zawsze w niej obawiał się kobiety. Z ciężkością przyszło mu wpoić jej to przekonanie, że nie należało przeszkadzać powstaniu, że potrzeba je było wywołać, rozpalić i rozszerzyć; zamilkła wreszcie i słuchała, a jemu zdawało się, że ją zupełnie pozyskał i zwyciężył. Po herbacie Artemjew spojrzał na zegarek i bardzo prędko się pożegnał, szepnąwszy po cichu słów kilka, w których były może obietnice protekcyi petersburskiej. Dyplomata zabił w nim tym razem kobieciarza skłonnego do umizgów, nigdy Marya nie widziała go tak zimnym. Gdy się za nim drzwi zamknęły, ruszyła ramionami, po-

wiodła ręką po czole i powoli, jakby złamana, padła na kanapę...

Nie była to trzpiotowata kobieta, jaką wydawała się zrana, widocznie niepokój jakiś zasepiał jej czoło, coś kołatało do wyschłego serca. Spojrzała na zegarek: była jedenasta... zadzwoniła, wszedł służący, kazała mu zbierać herbatę i zawołać garderobianę, głośno zapowiadając, że się natychmiast chce położyć. Jakoż przeszła zaraz do sypialnego pokoju i szybko z jakąś niecierpliwością zaczęła się rozbierać, odprawując młodszą i zalecając jej, aby nazajutrz nie przychodziła budzić zbyt rano... Rzuciła się na łóżko, wzięła książkę, chciała czytać i cisnęła nią o podłogę... po chwili zerwała się z pościeli, posłuchała szelestu w sąsiednim pokoju i na nowo zaczęła się ubierać.

Otworzyła szafę, której klucz miała przy sobie, dobyte z niej ubranie męskie i z niecierpliwością wciągała je, poglądając w zwierciadło. Zapomnieliśmy, opisując fizyognomię Maryi, dodać, że włosy nosiła krótko ucięte; to jej ułatwiało przeistoczenie na przystojnego młodego chłopaka, nieco tylko zmęczonej twarzy. Szybko wdziała na siebie strój nowy, czarny surducik, płaszczyk ciepły, czapkę futrzaną i zapalwszy małą latareńkę, którą z łatwością

pod połą ukryć mogła, pocichu wysunęła się z mieszkania, zabierając klucz ze sobą. Nikogo nie spotkała na schodach; furtkę w bramie otworzyła ostrożnie, przymknęła ją i żywo puściła się ulicą... Przebiegła z Krakowskiego na Nowo Senatorską, niezaczepiona szczęściem przez żaden z przechodzących patrolów, tu dobytek znowu klucza i weisnęła się do niewielkiego domu, w którego oknach zupełnie już było ciemno. Znajome zapewne wchódki przeszła prędko, dostała się na trzecie piętro i tu zdyszana, oparłszy się o mur, zaczęła stukać do drzwi... w sposób, po którym poznać było łatwo, że na nią oczekiwano.

Po chwili szelest się dał słyszeć za drzwiami, uchylono połowę ich i kobieta wbiegła pospiesznie...

Mieszkanie było szczupłe, niewytworne, ale nadzwyczaj miłe i wdzięczne; łatwo po niem poznałby każdy, że pan jego miał w duszy uczucie piękna i porządku. Na stoliczku małym, zarzuconym papierami i książkami, paliła się lampka... przy niej stał bukiet kwiatów przywiedły, ale przesliczny... W cieniu widać było otwarty fortepian, sofę, na której leżały nuty i kilka książek, oraz kilka wazonów z zielonością, wśród zimy tak miłe przypominającą wiosnę i ciepło.

Gospodarz mieszkania w rannem ubra-
niu z cygarem w rękę, był piękny, nie
zbyt już młody mężczyzna, o twarzy powa-
żnej, nieco łysy, ale fizjonomii pełnej
znaczenia, opromienionej myślami. Nie mo-
żna się było dziwić odwiedzinom, spoj-
rzawszy nań, tak sympatyczne miał wej-
rzenie, tak wdzięczny uśmiech, taki wyraz
siły i spokoju panował na jego obliczu.

— To ja! to ja! to zawsze i jeszcze ja! —
ozwała się po polsku Marya — rzucając
mu się na szyję, to ja natrętna, niezdolna,
bezwstydna... po nocy lecę do mojego pana,
aby choć go zobaczyć, choć go uścisnąć,
choć być odepchniętą i połajaną...

— A! połajaną być warta jesteś, — rzekł,
całując ją w czoło poważnie, ale czule mę-
czyzna, — ale któżby śmiał za miłość,
choćby trochę szaloną, płacić lodowatemi
przestrogami?... a ja miałbym prawo po-
wiedzieć ci co innego nad jedno — ser-
deczne: Dzięki ci!

— A! tak zimne! tak zimne! — zawo-
łała kobieta i spuściła główkę na piersi
i trochę zapłakała.

— Nigdy nie zwykłem grać komedyi, —
odparł, siadając przy niej, mężczyzna, —
słuchaj Maryo, tyś przywykła do kłama-
nych ludzi, pieszczot granych, rozpaczy
zmyślonych, miłości szalonej na pozór, zi-

mnej w istocie, ale wierzaj mi, więcej wierzyć potrzeba lodowatej pozornie mojej miłości, niż tamtym konwulsyom dzikim. One są fałszem, moja prawda. Cała ona w sercu, dla tego na zewnątrz się nie objawia, nie troszczy jak pokaże, jest szczerą, jest z sobą... jest też cichą i spokojną...

— I jest zimną! o! zimną! — odezwała się kobieta.

— Nie, ale jest szczerą i smętną, bo nie ma jutra... bo to dla ciebie kwiatek jesienny, dla mnie promyk wieczorny, który zwiędnie i zginie... rychło... Nie trujmy sobie ostatka szczęścia, zagładając do jego wnętrzości... nie obrywajmy kwiatu z listków, nie rozkładajmy promienia na sine pręgi...

— Masz słusność — przerwała kobieta, zawieszając mu się na szyję, — żyjmy bez jutra... i zapomnijmy o świecie...

— Gdyby to można! — szepnął gospodarz z cicha, — aleśmy my, albo raczej los, złą dla nas wybrał chwilę! Stoimy nad przepaścią.

— A! a! prawda! — bijąc się w czoło, zawołała kobieta, — cóż się tam z wami dzieje? co słyhać?

— No, nic, powinnaś to lepiej wiedzieć, niżeli ja, — uśmiechając się dodał mężczyzna i westchnął.

Kobieta zarumieniła się i rękami zakryła twarz, a gdy właśnie schylił się, by ją pocałować, odepchnęła go lekko i poskoczyła z sofy, załamując ręce.

— Coś powiedział? — spytała, — co myślałeś, mówiąc te słowa? wszakże rzekłeś niedawno, że kłamać nie umiesz? odpowiedz mi, całą choć gorzką prawdę!

— Maryo! — odparł wstając powoli mężczyzna — nie skłamię nawet dla oszczędzenia ci przykrości. — Ja wiem wszystko... napróżno kryłabyś swą przeszłość przedemną... ja cię kocham i musiałem dośledzić kim byłaś i jesteś... Tak! nie zaprzeczaj mi, nie kłam i ty... wiem wszystko... wiem... i nie umiem przestać cię kochać i żalę się nad tobą i wzdrygam się, a coś mnie ciągnie ku tobie... a litość prawie zwiększyła moje przywiązanie. — Tak jest — mówił dalej — znam cię, lękam się, brzydzę i kocham... bo mi coś powiada, że w głębi tej duszy jest jeszcze kątek czysty, kiedy umiałaś kochać... poświęcić się... i płakać... Cóżes ty winna, że zły świat przerobił cię na tę poczwarę!

Zasłaniając sobie oczy Marya, padła mu do nóg i poczęła całować go, choć się chciał usunąć i próżno podnieść ją usiłował.

— O panie mój! — zawołała, — dzięki ci! tyś mną nie pogardził, tyś mnie zro-

zumiał, jam była słabą, jam była nieszczęśliwą, jam zwątpiła o ludziach i o sobie... dopiero ty odsłoniłeś mi jasność, dopiero przy twej piersi poczułam pragnienie cnoty, chęć oczyszczenia się... i stania godną ciebie... Jam nie jest tą poczwarą, którą mnie sądzisz, jam już odrodzoną, lub odradzającą się istotą... wierz mi! wierz mi!

— Wierzę, — rzekł powoli gospodarz — czuję to i nie potrzebuję tych zaklęć. Wstań Maryo... droższą mi jesteś pokutnicą, niż byłaś aniołem; czuję i ja, że podnieść się trudniej, niż nie upaść. — L... dodał — ja cię kocham... mimo wszystko co nas dzieli, jam dawno wiedział o tem i milczał, bom się spodziewał tej chwili...

— Tyś zacny! tyś czcigodny! — rzekła, podnosząc się powoli i tuląc głowę na jego piersi, — dla tego jesteś wyrozumiałym i litościwym jak Bóg!! Wierz mi, prędszej takie słowo pobłażania nawróci, niż słowo pogardy i obelga... Podniosłeś mnie i będę godną, stanę się godną tego dobrodziejstwa... Będę ci służyć jak wierny pies... a wierz mi, małą ja jestem i nic niezna czącą i pogardzoną istotą, ale się przydać mogę...

Gospodarz uśmiechnął się smutnie.

— Nie płacze mi za to, co zapłaty nie

prosi, — rzekł powolnie, — uczyniłem z serca... sercem się tylko nagrodzi uczucie...

— Tak, ale całym sercem, — dodała żywo kobieta, — patrz, stając przed zwierciadłem i rozrzucając włosy ze skroni, ja już nie jestem tym kwiatem, z którego usta rozpustników starych spiły pierwsze wiosny oddechy, znużenie, znękanie, smutek, boleść, tęsknota porysowały mi marszczki przedwczesne na twarzy, gorsze na sercu... a dotąd nie spotkałam człowieka i nie kochałam nikogo — prócz ciebie. Tyś pierwszy, ty będziesz ostatnim i jedynym. Wzgardę miałam dla ludzi, bo ci co mnie dotąd otaczali, tylko jej warci byli... Czasem wśród szalu odezwało się w którym z nich nie serce, jakieś uczucie szlachetniejsze, ale na trwanie jego, jak na promyk jesiennego słońca, nie można było rachować! Dla żadnego z nich nie byłam kobietą, nie byłam człowiekiem... myślałam w rozpacz, że świat pusty i tych ludzi, o jakich marzyłam niema na nim... aż spotkałam ciebie...

— Maryo, — rzekł powoli gospodarz — nie wynoś biednej ruiny, pod której resztką przytuliłaś się od słoty, jest to, niestety, tylko gruzu kupa, pokryta resztką zieleni.

Potrząsa głową i uśmiechając się, rzekła:

— Mnie ty jesteś drogim takim, jak je-

steś, nie chciałabym jednej cegiełki z tego gruzu oddać za najwspanialsze nowe gmachy. Ale — dodała żywo, — czas ubiega, a jam do ciebie nie dla jednego twojego pocałunku przybiegła... Słuchaj! słuchaj... ja jestem — tyś się domyślił — płatną niestety agentką rządową... jam badaczem i donoszczykiem... dziś mi dano nowe instrukcye... powinienes z nich skorzystać. Wiesz czego chcą w Petersburgu?

Mężczyzna z ciekawością pochylił się ku niej.

— Mów, — rzekł marszcząc brwi — choć twe słowa ranią mnie jak sztylety... ależ wysłuchać ich muszę... Cóż oni powiadają, co myślą?

— Oni chcą rewolucyi i niepokoju... nie wiem czy wszyscy, ale część większa pragnie tego... to dla was może być użyteczną wskazówką...

— Na prawdę?

— Klnę ci się na miłość moją! nie posądzaj mnie! zraniłbyś okrutnie... Znam tego, który mi dał rozkazy, jestto czynny urzędnik trzeciego oddziału, ale zarazem czynny członek niewidomego, wyrobionego duchem czasu, nieokreślonego i nieujętego stowarzyszenia rewolucjonistów... Niełatwo mnie zrozumiesz, — dodała, — w Rosyi od Pestela i Relejewa niema spisków, to

prawda, lecz jak wszędzie, gdzie zmiana jest koniecznością czasu, materiały do wybuchu przygotowują się i porozumiewają, tętną jedną myślą, idą do jednego celu... Pochwycić ich niepodobna, bo nie są związkowcami, ale jedna myśl ich zagrzewa... a jednym środkiem instynktownie idą do celu... wszyscy są rządu posługaczami i rząd sam ciągną w swe sieci... Dlatego może rewolucya w Rosyi, gdy dojrzeje nareszcie, gdy do tych materiałów traf iskrę przyłoży, wybuchnie tak straszliwą, tak ogólną, tak wielką, że przy niej niczem będzie straszliwe wspomnienie francuskiej. Rewolucya w Rosyi ma swych reprezentantów w ministeryum, na najwyższych państwa posadach, po wszystkich biurach, i niedołączny rząd ciągnie z sobą gorącym patryotyzmem. To stronnictwo niespojone, rozbite, ale silne... pragnie u nas rewolucyi... chce powstania, bo rachuje zapewne, że wśród zamętu posunie się o krok dalej i stanie silniejszym...

— Niestety! — zawołał Juliusz — gdybyśmy my z tego skorzystać umieli! ale... nie mamy komu powiedzieć nawet... ni z kim działać, wybuch jest nieuchronny, jest prawie dokonany... nikt mnie nie zrozumie... stanie się co Bóg dla Polski przeznaczył...

— Ale nie mogliżbyście powstrzymać? —
zawołała kobieta.

— Nie! podżęga nas namiętność, okoli-
czności, sam rząd i sposób, w jaki w osta-
tnich czasach obchodzono się z nami... nie
mamy rozumu... jesteśmy rozjątrzeni! ślepi...
Połowa kraju przynajmniej widzi dosko-
nale następstwa i nieuchronny upadek, ale
na oślepie idzie, aby dowieść, że gdy o kraj
idzie, ofiary nie poskąpi. Ja rozumiem do-
brze, iż nam u siebie rewolucyi robić nie
było potrzeba, ale za ostyglęgo i tchórza
mnie ogłoszą, gdy to powiem. Niema spo-
sobu...

— Coś strasznego więc gotuje się! —
szepnęła kobieta — czuję to po ich uśmie-
chu, podobnym do oblizywania się dzi-
kiego zwierzęcia, gdy świeżą pastwę po-
czuje.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale spo-
sępniał.

— Nie mierzmy dziejów życiem naszym
i boleścią własną, — rzekł — poginać nam
potrzeba, to poginiemy... świat przecie nie
zginie i Polska nie zginie, póki w jej łonie
poczucie wielkich przeznaczeń żyć będzie...
Odśpiewamy wieczne odpocznienie poko-
leniom dwom może... ale na mogile ochrzczi-
my wiek nowy...

Maryja ubierała się już do odejścia.

— Co tylko mi się pochwycić uda, przyniosę ci — rzekła — wolałabym z głodu umrzeć, niż dziś, gdy duszę czystsza w sobie czuję, brnąć dalej w tem błocie... ale muszę opłacić grzechy przeszłości dziś ciągnąc pożytek z winy mojej...

Wytrwam więc w tem piekle, aby z niego wieść przynieść tobie... wszystko dla ciebie, wszystko dla ciebie, wszystko dla was... a potem śmierć! Żyłam dosyć, więcej nie chcę...

Przez drzwi otwarte za Maryą, która po szybkim uścisku zniknęła jak cień, wiał wiatr już tylko chłodny. Juliusz stał w nich i patrzył za nią pogrążony w myślach, łza zwijała mu się pod powieką, nie mogąc na twarz spłynąć, za mało jej było, żeby potoczyła się własnym ciężarem, za wiele, by wyszła w gorących powiekach... długo tak pozostała w nabrzmiąłych oczach; a człowiek, co ją nosił, do siebie przyjść nie mógł... przez okno patrzył w ulicę na przesuwaną się cień ukochanej postaci, do której poniżenie, upadek jej, cierpienie przywiązywało go więcej pewnie, niż namiętność pospolita.

— Biedna istota! biedna istota! — mówił po cichu — cóż ona winna! a było tam pewnie z czego stworzyć anioła... świat wykuł szatana... i nie potrafił dogasić tej iskierki dobra, którą Bóg wlał w nią przy urodzeniu.

Otóż cała nagroda jej poprawy... jedna łza poczciwa, którą tu przy mnie wyleje... a potem.

Zamyślił się głęboko — potem może znowu śmiech przyjdzie szatański, rozpacz i niewiara... i śmierć... *ultima linea rerum*...

Na ziemi leżała rękawiczka, podniósł ją i schował starannie... lampa dogasała, rzucił się na sofę i w marzeniach sen skleił mu powieki.

Tymczasem Marya ukradkiem wśliznęła się do swojego domu, wcisnęła do sypialnego pokoiku, zrzuciła suknie, które na klucz w szafie zamknęła, i nim padła na łóżko, zsunęła się na kolana... Poczowała potrzebę modlitwy... a modlić się zapomniała dawno, lzy tylko biegly jej po twarzy obfite, gorące, a usta poruszały się, powtarzając wyrazy urywane dawno zapomnianych już modlitw, z których żadnej spamiętać nie mogła całej. Zaczynała Ojcze nasz — Zdrowaś — i Kto się w opiekę — a myśl od tych dzieciennych pamiątek odbiegła do lat dawno minionych... i wstała drżąca, jakby obłąkana.

— Jutro — rzekła — jutro... spróbuję... cud być może... są cuda... pójdę...

Nazajutrz rano zbudziła się weselszą, niż dawno bywała, ale zarazem niespokojną. Służąca, która przywykła bawić ją pogadanką trzpiotowatą przy ubraniu, zdziwiła się, że jej pani prawie nie odpowiadała i nie zachęcała ją wcale, a mocniej

jeszcze, gdy bardzo skromnie ubrana, wyszła natychmiast z domu. Ciekawa trochę dokąd się uda, wyjrzała przez okno i pokiwiała głową, spostrzegłszy ją wchodzącą do kościoła XX. Karmelitów. Marya od bardzo dawna nie bywała w kościele, chodziła czasem do cerkwi, niekiedy do reformowanego kościoła dla muzyki; zapomniała o katolickim, choć ten niegdyś był jej młodości kościołem. Nie wiedziała może jaką teraz wyznawała wiarę, szanowała wszystkie i była obojętną dla wszystkich zarówno. Trwało to, dopóki uczucie nie rozbudziło się w piersi, które ją pociągnęło ku Bogu — naówczas poczuła, że nie mogła odezwać się do niego z prośbą tylko tam, gdzie niegdyś modliła się ze łzami w lepszych latach dzieciństwa. W kościele obiegły ją wspomnienia... i uklękłszy ze strachem, ze drżeniem, utuliła twarz w dłonie, zaczęła płakać gorzko... Przypomniała sobie ten sam kościół i na jego zimnej posadzce siebie, klęczącą w ubogiej sukience, przy matce... żywo na myśl jej przyszła nawet barwa tej sukienki i chusteczka stara, którą osłaniała ramiona i cerowane pończoszki... i nieco wychodzone trzewiczki, które klęcząc, zakrywała starannie szlafroczkim, aby ich nie spostrzeżono... Wstydziła się już naówczas pocziwego ubóstwa! A te-

raz? teraz to przyszła w atlasach, w aksamitach, w futerku kosztownem, ubrana tak ślicznie... nawet szczęśliwa w duszy; przecież upokorzona przed Bogiem i szczęściem niezasłużonem i dostatkiem, który ją otaczał.

Popłakawszy trochę, podniosła się, czuła, że jej lżej było, że jakaś cząstkę maleńką ciężaru dusznego te łzy z sobą uniosły, wyszła powoli z lepszą otuchą, ale drżąca.

U wrót kościoła stara babina wyciągnęła do niej rękę.

— Piękna pani! daj ubogiej, żeby się za twe szczęście modliła... grosika kochana pani!

Marya wyjęła złotówkę i z pokorą położyła ją na ręce pomarszczonej staruszki, która zaraz poczęła żywo się modlić, dziękując.

Pomału, choć widocznie z coraz większą niespokojnością, szła kobieta, jakby przypominając sobie coś dawno zabytego i skierowała się na to stare miasto, w którego rynku cisną się domy dawniejsze pamiętające czasy. Tutejsza ludność uboga jest jakby zrosła z domostwy, tu żyją tradycje, tu jeszcze obyczaj nowszy nie zmienił starego żywota... są rodziny, które od kilku pokoleń nie wynosiły się z ciemnych kaci-

ków swych mieszkań, chyba w ciemniejsze jeszcze mogiły na cmentarzu...

Marya, szukając jakiejś przeszłości, całą nadzieję pokładała widać w tem przywiązaniu ludzi do murów, stanęła przed jedną kamienicą o dwóch oknach z frontu i patrzyła długo na nią. Nad wnijściem zalepiony farbą, którą był od wieków pokrywany, stał ledwie widoczny bocian... pamiętała go od lat dziecinnych i te drzwi z krótką u góry, i wyżłobiony wschód kamieny u progu, i zakratowane okna dolne, i poddasze z jego trzema wystawkami i chora-giewkę na dachu z rokiem 1701.. stała tu i wnijść nie śmiała wewnątrz; młode dziewczę z konewką próżną ukazało się w progu. Na widok tej pięknej pani nieruchomo stojącej, zapatrzonej — zatrzymało się także z dziecinną ciekawością.

— Jak ci na imię moja dziewczeczko? — spytała ją Marya głosem drżącym.

— Mnie pani? Emilia...

— A mieszkacie w tej kamienicy?

— A juści, pod bocianem, proszę pani...

— Dawno?

— O! ja to od początku życia... bom się tu urodziła!

— A nie słyszeliście to kiedy o jakiej... o jakiej — rzekła głosem stłumionym — o Bartłomiejowej?

My i Oni.

6

— A juści, proszę pani, kiedy to moja babka...

— Twoja babka? — spytała żywo Marya — stara Bartłomiejowa Żywotowa?

— A juści, proszę pani, matka mojego ojca!

— Jakto... ona tu mieszkała... mieszka? żyje dotąd?

— A żyje, proszę pani, chwalić Najwyższego, choć trochę podupadli, ale jeszcze nawet wchodzą do św. Jana codzień na mszę świętą i teraz tylko nie widać, gdy powrócą.

— A! więc jej niema w domu? — oddychając nieco wolniej, spytała Marya.

— Ot, idą babusia, ot idą... patrzcie, choć o kijaczkę, ale rzeźwo!

Z drugiej strony rynku ukazała się w tej chwili postać przygarbiona staruszki, idącej dosyć żwawo z książką pod pachą. Ubrana była ciemno, na czepek biały narzuconą miała chustkę szeroką. Rysy jej twarzy pomarszczonej, przywędłej, były jakby zamarłe i stężale. Z oczyma wlepionemi w ziemię szła staruszka drogą znaną, nie patrząc przed siebie, zamyślona, zatopiona... jakby już do świata żywych nie należała.

Marya ustąpiła się jej z drogi z uszanowaniem, drżąc i skinąwszy na dziewczę, aby nic nie mówiło, co Emilka doskonale

zrozumiała; poczekała aż staruszka do-
dreptała do progu. Tu spostrzegła dopiero
wnuczkę, podniósłszy głowę.

— A ty mała! — rzekła, głaszcząc ją
pod brodę — co tu robisz? he? może dar-
mo oczy wytrzeszczasz? po coś to sama
wyszła po wodę, toć to ciężar taka konew
dla ciebie, mogła była Agata przynieść,
a ty byś pończochę robiła...

— Ej, babusiu, toć mi się chce choć prze-
wietrzeć! a tu woda pod bokiem, z okna
widać, nie ucieknę daleko...

— Tylko mi zaraz powracaj! — odezwała
się stara z westchnieniem, — a nie baw
się, nie baw, dziecko moje... to nic potem.

Gdy Bartłomiejowa wchodziła powoli,
spoczywając na górę, Marya przepuściwszy
ją nieco, poczęła iść za nią, krokiem jednak
mniej może pewnym, niż staruszka, która
odpoczywała na zakrętach schodów, ale
dość jeszcze miała siły, by ująwszy poręcz,
bez kija się wdrapać na tę wyżynę. Scho-
dy były ciemne, lecz tyle lat się je prze-
chodziło, że omackiem przejść je już umiała.

Na trzeciem aż pięttrze otworzyła drzwi
staruszka i zwolna weszła do mieszkania.
Marya pozostała na schodach, wahała się
długo, serce jej biło, oparta o mur, cze-
kała sama, nie wiedząc czego. Z tyłu przy-
spieszony chód dziewczeczki, powracającej

z wodą może prędzej, aby ujrzeć ową piękną panią i dowiedzieć się po co to ona pytała o Bartłomiejową, dał się już słyszeć, gdy Marya stała jeszcze. Emilka ją wyprzedziła nawet, obejrzała się i zdumiona spostrzegła żywo idącą za sobą. Otworzyły się drzwi i niemi, razem z dziewczyną wsunęła się czarno ubrana kobieta...

Z początku, gdy Bartłomiejowa chciała, widząc ją, powstać ze starego krzeselka, na którym siedziała, przybyła nie mogła nawet przemówić i wytłumaczyć po co przyszła. Staruszka wpatrywała się w nią mocno, z jakąś obawą i wzruszeniem wielkiem... milczenie długie musiało pewne potwierdzić domysły, gdyż stojącej Emilce natychmiast kazała ustąpić do drugiej izby, nim Marya otworzyła usta.

Błada owa twarz zmartwiała staruszki okryła się rumieńcem, potem trupią prawie boleścią i upadła na krzesło. Milczały obie; Marya powoli złożyła ręce i nie mówiąc jeszcze, ukłękła.

— Matko! — zawołała — matko... odpuść mi winy moje!

Bartłomiejowa podniosła się z siedzenia, wyprężyła i mocnym zawołała głosem:

— Ja nie mam córki! ja nie mam córki!

— Chrystus Magdalenie przebaczył...

— Chrystus był ojcem — odezwała się

Bartłomiejowa — ja nie mam córki! jam ją dawno pogrzebała.

I zakryła sobie oczy.

— Naówczas kobieta przypelzła do niej na kolanach, płacząc.

— Moja córka — wołała w gniewie co-raz wzrastającym Bartłomiejowa — nie chodziła w atłasach i aksamitach, ale w zgrzebnej, poczciwej koszuli i w starej odzieży... pani się mylisz, szukając tu matki...

— Jeszcze raz, jeszcze raz... matko droga, przebacz, przebacz, powracam ci z żalem w sercu.

Nie odpowiedziała stara, tylko ruchem ręki jakby chciała ją odtrącić od siebie, ogarniała się od zbliżającej.

— Idźcie sobie tam — rzekła z wysiłkiem — gdzieście przepędzili kilkanaście lat życia... ja nie mam dziecka; gdy raz ostatni zamknęły się drzwi za córką moją, w sercu mojem zabiłam jej trumnę, modliłam się jak za umarłą... Idźcie stąd, idźcie i nie kalajcie czystego domu oddechem nieczystym.

Właśnie tych słów domawiała, gdy mężczyzna słusznego wzrostu, ubrany w fartuch rzemieślniczy, pokazał się w progu, uchyliwszy drzwi i obaczywszy scenę, któ-

rej zrazu zrozumieć, ani domyśleć się znaczenia nie mógł, stanął jak wryty.

Kobieta klęcząca posłyszała skrzyp drzwi, staruszka przeczuwała syna, milczenie głębokie przerwało rozmowę. Marya wstała. Przed nią był średniego wieku z surową twarzą mężczyzna, który ciekawie, ale z jakimś przyglądał się jej szyderstwem. Od stóp do głowy mierzył ją oczyma, a usta pogardliwie skrzywione zdawały się wyrażać uczucie jakiegoś wstrętu.

Staruszka ozwała się do niego głosem wzburzonym:

— To ty Ludwiku! a wytłomaczże tej pięknej pani, której się zamarzyło przyznawać za córkę moją, że ja nie mam dziecka prócz ciebie.

Stolarz znowu zmierzył wzrokiem zapłonią kobietę.

— Idźcie sobie tam, skądęście przyszli — rzekł — moglibyście piękną salopę waszą powalać w tej brudnej, ubogiej izdebce... tu nie miejsce dla was... Gdzieby zaś stara uczciwa Bartłomiejowa miała być matką tak wielkiej pani, jaką Jejmość udajesz... Nie urodzi sowa sokoła!

I wskazał jej drzwi, marszcząc brwi znacząco. Marya podeszła ku niemu i chciała go ująć za rękę, ale rzemieślnik ją cofnął.

— Nie dotykajcie mnie — rzekł — moglibyście się powalać...

— Bracie! — zcicha szepnęła Marya — nie rozjättrzaj na mnie matkę, nie potępiać byś mnie powinien, ale pomódz biednej... Wszakżem przyszła prosić tylko o przebaczenie, upokorzona, nieszczęśliwa, wszak czujesz, że cierpieć muszę... a kto odepchnął bolejącego, temu Bóg porachuje okrucieństwo!

— No! tak! ale porachuje on też tej, co opuściła matkę i zakrwawiła jej serce i wyrzekła się gniazda swego, aby weselszem żyć życiem z obcemi. Porachuje on łzy nasze, łzy matki i łzy późne dziecięcia...

— Bracie, — odezwała się raz jeszcze Marya — pamiętaj, byś nie żałował okrucieństwa swojego.

Wyrzekła to łkając, a rzemieślnik widocznie się zmieszał, spojrział na starą matkę, która płakała — i zamilkli wszyscy...

Wtem kobieta odsłoniła twarz i oczy zaczerwienione od łez, do progu z pokorą odchodząc.

— Bóg mnie tu prowadził — odezwała się powoli — abym zasłużoną odebrała karę... a matce i bratu dał w serce nieczułość, aby oni ją domierzyli na mnie. Tak! zasłużyłam na nią i przyjmuję ją... i błogosławię wam... ona może zdejmie ze

mnie choć odrobinę zgryzoty, którą cierpiałam i cierpię. Dziej się wola Boża!... bądźcie zdrowi, idę skąd przyszedłam, nie ujrzycie mnie więcej. Niegodną jestem chwili przebyć pod poczciwym dachem, który widział pracę waszą i łzy wylane za dzieckiem. Niech Bóg da wam zapomnieć o nieszczęśliwej, która nigdy...

Tu płacz przerwał jej mowę, uchyliła drzwi i powoli wysunęła się, ale w tejże chwili Bartłomiejowa porwała się z siedzenia i pobiegła za nią i w progu objęła ją rękami; zachodząc się od płaczu, a powtarzając:

— Dziecko moje! dziecko moje!

Na widok ten zmiękł i Ludwik, potoczyły mu się łzy z oczów, przybliżył się nieśmiało...

Mówić nie mogli. Marya osłabła i padła na stołek, stojący u drzwi...

— Wody! wody! — ozwała się starszka...

Emilka musiała być pode drzwiami, bo za ledwie zawołano, wbiegła ze szklanką i kropnęła z niej na bladą twarz Maryi, która się westchnieniem ocuciła.

— Dziwne sądy Boże! — ozwała się zapłakana Bartłomiejowa — przez całą mszę świętą, myślałam jeno o tem straconem

dziecku... przychodziła mi na oczy całą drogę... myślałam, że chyba nie żyje.

— A! — rzekł Ludwik powoli — i mnieć zdawna nie inaczej się zdało, tylko że chyba już jej na świecie niema — no, ktoby był powiedział...

I popłakiwali wszyscy. Emilka tylko niespełna rozumiejąc tę scenę, stała ze szklanką, wpatrując się to w ową piękną panią, to w ojca i babkę.

Tak się skończyło szczęśliwie to spotkanie Maryi z rodziną po ośmnastu niewidzenia latach. Służąca oczekiwała na nią do późna i szarym dopiero wieczorem ujrzała powracającą, ale że się to jej nieraz trafiało, nie zwróciła uwagi tylko na zapłakane oczy swej pani.

Tegoż wieczora jeszcze wyszła powtórnie przebrana kobieta z domu przy Krakowskiem Przedmieściu na ulicę Nowo Senatorską i zastukała do tych samych drzwi, które się jej wczoraj odemknęły. Na stoliku paliła się przyémiona lampa jak wprzódy i mężczyzna siedział u księgi z pogodną twarzą, na której rozlane było jakieś uczucie błogiego spokoju — rzadkie w tych chwilach, w których wszyscy żyli gorączką.

— Dziś czystsza przychodzę do ciebie — zawołała do niego ode drzwi — dziś wielki dzień był w życiu mojem... po latach kilkunastu znowu ujrzałam matkę, odzyskałam rodzinę... i nad tą głową niegodną spoczęło błogosławieństwo macierzyńskie... dziś po raz pierwszy od dawna ja się modliłam. A wszystko to jam winna tobie, Juliuszu, — rzekła z zapalem — panie mój! Tyś wczoraj słowem dobrem wskrzesił serce umarłe, ono się dziś nie cofnęło przed upokorzeniem, wytrzymało ból wielki, doznało kary strasznej i doczekało pociechy...

— Jako? więc ty jesteś? — spytał Juliusz... tyś jest...

— Jam Polka! — odparła śmiało Marya — jam córka biednej kobiety, jam dziecko tego miasta, którego długo wstydziałam się i zapierałam. Nie chcę dłużej kłaść kłamstwem ust, które ty pocałunkiem jak żarzącym oczyściłeś węglem... powiem prawdę... O! ciężką przeszłością dorobiłam się tego pozoru arystokratycznego, tej cudzoziemskiej powierzchowności... Młodość moja zbiegła tu... aż do nieszczęsnego dnia, gdy zepsuty i bez sumienia człowiek pociągnął mnie z sobą... Był to Moskal... uwięził mnie z sobą na pół gwałtem do swej stolicy, wychował mnie na narzędzie rozpusty... potem rzucił sprzykrzywszy. O! nie każ mi sobie mówić jakie przechodziłam koleje — na wspomnienie ich drzę cała. Wiele w tem winy mojej, ale stokroć większą winą tego, co mnie nieświadomą świata, nieznającą życia, pociągnął z sobą w tę kałużę. Czystą z niej wynijść nie mogłam, pracowali nad tem, aby w mej duszy nie pozostała iskierka wiary w szlachetność człowieka... Każdy z nich miał łagodność baranka i słowa anielskie w początku, tygrysią nieczułość i wyrazy szatana, gdy się spoufalił...

Zakryła sobie oczy.

— Nie mówmy o tem, nie mówmy!—zawołała — chciałabym jako Dante napić się z Lety, zapomnieć przeszłości całej, aż do wczorajszego wieczora... pozwól mi popłakać, łzy oczyszczają, a potem przez liłość mówmy o tobie... nie o mnie.

— Mówmy o mnie, właśnie i ja pragnęłam ci coś o sobie powiedzieć, — odezwał się Juliusz — coś ważnego bardzo...

— A! przejmujesz mnie strachem...

— Nie lękaj się przedwcześnie, ale przygotuj się do tego, na co wszystkie matki, siostry i żony gotowe być dziś powinny... Rewolucya wybuchła prawie... rozszerzy się ona za dni kilka... i ja z innymi pójdę...

— Na Boga! tyś ją hamować powinien! — krzyknęła, ręce łamiąc kobieta.

— Nic jej już nie wstrzyma!

— Nie widziszże jej skutków, to straszna a nadaremna ofiara tylko.

— Nic w świecie nie jest daremne; z każdego poświęcenia my lub nieprzyjaciele nasi korzystają. Nie wierzę i ja w pomyślność, w wywalczenie swobody... ale rozumieć powinnoś. Gdzie cały idzie naród, tam wszyscy pójść powinni; na śmierć, to na śmierć, ale razem...

— O Boże mój! — zawołała kobieta — ty to mówisz tak zimno...

— Mylisz się Maryo, gorąco czuję i mówię

wię, ale gdy młodsze życie i większe nadzieje ochoczo idą pod miecz katowski, starszej głowy i zwiędłego nie godzi się uchylać serca. Pójść powinienem i pójdę...

— Julku mój i panie mój! i ty... a! cóż ja pocznę... na toż mi zaświeciło szczęście, bym je postradała tak prędko.

— Maryo! szczęście potrzeba wychylać jak wino szampańskie od razu do dna, bo z niego gaz uleci... i stanie się napojem pospolitym i bez smaku... Natura szczęścia jest, że krótkiem być musi... częściej nadzieją niż rzeczywistością... Nie potrzeba nigdy dopijać się do mętów...

— Ale nie — przerwała nagle kobieta — nie! nie! ty nie pójdziesz... to być nie może, ja cię nie puszcę...

— Pójdę Maryo! znasz mnie! nie mówię słowa, nie obmyśliwszy go długo i głęboko, gdy je wypowiem, to je spełnię...

Spojrzała ma w oczy...

— Pójdziesz? — spytała.

— Pójdę...

— Dobrze więc, ja z tobą! to także nie ulega wątpliwości, ja idę!!

— Co za myśl!

— I ja też słowa nie rzucam na próżno... zginiemy razem, albo... się razem ocalim.

Juliusz spojrział na nią z ciekawością badacza raczej, niż z namiętnością kochanka

ale w twarzy zbladłej wyczytał tylko najmocniejsze postanowienie.

— Byłabyś dla mnie nieustanną troską — rzekł — obawą nieskończoną... ja na to nie pozwolę...

— O! nie będę się pytać o pozwolenie — odparła — pójdziesz ty, pójdę i ja... to rzecz pewna; nie mówmy o tem.

— A gdy cię błagać będę?...

— Nie! nie! nic mego postanowienia nie zmieni... dosyć! W innym razie możebym cię wysłuchała, teraz nie mogę, sama obawiam się siebie... Czuję się lepszą, czystsza... jestem szczęśliwszą, a nie wierzę sobie i sile tego uczucia... nie chcę go ani próbować, ani narażać na zmianę, któraby mnie zabiła... Wolę pójść, zginąć, a kochać ciebie!

Juliusz nic nie odpowiedział chwilę.

— Mierzysz się siłami duszy i serca — odezwał się po krótkim milczeniu — aleś ty pieszczucho nie próbowała nigdy tego życia niedostatku i niewygód, jakie nas czekają. Wytrzymasz wszystko... a nie zniesiesz twardej ławy i razowego chleba. Cudnie gdzieś powiedział Jan Paweł Richter: »Życie nauczyło mnie znosić pogardę, niedostatek, upokorzenie, wszystko — prócz skrzypienia okiennicy«. Ty tak samo zno-

siłabyś może... wszystko, prócz brudnej wody i suchego chleba.

Marya uśmiechnęła się.

— Mówiłam ci kto jestem... dziewczę z ulicy, córka matki ubogiej, przypomnę sobie niedostatek dziecinnych lat i odżyję nim... Życie mnie pieściło, ale te jego pieszczoty dziś budzą we mnie wstręt tylko... orzeźwię się cierpieniem wielkiem... Zobaczysz, ono mi odda młodość moją.

Na tem się skończyła rozmowa i przeszła w cichy szept, którego nikt prócz Boga podsłuchać nie mógł.

Kilka miesięcy upłynęło od tego czasu, w którym powieść nasza się poczęła; kraj cały miotał się w tym bohaterskim wysiłku, który łzami i krwią tak okrutnie przelańą miał się skończyć; wszyscy biegli dowieść tej gotowości dzieci do obrony matki, z której nie korzyści dla niej, ale czci tylko należyj sobie się spodziewali. Tak jest, nie było rachuby w poświęceniu, ale wesola ofiara bezprzykładnie wielka, bo żadnej nie požądająca nagrody. Czas i ludzie uczynili ją jeszcze większą, odma-
wiając jej nawet uznania.

Nie godzi się ludzić, uznania tego nie mieliśmy, staraliśmy się o nie, przyjaciele nasi nieliczni pracowali nad tem, aby je wyrobić, Europa pozostała zimną, niecierpliwą, prawie niechętną. Wśród salonowego żywota, a raczej wśród warsztatowej pracy handlarskiego świata, narobiliśmy bohaterskiego hałasu, nikt nie przeczył, żeśmy mieli za sobą słusność, niestety — brakło siły, która wszystko uświęca.

Komukolwiek zdarzyło się wśród nie-

szczęsnych wypadków tych z potrzeby czy z biedy podróżować po Europie, mógł się przekonać łatwo, że ogół, wielki ogół pozostał obojętnym na męczeństwo nasze. Obojętności tej bynajmniej nie rodziło współczucie dla Moskali, którzy się sympatją dla grosza tylko swojego sowiecie rozsypanego cieszyć mogą, pochodziła ona z wewnętrznego usposobienia ludzi zepsu-tych życiem rozmiękłym, spokojnym, zdrętwiałym. W charakterze też rewolucyi 1863, wybuchłej pod naciskiem despotyzmu, było wiele dla Europy zagadkowego. Radykalni obawiali się w niej szlacheckiego i wstęcznego kierunku i nieśmiało jej przykła-skiwali, przyjaciele porządku lękali się czerwoności i socjalizmu; nikt dobrze nie zrozumiał o co nam chodziło, tłumaczono nas po kosmopolitycznemu, nie chcąc pojąć po polsku. Tyrania moskiewska oburzała, ale sztylet rewolucyi, który ręce szaleńców podniosły, nie w porę budził wstręt także, Moskwa zakrzyczała nas niesłusznie jako morderców, gdy wogóle okrucieństwem nigdy i teraz nie odznaczyła się żadna rewolucya polska. Na wyjątkowe terro-ryzmu zachcianki oburzyły się najgorętsze serca, choć często ucisk je prawie unie-winniał...

Napisać historję tej epoki zaiste trudniej

My i Oni.

7

przyjdzie niż proste dzieje wybuchu 1831 r., ze wszystkimi odcieniami przekonań, jakie w jego łonie się ukazały. Tu w jednych szeregach, w jednej organizacyi stali ludzie z krzyżem na piersi, z wiarą i ze sceptyzmem, pobożni i niedowiarkowie, rewolucyoniści i feudalni, żydzi i katolicy, prawosławni i ultramontanie, demokraci i arystokracja... Dopóki gorączka boju trwała, łączyły się wszystkie dłonie, wszystkie serca we wspólnej miłości jednej ojczyzny. Wyjarzmienie jej było celem, podrzędnie zajmowało tylko kto później panować w niej będzie i na co się ono urobi.

W chwili wybuchu kraj mimo przygotowań był prawie bez środków do walki, najłatwiej może jeszcze naówczas przyszłoby dostać pieniędzy, choć i tych początkowo organizacya nie miała — główną trudnością była broń... Austria i Prusy jeszcze się były nie ośmieliły do surowszego, czynnego ścigania Polaków, pierwsza szczególnie zdawała się patrzeć okiem obojętnem, prawie przychylnem, na wysiłki nasze. Gdy w kraju oddziały już po lasach się zbierały, gdy pierwsze z dubeltówek strzały padły, dopiero śmielsi ludzie polecili szukać oręża po świecie i środków przekradania go do kraju... Na granicach

skupiała się czynność główna, bo tamtędy mógł życiodawczy przybyć oręż do kraju...

Juliusz, który był gotowym od pierwszej chwili sięść na koń z drugimi, odebrał rozkaz jako doświadczeńszy i chłodniejszy przewodniczyć ważnemu transportowi broni, bo tego w lada ręce powierzyć nie było podobna, dla frymarków, od których świętość sprawy obronić nas nie mogła. Wszędzie, gdziekolwiek z tym nieszczęsnym groszem jest do czynienia, ludzi potrzeba zahartowanych do władania nim, aby się pokusie zmódcz nie dali i oszukaństwowi nie ulegli. Mieliśmy liczne niestety przykłady, jak ostrożnie należało powierzać piekący kruszec, który rzadko na jakiej dłoni nie wypalił stygmatu sromotnego...

Oprócz rękojmi charakteru potrzeba było i talentu do potajemnej na tysiączne przeszkody wystawionej roboty, skrytej, zręcznej i zabiegliwej. Juliusz nie opowiedziawszy się Maryi nawet znikł z Warszawy, krył on przed nią swój wyjazd jak najstaranniej, badającą zwodził umyślnie i pożegnał biletem czułym, ale nie dającym najmniejszej poszlaki, gdzie za nim tylko myślą pogonić mogła. Marya użyła naówczas wszelkich środków jakich ją politycznego agenta rola wyuczyła, wcisnęła się w najniedostępniejsze kryjówki i narady,

śledziła, dowiadywała się, cierpliwie szła z nitką Arjadny po tych labiryntach spiszkowych, dopóki nie dowiedziała się tego czego chciała...

Juliusz przez długi dosyć czas musiał zamieszkać w chacie leśnika na granicy galicyjskiej, ustronie to było zaledwie znane kilku osobom wtajemniczonym... Z pobliskiego miasteczka przysuwał się tu czasem wózek niepozorny, niosąc nieodgadnionego gościa. Niekiedy oficer austriacki z pogranicznej straży przybywał do leśnika, czasami nocą potem przesuwały się wozy wieśniacze przez lukę niestrzeżoną na terytoryum kongresówki, a Juliusz dopilnowawszy transportu, wracał na nudy do tej samotnej chaty, gdzie mu się czas wiekami długim wydawał. Broń chwymano często po drodze gdzieś, na komorach, wskutek denuncyacyi i nieostrożności na gościńcach, dużo jej ginęło, często tygodniami przychodziło czekać, wyglądać, dowiadywać się, przynaglać, wysyłać nadaremnie. Juliusz musiał nieruchomie trwać na stanowisku. Położenie jego, nie licząc niebezpieczeństwa i przykrości ukrywania się, życia na łasce otaczających, było nieznośne... Tam w kraju wrzał już bój, od którego tylko dalekie i niepewne dochodziły go wieści, a on w nieczynności po-

zornej zmuszonym był siedzieć, cierpieć, domyślać się i szermować z marzeniami skołatanej głowy.

Gospodarstwo leśnika składało się z nie-licznej bardzo rodziny, ze staruszki matki jego, z żony niemłodej także i schorzałej, dwojga wyrostków i gospodarza. Na tej pustyni zaliczyć doń należy i istoty prawie do rodziny należące, bo dzielące jej samotność niemal nadzwierzęcem uczuciem, kot, pies, kilka kóz i klacz kasztanowata, zwana cyganką, równie przynajmniej z ludźmi zajmowały przybysza. Niekiedy faworyt staruszki bury myszółowca przychodził się ocierać o nogi Juliusza, jeżąc grzbiet i wyprężając ogon, naówczas zazdrość chwyciła za serce Lewka, psa podwórzowego, przylatywał, rzucał się na kota i po krótkiej walce kładł głowę na kolanach wędrowca, kiwając ogonem. Kozy mniej przyswojone już go się nie obawiały, a cyganka drżała doń, gdy przychodził do stajni. Juliusz prawie równie sobie potrafił ludzi pozyskać; dwie niewiasty z początku koso nań patrzyły, obawiając się, aby Andruszka nie odpowiadał za ułatwienie przemykania broni, gdy jednak spostrzegły pieniądze suto płynące do mieszka, a wojskowych podających środki i ułatwienia do roboty, przestały się obawiać i zaczęły

nądszkakiwać Juliuszowi, który obiecywał dostatek z sobą wnieść do ich chaty. Stara matka sama jegomości wodę do herbaty grzała, żona leśnika pytała go zawsze coby mu było lepiej na obiad do smaku, dzieci pokoju mu nie dawały pytaniami. Gospodarza Andruszkę rzadko widywał Juliusz inaczej jak wieczorami, musiał on obchodzić swoją część lasu, pokazywać się, gdzie go ludzie widywać byli nawykli, wreszcie jeździł z pismami i ustnymi zleceniami do bliskiej miejsciny. Za to gdy noc nadeszła, a długie milczenie dzienne pożądaną czyniło rozmowę, siadali z nim w progu i gawędzili do późnej nocy. Spać było można i we dnie, rozmawiać swobodnie tylko w godzinach tych spoczynku.

Juliusz po raz pierwszy w życiu stykał się tak blisko z człowiekiem niepiśmiennym, pochodzącym z ludu, wykształconym nie z papieru, ale przez doświadczenie, myślenie i trudne koleje własnych prób serca i głowy. Nie spodziewał się on tu znaleźć takiego rozsądku, rozwagi spokoju i jasnego poglądu na świat i jego sprawy. Andruszka z natury był obdarzony umysłem dość bystrym, różne życia koleje dały mu poznać człowieka i stosunki towarzyskie w tej sferze przynajmniej, z którą miał choć daleką styczność. Dziwić się było

potrzeba surowości i rozsądkowi leśnika, który przy pewnej grzeczności dla gościa, spytany wprost o coś, nigdy mu prawdy nie taił.

W pierwszych dniach zaraz po osiedle-
niu się w chacie, Juliusz począł z nim
mówić o rewolucyi, strażnik słuchał długo
w milczeniu, nie chciał nic odpowiedzieć,
w ostatku odezwał się zakłopotany.

— Daj Boże szczęście tym, co dobrze
myślą i dobrego pragną...

— A wyż nie pragniecie Polski i swo-
body?...

— Cóż my, biedne ludziska... nie nauczy-
liśmy się ani waszej Polski kochać, ani
większej swobody pragnąć... nie wiemy
dobrze o co chodzi... Nas nie dotyka tak
bardzo to, co wam ciąży... myśmy, prawdę
rzec, dosyć obojętni... Jakiemiście nas u-
czynili, takimi macie...

Ostatnie słowa uderzyły Juliusza, były
pełne gorzkiej prawdy, włościanin nie znał
tej matki, dla której mu walczyć kazano,
a nie był pewny czy swoboda drugich nie
będzie dlań cięższą niewolą...

Z dalszych rozmów przekonał się Juliusz,
że Andruszka miał wstręt do najezdców
obcych, ale prawie równy krył się pod
pozorną obojętnością i przychylnością dla
swoich braci i innych warstw społeczeństwa.

Wieśniak nie dowierzał im, obawiał się, był zrażony. Obcującemu z ludem nie było tajemnicą, że rachować nań mogli tylko, ci, co go znali z papieru, książek i teorii.

Oświata wprawdzie mogła z niego uczynić najlepszych kraju obywateli, ale na nią potrzeba było czasu i pracy niemało.

Z innymi razem sądził Juliusz, że lud w końcu da się urokiem krwawego dramatu pociągnąć, nie mylił się w istocie, ulegał on wrażeniu tego poświęcenia bohaterckiego, ale tylko siła i zwycięstwo mogły go do działania pobudzić, a ofiarnictwo później dopiero na umysłach miało wycisnąć to piętno, którego sztuki należą do przyszłości. Z moglił wstaną do nawracania ludu duchy, gdy mogiły darnią i ostami porosną. Krew przelana musi wsiąknąć w ziemię, nim plon wyda...

Postawiony na straży w tem odludziu Juliusz rozmyślał wiele, były dlań dni ciężkiej tęsknoty i nieprzebyte nudów godziny... słuchał szumu lasów naówczas, razem z Lewkiem siadał na przyźbie i oba patrzyli w zielone głębie, czekając czy się co na pustynnym nie zjawi gościńcu. Trudno uwierzyć, by w ciągłej obawie, niepewności i nieustannych ostrożnościach, które przedsiębrać było potrzeba dla siebie i powierzonej roboty, Juliusz mógł być

zdołnym do jakiej pracy; mimo to wszakże dziwne jego usposobienie w niej mu szukać kazało uspokojenia, ukołysania duszy. Wziął z sobą Shakespeara i Platona, i jeżeli nie siedział nad rachunkami lub nie poił i nie bałamucił nadgranicznych strażników, zatapiał się w nieśmiertelnych wyrazach myśli ludzkiej, aby zapomnieć o tem, co go otaczało i oczekiwało. To maluje człowieka z pewnych względów, miłość dla kobiety upadłej, poświęcenie dla sprawy, w której zwycięstwo słabo lub nie wierzył, gorące zajęcie robotą najmniej ponętną i odżywianie się u źródła czystego gieniuszu. Z podobnych sprzeczności ileż razy człowiek się składa!! Takim go czyni wrodzona iskierka ducha, żywot ciężki i napojenie pojęciami różnemi... Sceptyk miał jedną wiarę w wielkość poświęcenia i skuteczność ofiar dla ludzkości, choćby pozornie daremnych. Z wielu innemi wierzył mocno, że rewolucya polska, nie sięgając tego celu, jaki sobie zamierzała, dojdzie do innego, może ważniejszego niż ten, który sobie założyła. Tak starzy alchemicy pracując nad robieniem złota, wynajdywali mimowoli różne kombinacye, które nauce i ludziom posłużyć miały do dalszego pochodzenia...

Jednego wieczora siedział tak Juliusz

przed chatą obyczajem swoim, Lewka na straży mając przy sobie z nastawionemi uszami, gdy w głębi lasów szelest się jakiś dał słyszeć. Pies dużo wprzód poczuł zbliżenie się czyjeś, nim Juliusz je pochwycił.

Sterczące uszy Lewka, potem pociąganie nosem niespokojnie, później urywane nadszczekiwanie, naostatek zerwanie się z przyżby i obranie stanowiska przed chatą, oznajmiły coś niezwyčajnego. Zwykle Lewek inaczej powrót do domu Andruszki przeczuwał, naówczas kręcił się milczący, wesóły, nadszczekiwał, ale wesóło, wybiegał aż do pierwszych zarośli i kręcąc ogonem, powracał, wypowiadając dzieciom i żonie swą radość. Wiedziano już, że gospodarz był blisko. W razie, gdy kogo wiódł z sobą, uciecha psa pomieszana bywała z trochę niepokoju. Tym razem widocznie musiał się zbliżać ktoś obcy całkowicie, bo pies bardzo się kręcił i groźnie odzywał szczekiem, który na wycie zarywał. Ucho wyteżone Juliusza, który był Shakespeara porzucił na pierwszym akcie Cymbeliny, napróżno usiłowało chwycić szmer jakiś w oddaleniu, najgłębsza cisza panowała w lesie, niekiedy tylko szelest poruszonych gałęzi, jakby od przebiegającego zwierza, przerwał milczenie puszczy. Niepokój psa wszakże coś oznaczał, na wszelki

wypadek Juliusz poszedł po rewolwer i włożył go do kieszeni, wszystkiego spodziewać się należało, ci co za pieniądze przewozili broń, również za pieniądze zdradzić mogli. Szubienica czy więzienie forteczne groziły przebranemu agentowi do dostawy broni.

Pies wybiegł daleko drożyną, wiodącą nie do miasteczka, ale nad granicę polską i ujadać począł okrutnie, potem uciał, zaskowytał, szczeknął radośnie i pierwszy ukazał się na ścieżce... za nim szedł Andruszka, za Andruszką jakiś nieznajomy niewielkiego wzrostu mężczyzna, czarno ubrany z lekką fuzyjką na plecach.

Juliusz wstał i przypatrywał się bacznie kogo mu prowadzono, gdy nagle pobił i ręce załamał, w bladej twarzy przybysza poznał przebraną Maryę... W głowie mu się pomieścić nie mogło, jak się tu ona dostała... wstyd jakiś, gniew, wdzięczność razem ogarnęły go... myśl wreszcie przeleciała po głowie błyskawicą, że tak samo, jak ona, i obcy mógł się o niego dopytać. Wszystko to trwało chwilę tylko, bo biedna kobieta już mu ręce zarzuciła na ramiona z płaczem i witała go, nie mogąc przemówić słowa. Andruszka stał i patrzył posepny, mimo doskonałego przebrania, poznał on, prowadząc podróżnego, że był

kobietą i dziwne myśli chodziły po starej jego głowie. Zimny dość człowiek czuł się poruszony tem poświęceniem niezmiernem i serce go zapytywało... co jest w tej sprawie tak potężnego, aby dla niej ludzie życie, spokój, majątek, cześć swą i wszystko wazyli. Przykład mówił mu i przekonywał, że w głębi leżała niepojęta dlań tajemnica... Takimi chwilami wrażenia nawracają się ludzie.

Złamana podróżą pieszo męczącą, obawą, jakiej doznała i powitaniem z Juliuszem, Marya musiała usiąść, aby nie paść, serce jej biło i głowa się zawracała. On patrzył i milczał, więcej zmieszany, niż szczęśliwy.

Miał już ją zapytać jak się tu dostać potrafiła, gdy z za sukni dobyła zwitek papierów, — rozkazy urzędowe, które niosła, te Juliuszowi wytłumaczyły wszystko. Marya przyjęła na siebie obowiązki posłańca, aby się mogła o niego dowiedzieć i dostać do niego. Niosła znaczną sumę pieniędzy, na którą Juliusz oczekiwał, dyspozycye, wskazówki, rozporządzenia władzy niewidzialnej, a naówczas jeszcze wszechmocnej prawie. Papiery te drżały w rękach Juliusza, ale nieprzytomny czytać ich nie mógł... podał dłoń Maryi milczący i wprowadził ją do alkierza, w któ-

rym sam zamieszkiwał. Przed domkiem został rozłożony tom Shakespear'a, Lewek laszący się przed panem i gospodarz, szepczący coś do żony po cichu.

Juliusz z uczuciem głębokim, ale z surowością zarazem przyjął Maryę, był jej wdzięczny i niespokojny, w pierwszych wyrazach wypowiedział natychmiast naganę za porwanie się do takiego kroku nad siły niewieście.

— Przecież widzisz, — odpowiedziała mu pokornie — żem się tu cało i bezpiecznie dostała... a jeśli ci będę zawadą i nie zechcesz mnie, odejdę jakem przyszła, ale mi zostanie pociecha, żem ciebie widzieć mogła i dłoń twoją uścisnąć... ty nie wiesz jak gryzie i zjada tęsknota, boś jej nie doznał... Ty zatopić się możesz w książce, odlecieć od terażniejszości, twoja miłość dla mnie jest znizeniem się Bóstwa jak w balladzie Bóg i Bajadera... moja podźwignięciem ku światłości... dla której i ja... bajadera nieszczęsna na stos jestem gotową...

Juliusz się zamyślił... Nie mieli czasu rozmówić się dłużej, gdy gwałtowne szczerkanie Lewka zaniepokoiło Juliusza, znał on wszystkie głosy wiernego stworzenia, oznajmujące o niebezpieczeństwie, prawie

równocześnie gospodarz wpadł zbladły do alkierza...

— Paniczu zawołał żywo! Bóg wie co się stało, ale zdaje się, że od moskiewskiej granicy dano znać naszej straży o czemś... jadą tu na rewizyę... oddział wojska i urzędnik cywilny i gromada chłopów ze sąsiedniej wsi, na Boga żywego, uciekajcie...

Maryja straszliwie pobladła, mimowolnie ta wiadomość, rażąca jak piorun, ubodła ją w serce, równo z jej przybyciem przychodziło nieszczęście, któż wie czy ją upadła, spodłoną w przeszłości, Juliusz nie mógł posądzić o zdradę?

Straszny ten pomysł tylko mignął przed nią i był dla niej ciosem prawie śmiertelnym, posłoniła się, była omdlenia bliską. Juliusz, zapomniawszy o sobie, biegł ją ratować, gdy Andruszka zawołał:

— Jest kwandrans czasu najwięcej, co żywiej, uchodźcie, uchodźcie... Znacie ścieżynkę, wiodącą do ługu, za którym jest stary piec wapienny, skryjcie się tam w zaroślach, ja, jak się tylko uspokoi, przyjdę po was, na Boga ani chwili nie traćcie...

Juliusz pochwycił dwa rewolwery w kieszenie, papiery na piersi, zapiął suknią, porwał Maryję za rękę i począł biec ku drzwiom. Lewek ciągle zajadłe nadszcze-

kiwał... poza krzakami głucho wozów sły-
chać było tętnienie...

Już wychodzić mieli, gdy biedna kobieta,
zmęczona pochodem, dobita wrażeniem,
osunęła się na podłogę i zemdląła. Juliusz
ledwie miał czas rzucić jej wodę na twarz,
Andruszka łamał ręce na progu i powta-
rzał machinalnie zdrewniały ze strachu:

— Uchodźcie! uchodźcie! na Boga u-
chodźcie!

Nie było się co ludzić; Marya choć ocu-
cona iść i uciekać nie mogła, na czole jej
bolesny złożywszy pocałunek, Juliusz wa-
hał się co miał uczynić, gdy ona go sama
odepchnęła wołając:

— Nie myśl o mnie! uciekaj! uciekaj!

Od drzwi i dziedzińca już postrzeżonym
być mógł Juliusz, otwarto okno i przez
nie skoczył w zarośla... Nastąpiła chwila
oczekiwania straszna, długa, po niej hałas
na podwórku, zmieszane głosy różne i wrza-
wa, Marya nie słyszała nic, leżała bezprzy-
tomna i zemdląła powtórnie. — Myśl jedna
dobiła ją.

— On może na chwilę przypuścić, że
ja go zdradziła! że byłam sługą jego wro-
gów! o Boże mój! o mój Boże!

Pomimo wielkiej siły charakteru i krwi zimnej, którą w nim każde nagłe niebezpieczeństwo podwajało, Juliusz uczuł się niepewnym co miał począć, gdy znalazł się w zaroślach i gęstwinie pod oknami dworku strażnika, wahał się chwilę, czy uciekać dalej czy starać ukryć się bodaj w gałęziach starych dębów niedaleko stojących. Nadjeżdżający oddział nie mógł płądrować po lesie, bał się oddalić, zostawiając Maryę, nie dobrze wiedział dokąd się udać. Instynkt zachowawczy, który przybywa w pomoc człowiekowi, gdy rozum w nim zamiera i staje się niedostatecznym, pchnął go głębiej w las. Przedarł się przez krzaki, nadśluchując nieco. Krótkie, urywane tylko nadszczekiwanie psa, dochodziło uszów jego, tętent, potem milczenie złowrogie. — Pomędzy drzewy stary jakiś dół suchy, zarosły pokrzywami zdawał mu się dostatecznym ukryciem, wpadł weń i zarył się głęboko, czekając co dalej się stanie. Był o jakie kilkaset

kroków od chaty, wśród gąszczy nieprzebytych.

Krótką chwilą rozmysłu zdawała się go przekonywać, że nie było potrzeby zbyt daleko uciekać... mógł wpaść na krążące straże nie będąc świadom dobrze kierunku, w jakim się miał udać. Juliusz był też po trosze fatalistą i powiedział sobie, że jeśli go los zechce ocalić, potrafi tak dobrze w rowie jak gdzieindziej. Najpilniejszą sprawą było zniszczenie papierów, które miał przy sobie, rozwinął więc je, rzucił okiem na przywieszone mu świeżo i ważniejsze począł drzeć i połykać. Resztę, którą chwycił uciekając, odgrzebawszy ziemię rękami zakopał i przykrył garstką zgniłej słomy, aby pokryć świeżo poruszoną ziemię. Odbywszy to przygotowanie pierwsze, uznał koniecznem samemu przejść gdzieindziej, aby na wypadek odkrycia w temże miejscu nie znaleziono zagrzebanych papierów. Cisza była dokoła, wysunął się z rowu i przedzierał dalej gęstwiną, nie dobrze wiedząc, dokąd idzie. Została tylko przy nim znaczna suma pieniędzy i dwa rewolwery nabite. — Pieczętka, dokumenta i wszystko co sprawę zdradzić mogło, leżało zakopane i bezpieczne... Juliusz oprzytomniał nieco, spełniwszy pierwszy obowiązek, teraz szło już

My i Oni.

8

tylko o własne bezpieczeństwo, a z życia uczynił był dawno ofiarę. Uchodząc przysłuchiwał się, ale choć mu się zdało, że nie mógł być w wielkiem oddaleniu od chaty leśnika, żaden go stamtąd głos nie dochodził. Na drzewie dzięcioł tylko wystukiwał dzienną swą strawę, a górą gałęzie, poruszane wiatrem, szumiały poważnie. Ta cisza natury obojętnej dziwnie mu się wydała przy bijącym sercu jego... Lazur nieba, które widać było w górze, tak był czysty i jasny, jak w najpogodniejsze dni życia.

Zdało mu się, że bić się głębiej nie było potrzeby, wszyl się w krzaki i padł pod ich splecionemi gałęźmi — obraz biednej Maryi stał mu przed oczyma, serce biło ku niej — ale ten tak gwałtowny napad właśnie gdy ona odkryła go, mimowolnie obudził w nim podejrzenie, które odepchnął od siebie.

Niestety! zła myśl powraca, gdy dobra ucieka... wpiła się ona w pierś znękaną z siłą nadzwyczajną, Juliusz doznał kary za ukochanie istoty odrzuconej, jej przeszłość ciążyła nad nią i nad nim. Napróżno starał się wyrozumować, że ona żadnego udziału w tej przygodzie mieć nie mogła, podejrzenie wracało odepchnięte za każdą

razą, przynosząc z sobą nowe na poparcie domysły i oznaki.

W tem niewysłowionem cierpieniu nad-szedł powoli wieczór, zmierzchało, a Juliusz nie słysząc pogoni, widząc się bezpiecznym, wyrachowawszy, że z chaty strażnika ci, co go szukali, odjechać już musieli, postanowił dopełznąć ku niej, aby o tem co się stało dowiedzieć.

Z największą ostrożnością, odchylając gałęzie począł wracać ku domostwu, ale niełatwo mu było do niego znaleźć drogę, choć zdawało mu się być bardzo blisko. W chwili, gdy się już spodziewał dostać do ogródka, znalazł się w gęstwinie leśnej i spostrzegł dopiero, że się zupełnie obłąkał. Zwrócił się więc na nowo, poszukując własnych śladów, przypominając którąś szedł wprzód, ale mrok wieczorny, zwiększony cieniem lasu, zasłaniającemi niebo drzewami, coraz bardziej zalegał zarośla, w których o krok rozpoznać się nie było podobna. Upadał w doły, i tłukł się o kłody, których nie mógł już dostrzedz. — Trzeba więc było spuścić się na los i instynktem iść na oślep w jedną stronę, potem w drugą, podsłuchując czy głos Lewka lub skrzyp studni i cicha rozmowa nie wskaże mu chaty leśniczego. — W zupełnej w końcu znalazł się nieświadomości miejsca, w któ-

rem się znajdował. Lękał się odezwać, aby nie zwabić pogranicznej straży lub jakiego ruchomego patrolu celników, krążących nad kordonem.

W tej niepewności rzucając się po lesie i nie wiedząc co począć, jak radzić, przez splecione gałęzie zarośli dostrzegł naostatku światełko, ucieszył się, była to gwiazda wybawcza! sądził że błyskało ze znajomego mu okienka strażnika. Śmielej teraz posunął się ku niemu wprost i po niedługiej chwili znalazł się w istocie blisko znajomej chaty. — Nie śmiał jednak zbliżyć się i wejść, obawiając się czy żołnierze w niej nie nocowali... Podkradając się cicho aby nie zrobić szelestu sobą, przysunął się do ściany od tyłu, i zajrzał w okienko, ale cofnął natychmiast... Izby pełne były żołnierstwa, o kilka kroków od niego, w podwórku taborem leżeli wieśniacy, spędzeni także na obławę tę nieszczęśliwą. — Nie było więc środka innego, musiał sam, nocą, jak najdalej uciekać. Już nadszczekiwanie Lewka, który się zbudził dosłyszawszy szelest gałęzi w pobliżu, zaczynało zwracać uwagę żołnierzy; Juliusz miał zaledwie czas odskoczyć w bok i mniej więcej obmyśliwszy kierunek, posunął się w głąb puszczy.

Wiedział on o niezbyt oddalonej drugiej

straży, której nadleśny był mu znajomy, tamtędy zwykle przechodziły transporta, nieraz bywał tam pieszo, zdało mu się, że i nocą szczęśliwa gwiazda go zaprowadzi. Obmyślił sobie zanocować tam a przysłać do Andruszki później po trochę odzieży i schowane jeszcze w chacie papiery, które jak się spodziewał, nie zostały pewnie odkryte.

Pochód ten wśród coraz głębszej ciemności, okazał się daleko trudniejszym niżeli sądził zrazu, niepodobna prawie było iść stale w jednym kierunku, las przerzynały bagienka, kłody, nieprzebyte gąszcze, które musiał omijać, a obszedłszy je, zbaczal z drogi i tracił o niej pamięć, tak że w końcu sam nie wiedział już jak szedł i dokąd.

Po długim i nużącym pochodzie, niespodziewanie zaczęły się przed nim przerzedzać drzewa i szersza jakaś ukazała droga. Juliusz wszakże rozpoznać jej nie mógł, ani sobie przypomnieć. Właśnie na nią wchodził gdy nagle dał mu się słyszeć okrzyk moskiewskiego żołnierza, a prawie razem błysnął wystrzał... Biedny zbłąkany uczył się jakby silnie uderzonym w prawe ramię — kula mu je zgruchotała.

Nie wydając krzyku przypadł na ziemię, sądząc że go ciemność osłoni i że czolgajac

się powoli zapełnie w głąb lasu, ale w tejże chwili poczuł silną rękę, która go chwyciła za gardło.

Lewą sięgnął po rewolwer i miał jeszcze siłę wystrzelić. Napastnik go puścił, ale natychmiast przypadł drugi i porwał go za nogi, cisnąc do ziemi i bijąc. Dwóch jeszcze nasiadło mu zaraz na kark, a że prawą rękę miał zgruchotaną strzałem, poddał się nie mogąc bronić więcej i został na łasce strażników granicznych...

Radość ze schwytania go była ogromna, naniecili zaraz ognia i spostrzegłszy surdutowego jegomościa w miejscu kontrabandzisty, którego się ująć spodziewali, poczęli go chciwie odzierać. — Nie ma nic okrutniejszego nad taką dziczą, gdy się czuje zwycięską — pastwi się ona wówczas z zajadłością zwierzęcą gdy jej żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Juliusz zrazu czuł jak go zwlekano z odzieży, tarzano po ziemi i bito, potem omdlał z wielkiego bólu, i z krwią upływającą stracił zupełnie przytomność. Zdawało mu się, że umiera — niestety! osłabł tylko i wkrótce miał się ocucić.

Gdy oczy otworzył i oprzytomniał znowu znalazł się w budynku jakimś, otoczony zgrają żołdactwa, związany grubemi postronkami. Żydek cyrulik, z pobliskiego

miasteczka opatrywał mu ranę z niezgrabnością zarozumiałego nieuka. Czyniono to z rozkazu pana naczelnika wojennego, nie żeby go miał los nieszczęśliwego obchodzić i litość obudzać, lecz że twarz jeńca i ilość pieniędzy znaleziona przy nim (uszły one baczości pierwszych łupieżców, którzy tylko portmonetkę zabrali) — kazały się domyślać jakiegoś ważnego politycznego człowieka. Leczone go więc, aby dłużej męczyć, a nadewszystko, żeby się od niego coś dowiedzieć. Rząd moskiewski przez czas bardzo długi nie mógł trafić na żaden ślad organizacyi, łapano z początku tych, co umieli milczeć lub nie nad okólniki wygadać nie mogli; starano się więc wszelkimi sposobami o dostanie języka. Juliusz naturalnie przeznaczonym został do Warszawy, gdzie główny zasiadał trybunał, i dlatego chciano zatamować upływ krwi i zabezpieczyć się, że w drodze im nie zemrze. Nie było to poszanowanie boleści ludzkiej i człowieka, ale prosta, chłodna rachuba.

Rana zresztą była w istocie niebezpieczną, gdyż kość była zgruchotaną, cyrulik nawet nie wiedział co z nią począć, ale odgadł, że odjęcie ręki było koniecznem, a na tę operacyę ważyć się nie śmiał. Powołano wojskowego lekarza, który od

pierwszego wejrzenia wyrok ten potwierdził. Był to Moskał, człowiek już niemłody, zahartowany praktyką szpitalną i doświadczeniami *in anima vili*, nie cierpiący przytem Polaków, bo doktorowie polscy więcej od niego umieli; obszedł się więc z jeńcem do niezręczności mimowolnej łącząc grubiaństwo umyślne, jak był zwykł z żołnierzami... nie szanując ani nieszczęścia ani cierpienia, naigrywając się z obojga. Dla niego Polak był mniej niż człowiekiem... Juliusz poczuł się tem mężniejszym im okrutniejszym był oprawca, skupił w sobie całą siłę ducha, aby nawet nie jęknął, co gorzej jeszcze rozwściekliło doktora Sawirowa.

Nie szczędził środków, aby wywołać skargę i prośbę o litość, któraby mu dozwoliła odpowiedzieć szyderstwem, ale na próżno. Juliusz do końca zagryzał usta i zamknawszy oczy, zdawał się skamieniałym, trupia tylko bladość pokryła twarz... Zmęczył się nareszcie kat i powierzwszy obandażowanie cyrulikom, sam powrócił zamyślony do pana naczelnika wojennego.

— No? a cóż? spytał pułkownik, oporzadziliście go?

— Biała rączka Polaczka leży na stole... rzekł potrząsając głową Sawirow, ale mylicie się sądząc, że z tego więźnia co do-

będziecie! Darmo go posyłać do Warszawy i badać, to jucha twarda! Próbowałem ja go, ale ani jęknął... o! zacięty! Jeszcze mi się nie trafiła amputacya, żeby ją kto tak zniósł. Musi to być któryś ważniejszy buntownik... da się ściąć i powiesić, a nie piśnie słowa, za to wam ręczę.

Pułkownik się uśmiechnął, miał w tej mierze doświadczenie.

— Stefanie Prokopowiczu, odpowiedział, krótki ból, półgodzinny, każdy mężny człowiek przetrwa, ale powolną a długą męczarnię! Jesteście doktorem a ludzi nie znacie! Polak da sobie ściąć głowę, ale nie znieś czasem głodu, chłodu i trudu więzienia. Oni tam już w Warszawie wiedzą jak sobie radzić z nimi. Byleby dojechał.

— O! dojedzie, za to ręczę rzekł Sawirow.

— No — to niech sobie rusza... można go zaraz wyprawić?

— Wszystko jedno, umrzeć nie umrze, a że się gorączka powiększy i pocierpi gorzej, cóż wy go żałować będziecie?

Pułkownik ruszył ramionami z uśmiechem, doktor także, nie potrzebowali mówić wiele.

— Mniej jednym z nich... dodał lekarz, to i lżej matuszce Rosyi. — Naprawić my

ich nie naprawimy, a pozbyć się potrzeba...
jak zdechnie to zdechnie!

Nie ci tylko dwaj wielcy politycy tak rozumowali, Rosya przez usta Katkowa ogłasza to jako swoją teorię, od której odstąpić nie myśli — wytepić jej potrzeba, bo za słabą jest, żeby nawrócić, za dziką żeby pochłonać; zabić więc tylko może i zabija.

Nazajutrz wsadzono Juliusza z ręką odciętą i gorączką okrutną w powóz zabrany u jednego z obywateli tytułem rekwizycyi (który sobie potem oficerzyna przywłaszczył) i pocztą powieziono go do Warszawy.

Ale choroba wzmogła się tak silnie w ciągu pierwszej doby, że bezprzytomnego i znękanego z obawy śmierci wstrzymano w pierwszym miasteczku po drodze. Naczelnik wojenny, w którym się odezwało jakieś ludzkie uczucie i przebiło przez mundur, kazał więźnia pod strażą umieścić w lazarecie wojskowym. Użyto wszelkich możliwych środków dla wstrzymania gorączki i usunięcia niebezpieczeństwa, ale potrzeba na to było kilku tygodni, by w dalszą drogę mógł się udać. Z Warszawy dopominano się o niego pilnie, zniknięcie bowiem dawało się domyślać jego współudziału, a każdy nieco znaczniejszy czło-

wiek, zdawał się naówczas władzom jednym z najważniejszych członków rządu narodowego. Nie tyle szło o powieszenie, bo było kogo wieszać, jak o wyciągnięcie z niego jakichkolwiek zeznań. Wysłano więc Juliusza do cytadeli, ale i tu nie można było inaczej jak w lazarecie go umieścić. Mimo potęgi moralnej i niezłomnego charakteru Juliusz był po przecierpianych próbach ledwie pół żywą istotą, domagającą się tylko śmierci i końca... Od ujęcia nie otwierał ust prawie, postanowiwszy milczeniem zbywać wszystkie pytania, nie myśląc nawet się bronić. — Łajania, groźby, obelgi nic na nim nie wymogły, kamienia tylko od nich; rannego i zboląłego bić się nie ośmielono, nie przez litość, ale obawiając się by nie umarł, a do grobu z sobą nie poniósł tajemnic...

Dotąd sądził Juliusz, że nawet imienia jego nie wiedziano; ale wskutek wiadomości osiągniętych z Austrii, od władz pogranicznych i poczynionych denuncyacji w Warszawie, przekonał się wkrótce, iż nazwisko jego było im znane, przeszłość nie obca. Mało go to obeszło, spodziewał się zawsze iż stan rany się pogorszy i sprawdzi śmierć, kilka razy w nocy odrywał bandażę, lecz pilnie czuwano nad nim, zdrowie najniepojętym sposobem wracało,

wyczerpnięte życia zasoby odradzały się dziwnie.

Po przyjsciu do sił, gdy go postawiono przed komisją śledczą, kalekę bez ręki, między zasiadającymi w niej spostrzegł dawnego niegdyś niby przyjaciela, towarzysza szkolnego, o którego wysokiem powołaniu nowem wcale nie wiedział. Wejście jego padło na bladą twarz odrzutka, który oczy osłonił okularami skrył w papierach... Nie wiedział sam czy się z tego miał cieszyć, czy obawiać.

Trudno było udawać niemego, na pierwsze więc pytania odpowiedział Juliusz, że nie wiedział, za co go straż nadgraniczna pochwyliła, że jechał do krewnych w Galicyi z paszportem, że się nocą obłąkał, a nie czując się wcale winnym w niczem, tłumaczyć się nie widzi powodu.

Na to po chwilce poszukiwania w papierach, odparł zimno jeden z członków komisji odczytaniem obszernego raportu, który życie, prace, myśli i wszelkie czynności obwinionego w kraju i za granicą opisywał bardzo szczegółowo. Było w tem wiele prawdy, ale nieznanomość osób i stosunków domięszała drugie tyle fałszu, tak, że akt ten dziwnie się bardzo wydawał, z jednej strony odkrywając takie rzeczy, o których mało kto mógł wiedzieć, z dru-

giej narzucając wnioski i domysły całkowicie mylne.

Daje się to do dziś dnia widzieć we wszystkich dziennikarstwa rządowego i śledztw wnioskach, opartych na źle zrozumianych wiadomościach, w których prawda pochwycona najdziwniej jest użyta i powykręcana, przez kraju niewiadosłość.

Odczytywanie tego ważnego dokumentu trwało dosyć długo; zrodził on najboleśniej-sze w nim uczucie, nowy domysł, że został zdradzonym przez tę, którą ukochał. Odepchnął go wprawdzie z oburzeniem, ale mu się naciskało to przypuszczenie gwałtownie... Zdawało mu się, że nikt oprócz niej tak nie mógł znać wszelkich życia jego przygód i tajemnic... czuł w tem jej rękę...

— To być nie może! — mówił w duszy, a serce rozkrwawione odpowiedziało: — Wszystko być może na tym świecie, a najprędzej to złe, którego się człowiek najmniej spodziewa... Dotknięty, złamany tem przypuszczeniem, nie myśląc się ani bronić, ani przeczyć, Juliusz odpowiedział tylko:

— Ponieważ panowie jesteście tak dobrze uwiadomieni o wszystkim co się mnie tyczy, nie sądzę, abym był obowiązany w czemkolwiek ich jeszcze objaśniać. Proszę mnie sądzić.

Zręczni inkwizytorowie starali się swoim zwyczajem napróżno przedstawić winowajcy, iż skrucą mógłby swój los polepszyć i karę złagodzić; więzień zamilkł, spuścił głowę na piersi i zbywał ich tylko niezbędnymi półsłowami.

Dano mu jeszcze czas jakiś do namysłu i odprowadzono do więzienia.

Żołnierze i urzędnicy, którzy na dworek leśniczego wskutek jakieś denuncyacji napadli, znaleźli Maryę zemdloną, strój męski był powodem, że ją natychmiast aresztowano, ale gdy odzyskała zmysły i okazała jak najlegalniejszy paszport i listy polecające od władz, które miała przy sobie, mimo podejrzeń jakie bytność jej w tem miejscu obudzała, musiano ją wypuścić niezwłocznie. Zeznania ludzi miejscowych dowiodły dostatecznie, iż tylko co tam przyszła, ona sama tłumaczyła się, że zbłąkała się w podróży. — Napróżno poszukiwano głównego winowajcy — znikł bez śladu... Dopiero w parę dni rozeszła się wieść o ujęciu na granicy i postrzeleniu przez strażników jakiegoś nieznanego mężczyzny, w którym się Andruszka swojego zbiega domyślił.

Zaledwie uwolniona Marya w rozpaczpuściła się w pogoń za Juliuszem, ale mimo zręczności i natarczywości w poszukiwaniu, nigdzie nań trafić, potem dostąpić doń i widzieć się z nim nie mogła. Winna

tylko była umiejętności języka rosyjskiego i płci swej, że ją nie uwięziono. W ślady Juliusza przybyła na granicę po jego schwytaniu, w miasteczku gdzie chorował, widzieć się jej nie dopuszczano z nim, a gdy raz został zamknięty w cytadeli, stało się zupełnem niepodobieństwem, dobić do niego. Dawne stosunki Maryi ułatwiały jej wiele, przecież nie mogła wszystkiego poświęcić od razu, rachując na to, że stanowisku swemu może być winną później jego ocalenie. Wiedziała już, że Juliusz postradał rękę, że mocno był chorym, ale miała przecucie, że on nie umrze, dopóki ona czynem przed nim usprawiedliwić się, dowieść mu poświęcenia nie potrafi. Marya znała doskonale Petersburg i Moskali, ale w innych całkiem czasach, gdy liberalizm był w modzie, gdy z nimi prawie wszystko co kto chciał pieniędzmi i kobiecym uśmiechem mógł zrobić. Nie zdawała sobie sprawy z wielkiej zmiany, jaka zaszła w ciągu kilku tych miesięcy w rządzie, w opinii i porządku spraw politycznych. Może dla tego śmielszą była i spokojniejszą.

Powróciwszy do Warszawy tak, że na siebie nie ściągnęła podejrzeń o *współczucie* dla sprawy polskiej, biedna kobieta pasować się musiała z sobą, nim odzyskała

dość siły do dalszej, ciężkiej pracy. Trzeba było, musiała powrócić do obrzydłych dawnych stosunków, do kajdan plugawej niewoli, aby kosztem poniżenia własnego, ulżyć losu Juliuszowi, trzeba się było uśmiechać z rozdartem sercem i wdzięczyć do katów.

Był to niestety, teraz jedyny sposób ratowania nieszczęśliwego. Na bladą i wynędzniałą twarz jej wystąpił kupny rumieniec, bo potrzebowała być piękną — piękność była narzędziem jej nieszczęśliwego rzemiosła. Otworzyła znowu drzwi mnogim dawnym swym wielbicielom stołecznym, przybyszom znudzonym Warszawą, dla których piękne lice, znane z Petersburga, było wielce pożądanem, a poufała rozmowa z piękną kobietą, którą poczytywano za gorliwą Moskiewkę — nader miłą.

Aby się dowiedzieć czegoś i coś przedsięwziąć, nie godziło się zdradzić niczem swojego wewnętrznego bólu. Marya uśmiechała się, potakiwała, przeklinała nawet Polaków i Polskę..

Ale jakże zmienionymi znalazła tych ludzi, których przed niedawnymi jeszcze czasy znała jako bezduszne, zastygłe stworzenia!! Jedno słowo czy nieopatrznie czy podobno rozmyślnie z góry rzucone, na-

nieciło ten pożar patryotyczny, który cudownie płonął w Moskalach, uradowanych że ich osądzono godnymi mieć jakąś własną myśl i uczucie, że oni wchodzili w rachubę i ich opinie coś nareszcie ważyły. Z baranków stali się krwiożercami... W początkach jeszcze rewolucyi panowała jakaś niepewność w sposobach zapatrywania się na nią, teraz z jednomyślnością niewolniczą wszyscy oświadczaali się z mocnem postanowieniem zjedzenia Polski i Polaków do ostatniego. — Wzdychając wymawiali się z tego ludożerczego apetytu, koniecznością polityczną, pochlebiało im to widocznie, że choć w ten sposób zębami do polityki wmięszać się mogli. Prąd tego co nazwano opinią, nie dopuszczał teraz ani się odezwać w obronę Polski. Tacy ludzie jak Żywcow i jemu podobni zmuszeni byli milczeć; o środkach łagodniejszych nie było ani mowy; wieszanie witano z uśmiechem, mordy jako sprawiedliwości wymiary, palenie jako dobry środek przerażenia, a łupież doradzaną przez Konsula pr... jako nieoceniony sposób zgniecenia samowoli. Pierwsze wystąpienie Murawiewa wywołało szaloną apoteozę człowieka, któremu mało wprzódty kto rękę chciał podać.

Z trwogą tym objawom niedojrzałości

narodu, który dał się poprowadzić gdzie chciano, przypatrując się Marya, nie wiedziała co począć — gdy jednego wieczora cała we łzach siedząc w kątku samotnego pokoju, ujrzała przed sobą wspomnianego Żywcowa.

Żywcow dobrze dawno znanym był jej z Petersburga, miała go za miłego starszka, nie należał on do natrętnych wielbicieli Maryi Agathonówny, ale był słabym na wdzięki niewieście, lubił patrzeć w czarne jej oczy, słuchać dźwięcznego jej głosu, marzyć pod siwym włosiem o rozwianych młodych nadziejach.

W domu miał Żywcow zaciętą ale swarliwą żonę, którą kochał choć mu chwili spokoju nie dawała, wyrywał się więc czasami wieczorem na miasto, aby nieco wolniej odetchnąć.

Nie natrętny i nie namiętny, podobał się Maryi z tego, że był dla niej z pewną grzecznością i przyzwoitszym od innych a mniej poufałym w obejściu. Widziała w jego siwych zbladłych oczach, otoczonych brwiami nawisłymi i nabrzmiętymi powieki, jakby ojcowskie politowanie nad sobą.

Nikt w tej chwili miłszym dla niej nie mógł być gościem nad niego, pochwyliła podaną sobie dłoń z uczuciem i zahamo-

wany płacz serdeczny, który ludzie śmiechem nazywają, wybuchnął z jej piersi mimowoli. Żywcow zadrzał posłyszawszy ten jęk dziki i poruszony spytał żywo.

— Co wam jest, Maryo Agathonówno? czego wy płaczecie? macie jakie zmartwienie? mówcie! na Boga!

— O! dajcie mi się wprzód wypłakać generale, odpowiedziała, może mi to ulgę sprawi, cierpię straszliwie.

— A cóż was dotknęło? co się wam stało?

— Dziś — nic, jam dawno, dawno już nieszczęśliwą...

— Oh! to już zgadnę! Kochacie pewnie jakiego młodzika, a ten wam figle płata...

— A! nie! nie! Żle sądzicie o mnie, choć macie do tego prawo... Kocham, prawda, ale inaczej niż wy myślicie, kocham nieszczęśliwego człowieka i ratować go nie mogę.

— Słuchajże no, Maryo Agathonówno, rzekł Żywcow, wy przedemną możecie wszystko powiedzieć — lżej wam z tem będzie, ja — wiecie przecież, że nie jestem zły tak bardzo, a za stary, abym się tak wściekał jak drudzy... jeśli potrafię...

Marya zakrywszy twarz rękami płakała.

— Boję się, rzekła po chwili — znałam

wielu dobrych ludzi, dzisiaj tak się oni pozmieniali.

— No! ale ja nie, ja — nie, Maryo Agathonówno, w moim wieku człowiek już do tego nie skłonny. Mówcie, ja już odgadłem, że kochacie Polaka.

— A! zgadliście generale!

— Więc się i tego domyślę z waszych łez, że siedzi pewnie uwięziony — dodał Żywcow.

Maryja zamilkła i westchnęła boleśnie.

— No! wysilcie się na jedno jeszcze słowo, złapany z bronią w rękę czy z papierami w kieszeni?

— Generale, ja ci wszystko powiem, ale daj mi zebrać siły, błagam cię, błagam, ulituj się, ratuj jego i mnie nieszczęśliwą... Jeśli on zginie, ja umrę...

— Słuchajże, zawołał Żywcow gorąco, jeśli to człowiek nie bardzo głośny a wina nie zbyt widoczna, to choćby w istocie wielką była, można sobie coś tuszyć — inaczej i sam car go nie potrafi ulaskawić...

Ha! tak! — dodał po chwili — zebrało się Rosyja na opinię publiczną może po raz pierwszy w tym wieku, a na nieszczęście objawiła się ona po naszymu... dziką i krwiożerczą. Świat i tak miał nas za niedźwiedzi, co dopiero teraz? Niema

dziś najpopularniejszego człowieka, coby się wbrew oszalałym powiedzieć odważył: Idziecie sromotną drogą na wstyd i po hańbienie narodu! Myślicie, mówił gorąco, że tak jak ja nie czuje wyrządzonej sobie krzywdy, wielka część zdrowa Rosyan? ale ulegamy demagogicznemu szałowi kilku waryatów, którzy radzi są z tego, że kamionującej tłuszczy przewodniczą! — Karkow i jego pomocnicy wyglądają na przewodców ulicznej burdy, pysznych z tego, że za sobą głupi tłum prowadzą.

Cóż na to poradzić? Cesarz, ministrowie, ludzie uczciwi i poważni zzymają ramionami, a nie mogą nic, bo się boją. — A kto ich zresztą wie! może...

Tu generał zaciął usta i spuścił głowę.

— Zdaje mi się generale, że trochę przesadzasz, rzekła Marya, ten szal podobno zrobiono umyślnie, jest to narzędzie przeciw Europie i Polsce... mogą je skruszyć gdy zechcą... Dziś książe Gorczakow odpowiada jak papież: *Non possumus*, nie możemy, boim się opinii...

— Otóż mylisz się dziecko moje, rzekł generał, stworzyć taką gorączkę u nas bardzo łatwo, ale ją zwyciężyć będzie trudno, zostawi ona ślady po sobie. Jak wszelka choroba — taki szal dziki rodzi się z jednego atomu trucizny, nie każdemu

dano znaleźć tę inną pruszynekę lekarstwa co uleczyć może. Najpocziwsi dziś kryć się muszą ze szlachetniejszym uczuciem...

Tryumf nasz, mówił Żywcow po chwili, westchnąwszy głęboko, bardzo jest smutny, otrzymujemy go zaparciem się tego, co stanowi prawdziwą wielkość narodów. Ani polityka Rosyi, ani jej przyszłość nie wymagały od nas, byśmy stanęli przeciwko zasadom moralności, przeciwko cywilizacyi, chlubiąc się okrucieństwem i dziczyzną... Ale cicho! cicho, mógłby mnie kto podsłuchać, a naówczas stary Żywcow poszedłby jako winien zdrady państwa, jako przyjaciel Polaków... paść sobole... lub na Kaukazie polować na tygrysy...

E! Maryo Agathonówna, mów mi lepiej o sobie...

— Zgadłeś już wszystko, com ci mówić miała, szepnęła mu Marya, możesz go ratować... jest kaleką, stracił rękę.

— Ale ma jeszcze głowę! szepnął stary, ma usta, któremi na nas narzekać może. Gdzież on teraz jest?

— W cytadeli.

— Czy sądzony już, czy nie?

— Pomimo największych starań nie się dowiedzieć nie mogłam nad to, że nie należy do... jak oni nazywają... pierwszej kategorii, do najciężej obwinionych, ale po-

mimo to, życiu nawet zagraża niebezpieczeństwo... bo potrzebują przykładów! O! ratuj go! ratuj go, panie mój!

To mówiąc uklękła przed nim składając ręce.

— Kochasz go bardzo! smutnie jakoś z uśmiechem bolesnym rzekł starzec — biedna! aleć tobie podobnych, płacze dziś wiele za narzeczonymi swemi, a ileż matek za dziećmi, ile sióstr za braćmi, ile sierót za ojcami! Nie mówmy o tem! Ja kocham gorąco Rosyę, ja pragnę szczęścia jej i wielkości, ale nie chciałbym, aby ona je budowała na łzach i krwi, na krzywdzie ludzkiej i zaprzeczaniu praw człowieka! Lękam się nie o Polskę ale o Rosyę, bo nikt bezkarnie nie dopuszcza się takich gwałtów na ziemi — jest sprawiedliwość Boża... Cóż nam z tego, że państwo urosnie o kilka prowincyi, gdy je okupimy wiekuistą hańbą, której historia z czoła naszego nigdy a nigdy nie zetrze... Biada nam, o biada nam!

I starzec z głową zwisłą chodził po pokoju osmutniały...

— Postaram się, rzekł nakoniec, dowiedzieć się o twoim *nieszczęśliwym*. Tak dawniej, z chlubą dla Rosyi, każdego winowajcę lud nazywał. Nikt go tego nie uczył, serce mówiło w nim, dziś doktrynerzy

włożyli mu w usta przekleństwo i naigranie, biada im! bo kto naród uczy przeklinać, ten sam jest przeklęty!

Ale ja bredzę, dodał przychodząc do siebie stary, daj mi imię jego i nazwisko, zostaw to staraniu troskliwemu mojemu, choć za skutek jego ręczyć nie mogę, ale powiem ci zaraz poufnie, że daleko łatwiej przyjdzie ulżyć jego losowi w Petersburgu niż tutaj. — Myśmy tu wszyscy katami, tam trochę jeszcze ludźmi nam być wolno. — Któż wie? gdy go wywiozą, to przez swoje znajomości i stosunki łatwo dla niego potrafisz wyrobić zmianę kary...

— O! ocal mu tylko życie! zawołała Marya błagając...

— Powtarzam ci, jeżeli imię nie głośne, jeżeli człowiek niezbyt znany, a przygoda jego nie nadto rozbębniiona, jeśli trafem dzienniki zagraniczne nie tknęły tego nazwiska, zdaje mi się, że udać się może; w przeciwnym razie, im opinia europejska goręcej ujmie się za nim, tem pewniejszym szubienicy. Myśmy w wojnie z uczuciem sprawiedliwości całego świata, nie dlatego, że słuszność czujemy po sobie, ale że chcemy pokazać, iż dość jesteśmy silni, aby się z niej uragać! Niestety! o siłę tu chodzi nie o sprawiedliwość! tylko o siłę...

General głowę zatopił w dłoniach i usiadł zamyślony.

— Zrobię co zechcesz, rzekł, tylko mi zaśpiewaj co z lepszych czasów, co ruskiego, naszego, rzewnego a tęsknego, nie dzisiejszego, bo to wszystko krwią oblane... jaką piosenkę z tych lat, gdyśmy marzyli jeszcze o swobodzie! dopóki wielkość monarchii nie upoiła nas i nie uczyniła ilotów... pośmiewisko wieków!

Starą jaką piosenkę, Maryo Agathonówno...

Marya z niechęcią siadła do fortepianu, lekko uderzyła w klawisze i cicho popłynęła piosenka... melancholiczna, prawdziwie ruska, z tej epoki, w której niewola bezsilne ale niewinne łzy wyciskała...

Staremu też błysnęły one na powiekach... i zapłakali oboje.

W tem pod oknami rozległ się rozgłośny śpiew pijanych oficerów, dziki i rozpustny... Żywców porwał czapkę i wyszedł.

Znany nam z pierwszych epizodów tego opowiadania stary Jeremi, siedział spokojnie nad książką w swoim mieszkaniu na Nowym Świecie, gdy zapukano do drzwi i w tejże chwili wsunął się Władysław, z którym nie widzieli się od owego spotkania w alejach.

Stary położył książkę i przywitał go łagodnym uśmiechem.

— Gdzieżeście to bywali? zawołał biorąc go za rękę, sądziłem że się już gniewacie na mnie, tak dawno nie zeszliśmy się z sobą?

— Nie byłem w Warszawie, odpowiedział siadając Władysław — naturalnie wyznając te zasady jakie znacie, bom się wam z nich spowiadał, musiałem wejść do roboty z drugimi, nie mogłem zostać bezczynnym. Byłem w boju... jeździłem za sprawami kraju...

— I powracacie, spodziewam się, z dobrymi wieściami? zapytał stary spokojnie.

— Nie będę przed wami kłamał, odparł młody człowiek, powstanie się szerzy, kraj

się niby rusza, ale wogóle widzi każdy i czuje, że źle jest.

— Wiedziałem dawno, że dobrze być nie może, rzekł stary — rozpoczęliście walkę nie będąc do niej gotowi, poszła jedna klasa a nie naród cały... bo cały naród nie stanął na wysokości tego boju o śmierć lub życie. Szlachta zgrzybiała, lud nie dojrzał, macie to co jest w środku, a tego mało. — Uwielbiam garść wybrańców, a cóż ta zdoła uczynić? chyba umrzeć.

— Niestety! możecie mieli słuszność, westchnął Władysław, nie rewolucyi nam było potrzeba ale narodowego powstania potężnego, a tego podobno mieć nie będziemy, mimo największych starań. — Lud poczciwy jest ale zimny, szlachta zacna jest ale po większej części rozpieszczona... w środku została garść ludzi gorących, Niestety — ani umysłem, ani sercem nie równych... olbrzymy i pigmeje...

Jeremi pokiwał głową.

— Tak, rzekł, to co poszło heroicznie na męczeństwo i to co życia nie cenilo, bo niewiele też ono było warte. — Czemużście mnie nie słuchali, dodał, nie broni ale cnoty nam było potrzeba wiele a wiele, więcej niż jej mają nieprzyjaciele nasi... I nie należało używać do walki świętej tych środków, jakich oni używają do

świętokradzkiej, ale wielkich a prostych i czystych... Nie spiskować nam należało, ale głośno prawdę wyznawać... Ale to... wy powiecie, stare i oklepane rzeczy.

— Nadludzkimi wysiłkami dźwigamy się, szepnął smutnie Władysław, ale rozpacz ogarnie serca tych co jeszcze są żywi, już dziś widać, że rozpadniemy się w ruinę straszną. Straciliśmy co było kwiatu, co było świętości, wyboru... to co przez ten przetak śmierci nie przeleciało jeszcze, coraz mniej warte, z każdym dniem większy brak ludzi.

— To wszystko dawało się przewidzieć...

— No — ale bądź co bądź, rzekł Władysław, potrzeba dotrwać do ostatka — cofać się dziś i niepodobna i niegodziwa. Przychodzę do was w imieniu kraju wezwać do poświęcenia i pracy.

Jeremi ździwiony poruszył się żywo.

— Mnie? zapytał, mnie? człowieka bez wiary? mnie com na innej wcale drodze chciał szukać zbawienia ojczyzny, mnie któregoście ogłosili za nieprzyjaciela kraju?

— Tak, was — zawołał Władysław — ratujcie kraj! wpływ wasz może być zbawiennym, szanujemy twój charakter — brak nam charakterów z głowami, porywa się mnóstwo niedoświadczonych do steru...

czyżbyście gdy łodzią miota burza, widzem zimnym pozostać mieli?

— Zdaje mi się, że śnię, tak dziwne mi prawie rzeczy, zawołał stary, ależ ja wedle was jestem jawnym reakcyonistą? wy wierzycie w rewolucyę, gdy ja wierzę tylko w moralną poprawę narodu i wyzwolenie jego przez cnotę? Jakże chcecie bym przyłożył rękę do pracy przeciwko przekonaniom?

— Dla ojczyzny więc, nie chcecie poświęcić przekonañ waszych? zapytał Władysław.

Jeremi się uśmiechnął.

— To są rzeczy, których się nawet ojczyźnie nie poświęca — dodał. Chcecie od gruszy aby rodziła jabłka? Nie, dodał, nie ma dziś jeszcze dla mnie miejsca przy warsztacie. Poświęca się życie, ale nie idzie przeciw głosowi sumienia. Odesłałbym was wszystkich nie jak Moskale na Sybir w kopalnie, ale do szkoły, lub w podróż około świata... Nie do Woroneża, Wiatki i Tobolska, ale do uniwersytetów w Paryżu i Belgii. To pewna, że rewolucyi robić bym wam nie dał. — Uczyniliście nią jak największą łaskę Moskwie, zżyma się ona, ale dla niej nie być pożądanyszem nie mogło, odarła nas, rozpędziła i u siebie zapobiegła rewolucyi na długo, choć może...

przysposobiła ją straszniejszą... Rząd cieszy się, bo nie widzi daleko, tymczasem zyskał tryumf i godzinę... Na naszych karkach gra w maryasza teraz stary moskiewski caryzm z młodą Moskwą socyalną i demokratyczną, udającą patriotkę, odkryła ona panfila i da niechybnie dublę...

Głupiśmy byli naszym kosztem i krwią płacąc za ich stawkę, ale się stało. — Moja rada gasić co rychlej ogień w domu, a gdy u nich rozgoreje... czekać i skorzystać.

— Ale honor narodu! przerwał Władysław — musimy się trzymać.

— Rosya wszakże woli zwycięstwo nad honor, który postradała w oczach Europy... ale to inna sprawa, istotny honor nie zależy na tem, żeby się bić bez nadziei wybicia, honor nie jest nawet we zwycięstwie... źle rozumiemy honor narodu. Gdybyśmy więcej machiawelować umieli, lub więcej po Chrystusowemu iść, byłoby lepiej, my chcielibyśmy pogodzić Machiawela z Chrystusem, a to niepodobna... Ale to próżne gadanie, rzekł Jeremi, znacie mój sposób myślenia, nie zmieniłem go bo nie mogę innej krwi nalać w moje żyły, ani innego mózgu nałożyć pod czaszkę... jestem i muszę sobą pozostać.. Nie zdam się wam do niczego.

Władysław zamilkł pochmurny.

— Europa, rozpoczął po chwili nieśmiało.

— Cicho! cicho z Europą, odparł Jeremi żywo, o jej podłości później się dopiero dowiecie, gdy wygnańcami nie znajdziecie nigdzie przytułku, zgłodniali chleba, wycieńczeni pracy, prześladowani opieki, gdy zwyciężonych krzykacze będą odpychać ze wstrętem i wzgardą; gdy obrońców wolności ścigać będą szyderstwa a chlubną nędzę wysmiewać.

Nie te to czasy, gdy wśród oklasków Europy Byron szedł walczyć za Grecyą... Nie! nie! handel! finanse i giełdy, które nam panują z łaski grosza nie z łaski Boga, — zmieniły przekonania. Potrzeba spokoju bo papiery spadną i handel się wstrzyma, a choćby pokój otrzymać razem z policzkiem... o! to nic!... Powie wam Europa, żeście głupi, oplwa mogiły naszych męczenników, odwróci się tyłem, rachując o ile zyska na kursach banknotów, gdy nas dyabli wezmą... oto masz co myśli Europa.

Podniósł oczy w niebo i dodał ze łzami prawie:

— Garść naszych rozproszeńców żebrać będzie powietrza i wody a narody jej odmówią... Będziemy Hiobem ludów, Ła-

zarzem uczył bogacza... odwrócił się od nas przyjaciele i rodzina.

— Na Boga! nie wróćcie tak straszliwie, ozwał się Władysław, miałaby ludzkość upaść tak nisko...

— Nizko! nizko! niżej jeszcze... powiedziec to można — przerwał stary — można się czego lepszego spodziewać po społeczności przegniłej rozpustą, nie mającej w nic wiary, spekulującej choćby na truciznie w Chinach, sprzątającej tysiące, aby jednej ambicyi zrobić miejsce, oplakującej niedostatek bawełny i handlu więcej niż stratę prawdy i dróg światłości? Cóż to jest dziśniejszy świat i społeczność? zgnilizna... nawóz pod zasiew przyszłości... Potrzebaby nowego Chrystusa, nowych Apostołów i nowej Golgoty i Krzyża i rzeki krwi na obmycie nas z tego błota! Jesteścież wy lepsi od innych? Nie wierzycież w te same siły, nie idziecież temi samymi drogami? nie zapieracież się w czynie tych samych prawd? żyjecież surowiej? czyściejszesz są szaty wasze od ich sukien zbryzganych w kałuży?

Świat dojdzie zapewne do ostateczności, do zaparcia się wszystkiego co święte, a potem... wierzę, iż się odrodzi, choć nie wiem jakimi drogami. — Bóg jest wielki!

— Znaliście Juliusza? — przerwał nagle niecierpliwiony Władysław powstając.

My i oni.

10

— Bardzo dobrze i wysoko szacowałem tego człowieka, za spokój jaki w tej duszy czystej i poczciwej panował,

— A wiecież jego historię nową? bo to co mówicie historya starożytna...

— Nic nie wiem.

— Juliusz podzielał prawie wasze przekonania, pomimo to poszedł przeciw z nami, poświęcił się i oddał cały... niestety! los chciał, aby się tam wzięszała i zgubiła go — kobieta.

— Nie kobieta ale grzech, rzekł poważnie Jeremi.

— No! to słabość, poprawił się Władysław. —

— Słabość w mężczyźnie jest często grzechem...

— Zakochał się w istocie niegodnej sobie, dodał Władysław, mam wielkie podejrzenie, że do rozwinięcia tego uczucia przyczyniła się wielce litość nad upadłą. — Chciał ją podźwignąć, podobało mu się to odrodzenie w rodzaju W. Hugo! Owa kochanka była po prostu moskiewskim szpiegiem, który go wydał w ręce nieprzyjaciół!

Stracił uciekając ranną rękę prawą, został ujęty, siedzi w cytadeli i życiem zapewne okupi swe poświęcenie i poczciwe, pełne ufności serce.

— Smutna historia, odparł Jeremi, ale cóż ona dowodzi?

— Że Juliusz poświęcił przekonanie.

— I popełnił dwie słabości, a druga gorsza jest jeszcze od pierwszej.

Pojmuje, choć stary, namiętność dla kobiety, ale nie rozumiem czynu bez silnej wiary w cel jego i potrzebę. Zdaje mi się, że postępowanie Juliusza źle sobie tłumaczycie, nie poświęcił on przekonania, ale nie wierząc w powodzenie, szedł zapewne i wierzył, że ofara jego i krew będzie dobrem nasieniem... Żal mi go — ale jesteście pewni, że go zdradziła kobieta? mogłoby serce jego tak dalece się obłąkać i przywiązać do istoty tak nikczemnej, tak nisko upadłej?

— Niestety! jesteśmy pewni, wszystko się składa na potwierdzenie domysłów, zawołał Władysław. — Znacie może, że krwiożerczym nie byłem i nie jestem, ale Juliusz był dla nas drogim klejnotem, zdrada nie może pozostać niepomszczona. — Trybunał rewolucyjny osądzi ją, wyda wyrok śmierci i musi być zamordowaną.

Jeremi wzdrygnął się i pochwycił go za rękę.

— Na Boga! zawołał — mielibyście i wy skalać się krwią... kobiety!

— Wyrok będzie wydany — potrzeba przykładu...

— Na nie się zdały te przykłady... to wszystko okropne! oswajacie się z krwią i śmiercią... nie podniesie tem narodu, zniżyście go...

Macież jakie dowody na tę kobietę?

— Najsilniejsze przekonanie moralne.

— Na Boga! na Boga! wykrzyknął Jeremi, powtarzacie słowa, a co gorzej, czyni Moskali. Co to jest przekonanie moralne! Niech oni sądzą bez dowodów, potępiają bez sądu i wieszają bez zgryzoty — my zemstę zostawmy Bogu. To postępowanie zmienić potrzeba...

— Tak, rzekł Władysław, przystaję na to... ale co jedno zmienić je może, to zdanie takiego jak wy, powszechnie szanowanego człowieka. Wejdźcie do rady, do rządu... do pracy z nami... poprowadźcie nas tą drogą...

Jeremi zamilkł na chwilę, uderzony siłą tego rozumowania.

— Mylisz się, odparł po namyśle. — Jesteśmy na dwóch sobie przeciwnych krańcach, z amalgamów partii i systemów nigdy nie powstanie nic zdrowego i jednolitego. Marzy, kto sądzi, że klejąc dwa pierwiastki różne, siłę z nich podwojoną otrzyma, one się równoważyć i unieważ-

niać muszą. Rezultatem takich koalicji politycznych musi być zawsze zero... nie! idźmy każdą swoją drogą...

Co się tyczy tego wypadku, dodał, spodziewam się, że nie potępicie kobiety nie wysłuchawszy jej, nie dodawszy obrońcy, nie zbadawszy całej sprawy. Nie zmazujcie się krwią — przeleje się jej i tak nadto. Terroryzm despotyzmu i terroryzm rewolucyi, równie są okrutne i równie bezowocne. Można niemi na chwilę powstrzymać od czynu, ale nigdy nic się nie stworzy. Wszelaki przymus wywołuje w duszach ludzkich opór i wstręt przeciwko sobie. Jest to broń przez rewolucję pożyczona, od samowolności słaba, nędzna i brudna.

Na tem przerwana została rozmowa. wszedł ktoś obcy, a Władysław milcząc pożegnał gospodarza. —

— Więc odmawiacie? zapytał cicho na wyjściu.

— Stanowczo i nieodwołalnie, rzekł Jeremi, stary, do niczego nie jestem zdolny, twardy jak wszystko co wiek skamienia, nie dałbym się wam uciosać... dajcie mi pokój!!

Noc była późna, gdy do drzwi domu, w którym mieszkała Marya, zastukano, wszedł niepozorny człowiek w grubej odzieży z laską w rękę i domagał się, aby go wpuszczono do pani. Służąca wahała się, ale słysząc głos męski w przedpokoju, wyszła Marya i poznała brata...

Pochwyciła go pod rękę i pociągnęła za sobą do salonu.

— Pójdiesz zemną — rzekł do niej zimno — odziej się natychmiast.

— Dokąd, do matki?

— Nie pytaj mnie dokąd, — odparł chmurno brat, — musisz iść...

— Ale po cóż? — dziwnie czując się przelekką, spytała kobieta.

Rzemieślnik zamilkł, brwi mu się ściągały.

— No! — chodźmy, rzekł — przecież ja idę z tobą.

Stała Marya niepewna czas jakiś, lecz myśl nagle przychodząca do głowy, wlała w nią postanowienie gwałtowne.

— Nie pytam więc — rzekła — dobrze, idziemy...

Rzemieślnik obejrzał się bacznie po salonie.

— Siadaj — odezwała się — ubieram się natychmiast.

— Postoję — dziko jakoś rzekł brat, cofając się ku drzwiom z widocznym wstrętem — spiesz bo pilno...

Słowa te mymówione prawie groźnie, znowu ją dreszczem przejęły, zawahała się, ale wróciło męstwo, pochwyciła leżący na krześle kapelusz, narzuciła burnus i pobiegła, mówiąc gorączkowo:

— Jestem gotowa.

Milcząco odwrócił się do drzwi brat i począł schodzić, Marya szła za nim, minawszy bramę, ujął ją pod rękę...

— Potrzeba wziąć doróżkę — rzekł głosem drżącym.

— To daleko? — spytała kobieta.

Brat zamilkł.

— Zawiążę ci oczy — odpowiedział.

Marya coraz mocniej drżała.

— Ale czegoż chcecie odemnie? Prowadzicież mnie na śmierć? Ty! brat! nie, nie! to być nie może — zawołała, jestem ci posłuszną.

— Siadaj! — odpowiedział rzemieślnik głosem gburowatym, w którym się przebijalo wzruszenie, — jedźmy...

Nie posłyszała Marya co powiedział wo-

źnicy, ale doróżkarz ruszył spiesznie małemi uliczkami, a z szyi odjęta chustka posłużyła mężczyźnie do zawiązania jej oczów. Biło jej gwałtownie serce, ale milczała, nie pytając już o nic; zdawało jej się, że w ciężkim oddechu brata czuć było niezwyčajne poruszenie; nie śmiała go badać, znając nadto, by się przekonać spodziewała. Doróżka krążyła dosyć długo, aż nareszcie zatrzymała się, brat wyskoczył pierwszy, podał jej rękę, wprowadził na wschody, i tu dopiero oczy rozwiązał. Znajdowali się w sieni wspaniałego domu, oświetlonej jasno, ale pustej i po kamiennych wschodach, wysłanych dywanami, weszli na pierwsze piętro. Ten zbytek zdziwił Maryę... Spodziewała się po tajemniczem obejściu brata jakiegoś miejsca skrytego... lochu lub kryjówki, gdy drzwi się otwarły i znalazła się sama jedna w bardzo poważnie i smakownie urządzonym salonie... Jedna lampa, paląca się w kątku na marmurowej kolumnie, oświetlała ciemnozielone sprzęty pokryte aksamitem, dwa duże stoły zarzucone książkami i wspaniałe wielkie na ścianach obrazy. Dwoje wielkich drzwi przymkniętych i przysłoniętych ciężkimi kobiercowemi portyrami, ukazywały się w prawo i lewo. Piękny fortepian otwarty stał przy ścianie... Po-

sadzką cała okryta była dywanem wzorzystym. Marya obejrzała się zdumiona do koła i czując drżące pod sobą nogi, rzuciła się na fotel blisko stojący, głowa jej opadła na dłonie, przestraszona coraz bardziej ogarniała, najdziwniejsze myśli plątały się po głowie. W tem chwilowem ale głębokiem zadumaniu nierychło usłyszawszy szelest, podniosła oczy i znalazła się w gronie kilku stojących mężczyzn, którzy w milczeniu z ciekawością zdawali się jej przyglądać. Z lekkim mimowolnym wykrzykiem chciała wstać, gdy starszy z nich skinieniem prosił ją, aby na miejscu została i zabrał krzesło bliżej stojące dla siebie. Głębokie milczenie panowało w salonie, zdawało się, że nikt go przerywać nie śmiał.

W tem wszystkim było coś tak dla niej niepojętego, że w końcu duma kobiety przemogła obawę i oglądając się w koło, rzekła śmiało.

— Może mi też kto z panów zechce wytłumaczyć, po co tak niezwykłym sposobem zostałam wezwana... i co wszystko ma oznaczać?

— W istocie sposób postępowania jest niezwykły, ale i wypadki, które go spowodowały, zwykle nie są, — rzekł siedzący przy niej mężczyzna — głosem dosyć

surowym. Pani jesteś obwinioną i widzisz przed sobą sędziów.

— Ja? oskarżoną? o co? — zapytała rumieniając się Marya.

— Pozwól pani, bym dla oszczędzenia jej i nam przykrości, pominął okoliczności dawniejsze, które wszelkie i najmniej nawet usprawiedliwione zarzuty poniekąd prawdopodobnymi czynią. Życie przeszłe pani jest nam doskonale znane...

Błysnęło światło przed jej oczyma nagle, ale rozpacz dodała siły.

— Życie moje przeszłe należy tylko do Boga i do mnie, — zawołała — on i ja sądzić je mamy prawo; ludziom nie godzi się wnioskować z przeszłości, bo któż w całym życiu był jednym tylko człowiekiem? Jakież są przeciwko mnie zarzuty?

— Juliusz był pani poufale znanym...

— Mówmy otwarcie — przerwała — Juliusz był moim kochankiem, jest dla mnie wszystkim na świecie... miałaby kto czoło i odwagę pomyśleć, przypuścić.

— Oskarżono panią, żeś go wydała i zdradziła!

Kobieta krzyknęła, zakrywając sobie oczy, ale natychmiast porwała się z wściekłością.

— Panowie, — rzekła, — aby takie obwinienie uczynić, trzeba być zepsutym jak

szatan... Tak! przeszłość moja czarna, plamami od stóp do głów jestem okrytą, ale serce moje kochało raz w życiu i obmyło się we łzach pokuty! Ktokolwiek jesteście zlitujcie się, nie dodawajcie mi bóleści, nie zabijajcie taką okrutną potwarzą! Weźcie mi życie, zaraz, oddam je chętnie, ale nie targajcie się na jedyną jasną chwilę mojej doli. Słyszycie głos, tak mówić nie potrafi kto kłamie... widzicie łzy... Na Chrystusa tego, którego krzyża nie jestem godną dotknąć, przysięgam wam, jestem niewinna! Ja go kocham, ja życie dam dla jego ocalenia, a byli ludzie co posądzić mogli! O! to najcięższa kara za przeszłość.

I łzy zatamowały jej mowę.

— Przecież, — odezwał się po chwili bliżej siedzący, — wszystkie pozory są przeciwko wam... sami to widzieć musicie...

— A! i rozpaczam... — przerwała Marya, — ale się nie zniżę do tłumaczenia, bo chcę umrzeć, powtarzam wam tylko raz jeszcze, na Chrystusa wam przysięgam... dam za niego życie... kocham go... staram się ocalić... a ludzie śmiają...

I znowu płakać zaczęła, wszyscy milczeli...

— Wiecież o tem, że on sam... on nawet... posądza was — szepnął mężczyzna drugi.

Marya krzyknęła straszliwie i nagle jak-

by na pół przeciął się głos w jej piersi. porwała się obłąkana.

— Jeżeli tak... wiedźcie mnie na stracenie! nie mam już po co żyć — a! Boże, on mnie nie kochał — on mnie nie kochał!

I te tylko wyrazy powtarzała na pół nieprzytomna. Sędziowie patrzyli po sobie, głuche milczenie panowało w salonie, gdy powolnie wsunął się ktoś do sali, szepnął coś na ucho starszemu, pokazał papier i wyszedł.

— Dziwny traf — odezwał się poważnie, powoli sąsiad Maryi — uspokój się pani, oto mam w ręku dowód, żeś pani niegodnie, niesłusznie posądzoną została... Przebacz... w takich czasach... w tych niebezpieczeństwach... przy takim braku ludzi.

Marya podniosła głowę obojętna i skinęła ręką.

— A! co to dla mnie znaczy! — rzekła — on! on mnie posądzi! to ból większy nad wszelkie bóle, to nad katurze katusza... reszta...

Nie skończyła, płaczem wielkim zachodząc się nieustannie.

Wyjąwszy siedzącego przy niej mężczyznę, powysuwali się wszyscy, on jeden pozostał starając się ją uspokoić i otrzeźwić.

— Wróć pani do domu, — rzekł powoli — nie wspominaj o tem co zaszło, prze-

bacz... a myśl o nim tylko... Uwolń go, jeśli potrafisz...

Maryja spojrzała mu w oczy, i on miał łzami nabrzmiąle powieki...

— Na cóż mi to mówicie — rzekła głosem osłabionym — pomszczę się na nim, poświęcając dla niego... przekonam go, że nie pokochał niewdzięcznej... a! i ty panie kochałeś go zapewne, znałeś jako ja, mogłaś w tak pięknej duszy urodzić się myśl tak czarna? myśl zdrady... nie! o! nie!

— Któż wie? — odparł zmieszany nieznanomy — to może być posądzenie daremne... domysł niezręczny...

Maryja wstała, gospodarz otworzył jej drzwi salonu, za którymi przytulony do ściany brat na nią oczekiwał. Ujrzawszy ją wchodzącą, pospiesznie zbliżył się, podał jej rękę i w swojej namulanej dłoni uściskał delikatne jej palce...

— Bóg ci zapłaci — rzekł — aleś mi dobrego napędziła strachu... Już wiem, że to wszystko było głupstwo... bodaj ich...

— Milcz, milcz — przerwała siostra... — zapomnijmy... nie mówmy! niech im Bóg przebaczy!... Jam zawsze winna... bo nie każdego posądzić się odważą... a na mnie — dodała ciszej — jak na śmieciszo wszystkim o cisnąć wolno...

— Przeszłość więc jest niezmasaną pla-

mą — zawołała padając na kanapę, powróciwszy do domu i rozstawszy się z bratem, którego uścisk dodał jej trochę siły — odkupienie niemożliwe! rany się goją, ale blizny zostają na wieki... i nikt, nikt nie wierzy w poprawę! a pokuta ściga nas do końca życia... O Boże mój, chodź więc potrzeba w sukni oplwanej przez wszystkie dni i godziny aż do śmierci... Jak krew na dłoniach Lady Makbeth, plama odnawia się wiecznie... mnie nikt nie wierzy, nawet on! on!

I porwała się z siedzenia, na tył odrzucając włosy.

— Nie! nie dam się złamać — zawołała — zmuszę ich by zmienili przekonanie o mnie... i jego i świat cały?

Przyszło jej naprzód na myśl zrzucić te lachmany błyszczące, przywdziać odzież skromną a ubogą, wrócić do pracy ciężkiej do nędzy dobrowolnej, a rozdać co miała biednym... i poświęcić się całej na usługi kraju; ale przypomniała sobie Juliusza, którego powinna była ocalić i wzdrygnąwszy się uczuła, że dla niego musiała pozostać przy dawnych pozorach dostatku, przy stosunkach dawnych, z nie swoim już światem, którym się brzydziła. Mogła z nich i tę korzyść wyciągnąć, że wielkie wiadomości ważnych odbijało się o jej uszy

bo Moskale mając ją za swoją, wcale się nie wystrzegali. Ale zdało się jej teraz ohydny to rzemiosło zdrady, nawet dla dobrej sprawy podejmować, chciała oddychać prawdą samą i odepchnąć fałsz na wieki.

Nazajutrz przyszedł stary Żywcow z pochmurnem czołem.

— No, byłemże w cytadeli — rzekł wzdychając — dla miłości twojej, ale nie bardzo dobre wieści przynoszę. Twój ulubiony, którego mają za jakąś ważną figurę, może być wprawdzie ocalony i życie wyniesie, ale na długo ześlą go do ciężkich robót.

— A! i to jeszcze szczęście! mój dobroczyńco, pewnyś ty tego jesteś?

— Zdaje mi się, będę pilnował, przyrzeczono mi uroczyście. Jeśli więcej chcesz uczynić dla niego, jedź do Petersburga, pochódź tam... popracuj cicho. Któż wie? może ci się uda! Widzę uśmiech na twoich ustach... dawno byłeś w stolicy?

— O! w połowie roku przeszłego.

— No, to go nie poznasz; zostawiłaś go miastem europejskiem, znajdziesz azyatycką stolicą...

— Ale ludzie w nim — ci sami?

— Zmienili się nastrajając do ducha, który na nich powiał — zobaczysz. Ostatni to twój ratunek, jedź, nie ma innego dla

ciebie, a spiesz, bo każda godzina droga, roznamiętnienie rośnie, wkrótce w imię uczuć litości i miłosierdzia odezwać się nie będzie godziło.

Maryja i na to uśmiechnęła się niedowierzająco, znała ona swój Petersburg takim, jakim on był w godzinach powszedniego życia, nie przypuszczała, aby w nim tak nagle zająć miała metamorfoza.

— Juliusz — mówił generał — przeznaczony do robót, pójdzie w kajdanach, polecę oficerom konwojującym pod pozorem kalectwa, aby się z nim obchodzono łagodnie. Wszędzie indziej wina niedowiedziona i kalectwo zyskałyby mu litość, u nas... my się chlubimy teraz, że nie znamy co litość! Mój Boże, mój Boże — dodał smutnie Żywcow — co oni chcą zrobić z Rosyi, duch Iwana Groźnego wstąpił we wnuki — niemaszże na to środka?

— Uspokójcie się generale — odparła Maryja — to nie potrwa, nie widzicież, iż to wszystko wyrobione jest sztucznie, aby nie dać urosnąć współczuciu dla Polski, które się już rodziło i oburzeniu przeciw rządowi. Rząd omylił się może, wystawił to uczucie jako tarczę, a poza nią kto wie co się przygotowuje i zbierze... Polaków zgnieść mogą, lecz Rosya nie

wyjdzie bez szwanku... Coś tam się knuje po cichu.

Żywcow pobladł.

— Trafiłaś w to, czegom powiedzieć nie śmiał, a co mi cisnęło serce... Rosya szczepi u siebie rewolucyę! U nas jeśli ona wybuchnie, straszniejszą będzie, niż na całym świecie... potrzeba nam było jej uniknąć, ona pochłonie całe pokolenia...

Starzec przerwał nagle.

— Stanie się co Bóg przeznaczył! — odpowiedziała głośno Marya, a w duchu dodała: — Polska będzie pomszczoną!

Nastąpiła chwila milczenia. Jenerał chodził po salonie, Marya siadła przypadkiem przy fortepianie.

— Maryo Agathonówno, choć ci łzy z oczów płyną... — odezwał się Żywcow — zaśpiewaj raz jeszcze staremu. Kto wie czy ja już kiedy miły twój głos usłyszę... zaśpiewaj mi ruską piosnkę, z tych czasów gdyśmy jeszcze ludźmi byli, gdy i w naszej piersi biło serce.

Staremu łza zakręciła się w oku.

— Straszno to być biczem bożym — dodał ciszej — lecz gdy prawica Wszechmocnego ujmie naród, aby nim siekła grzeszny świat, musi się on krwią obluźgać...

Krzyczeli na Mikołaja... ten miał choć żołnierskie serce, dziś my chlubim się, że

nie mamy żadnego i szczepimy nieludzkosc
w Europie.

Mruczał tak stary, a Marya po chwili
cichym tęsknym głosem zanuciła mu piosnkę
Lermontowa:

Gór wierzchy usypiają na gasnącem niebie,
Milczą rosą wieczorną oblane doliny —
Tuman pyłu na drodze wiatr konając grzebie,
Liście drzew nie szeleszczą, zdrzemnęły krzewiny...
— Czekaj! chwila spoczynku przyjdzie i dla ciebie!

Przekład tych kilku wierszy słabe daje
wyobrażenie o ślicznej piosence poety,
pełnej tęsknicy, pełnej harmonii. Dawniej
powtarzały ją wszystkie usta, dziś w Mo-
skwie śmieją się z Puszkina i Lermontowa,
są to za nadto europejscy poeci na te
czasy — jedynym poetą epoki znakomity
p. Katkow, jedyną zwrotką dzisiejszą pio-
senka Czyngiskanowska:

— W pień... ogniem i mieczem!

Śpiewka powtórzyła się parę razy, Ży-
wców wstał, westchnął i podając rękę
Maryi, z której oczów łzy płynęły, szepnął
przy pożegnaniu:

— Czekaj! chwila spoczynku przyjdzie i dla ciebie.

Z bijącym od niepokoju sercem Marya przebywała drogę do stolicy, wśród której dziwne nastęczały się jej widoki: spotykała co chwila więźniów skutych, gnanych pieszo i więźniów w wagonach... popalone sioła, rozwścieklonych i pijanych wieśniaków, szalejących urzędników, tłumy bez imienia, jak ptactwo żarłoczne spieszące do Polski na żerowisko. Ziemia ta dana im była w nagrodę wierności na łup przez cara. Widziała żołnierzy, urągających się oficerom, którzy ramionami zzymając, milczeli, słowem wszystkie oznaki tego stanu rewolucyjnego, do którego ucieka się rząd słaby, gdy z klasą oświeconszą przejednać się nie może, i zaufać jej nie śmie. Te siły zwierzęce, wywołane ze dna społeczeństwa, grały szalonym chórem zniszczenia, Biada narodowi, który takich środków w obronie swej używać musi, cóż lepiej słabość jego wydać może?

Uderzyły Maryę te fizyognomie niewidziane dotąd w słonecznym blasku, dobyte jakby różeczką czarodziejską z pod ziemi,

wygolone dla przymilenia się rządowi, blade, pokrzywione, wynędzniałe od życia w urzędowych papierach, a uśmiechające się nadzieją bezkarnej grabieży. — Moskwa wezwwała te w mrokach siedzące dzieci swoje na posługę w sprawie ojczyzny, lecieli zwabieni podwójnemi pensyami i zapewnieniem, że prawo żadne nie istniało w Eldorado, do którego spieszyli, nawet zwodniczy zwód zakonów. — Wielu tych panów jechało o jednym samowarku i jednym płaszczyku, mając powracać z nabitym trzosem i w niedźwiedni, na łono matki Rosyi, spełniwszy swe posłannictwo zniszczenia. — Marya przywykła do dawnego tonu cywilizowanych Moskali, czasem ugrzecznionych aż do zbytku, miała tu już próbkę zmiany, jakiej uległy obyczaje pod naciskiem narzuconej z góry opinii. Wszyscy niemal stawili się groźno, dziko, bohatersko, z niejakiem przechwałaniem rubaszością półbarbarzyńską, i z odgrózkami na zgniłą cywilizację Europy. — Mnogie kielichy wódki po stacyach zwiększały jeszcze okrutne owe męstwo nowych cywilizatorów, cytujących całe peryody Katkowa, między dwoma czkawkami...

Po drodze kilka razy spotkała jeńców polskich, na których patrzeć jak na dzikiego zwierza lud się zbiegał z okrzykami,

przekleństwa, rzucaniem kamieni, plwaniem i urągówiskiem. Postacie tych nowych męczenników były smutne, ale godności pełne — czuli oni, że szli na Golgotę, że im pod ciężarem tego krzyża upadać nie było wolno. Surowe ich i chłodne twarze obudzały tem większą wściekłość w Moskalach, oni pragnęli w nich dojrzeć znękanie, upodlenie, upadek, a męstwo milczące urągało się ich katowstwu. Starsi wygnańcy co nie wiedzieli, czy kiedy jeszcze ojczyznę zobaczą, byli smutni, młodzież wesół nawet i butna chwilami, ale jedni i drudzy w kajdanach wyglądali na zwycięzców, gdy tryumfatorowie do pijanych katów byli podobni.

W dziejach świata od czasów prześladowania chrześcijan w pierwszych wiekach niema takiego jak ten obrazu.

Dwakroć sto tysięcy ludzi, kwiat narodu, wyrwany z tej ziemi, która była jego dziedzictwem, starcy, kapłani, dzieci, kobiety, wszystko to pędzone, gnane, sieczone, jęczące po lazaretach, dane na ręce dzicyj pijanej, bezdusznej i podżeganej do okrucieństwa, a karanej za najmniejszą oznakę współczucia. W XIX wieku wyuzdane chłopstwo, kupione obietnicami podziału cudzej własności, pastwiące się nad cmentarzami, z których wywlekało trupy; nad

kościółami, z których brutalnie wyrzucało świętości; szubienice stojące na wsze strony, mogiły świeże co krok, a ponad tem dyplomacya najśliczniejszą francuzczyzną dowodząca moralności, potrzeby, konieczność i użycia tych *radykałnych* środków!

Z plamy tej nie obmyje się nigdy rząd rosyjski, naprożno płatne dziennikarstwo bluzgać będzie przeciwko rewolucyjnej Polsce, któż ją rewolucyjną uczynił? któż większym jest rewolucyonistą: czy nie-szczęśliwi przyprowadzeni do rozpacz, czy rząd co potrzebował takich środków. użyć, aby się ostać i zwyciężyć!

Uwierzaż za lat sto, że żalobę z narodu milionów zdarto siłą, że nie poszanowano nawet świętego uczucia co w nią oblokło??

Na wszystkich twarzach widziała Marya jakby powkładane maski, poczciwsi, milcząc, potakiwać musieli tłumowi, szatani cieszyli się, głupota szalała... posepnie na tę stypę kannibalów spoglądali ludzie sumienni. Ten tryumf niepoczciwych, puszczo-nych jak brytany z obroży, miał w sobie coś przerażającego... Po stacyach i pocztach czytano na głos patryotyczne diatriby dzienników, głupi rozpalali się niemi do ostateczności. Nie w jednym miejscu Marya zetknęła się z ciekawą czeredą wieśniaków, którym pisarz wiejski czytał ar-

tykuły »Moskiewskich Wiadomości«, drżała, widząc skutki tych podżegań na ludzie... któremi imię Polaka zohydzić chciano. Nazajutrz po tem, gdy nadeszły partye więźniów, kobiety oblewały je pomyjami, zamykano drzwi, aby chleba dostać nie mogli. Serce się ścisnęło, patrząc na skutki tej agitacji. Nigdy Polska nie miała tego charakteru, chwilami i przypadkowo buchnęła przeciwko najeźdźnikom, ale się rychło upamiętała, oddzielając Moskali zawsze od rządu moskiewskiego, nie mszcząc się na nich za winy garści obłąkanej.

Niekiedy w oczach starszych ludzi dostrzegła iskierkę litości lub oburzenia, ale jeśli się z nią kto wydał, spuszczał zaraz źrenice zawstydzony, lękając się, aby nie wyszpiewowano w nim miękkiego serca.

Tak dojechała w boleściach i trwodze do stolicy... i stawiając pierwszy krok w dworcu kolei, zetknęła się dziwnym trafem z Artemjewem, który jej zrazu nie poznał, zawahał się, ale wpatrzywszy się w nią, powitał z żywą radością. — Czatował on na kolei na kogoś innego z przyjaciół, ale tamten nie przybył, a stara znajoma wielce mu była miłą.

— Marya Agathonówna! — kogóż ja widzę! ciebie! w stolicy Piotrowej! To dla mnie szczęście...

Aleksander Aleksandrowicz miał twarz rozpromienioną, był szczęśliwy, zwycięski, jaśniejący, prawie piękny, gdyby zwiędłe oblicze podobnego służalca chytrego, żywiącego się kłamstwem, jak krucy ścierwem, kiedykolwiek w blask chwilowej urody przyodziać się mogło...

Marya nie bardzo była rada temu spotkaniu, ale Artemjew nie chciał jej odstąpić i zarzucał pytaniami.

— Jedzicie z Warszawy! powiecie mi co słyhać w Warszawie? a no! dobrze! paradnie idzie wszystko, nieprawdaż... Rewolucya! rewolucya! poczciwe ludziska posłuchali nas jakby myśl naszą odgadli... teraz jeszcze komedję gra Europa... a my...

Tu przerwał, ukąsiwszy się w język...

— Przyznam się — dodał żywo — przyszedłem tu trochę w nadziei spotkania się z poczciwym Nikiforem, który miał przybyć z papierami, a razem... trochę z projektem dopomożenia poczciwym ludziom do godnego przyjęcia bandy więźniów polskich, których transport nam na dziś oznajmiono. Uczymy się na ich grzbietach manifestacyi politycznych!! już to idzie! To swoją drogą, a ja też i nienawidzę Polaków, którzy grają cynicznie rolę męczenników, ale poczują cō moskiewska waży pletnia! Zaśpiewają z innego tonu.

Ja tu już nastroiłem na dziś moich, którzy ich przyjmą jak warci. Hura! mężnym ruskim żołdatom — a napluć na tych zło-
czyńców... Widzicie to powoli uprawia i uczy samoistości lud, jak się wyprakty-
kuje i poczuje swoją siłę...

Artemjew śmiał się z miną pajaca, który dobrego spletał figla, Marya wzdrygnęła się, powtarzał z cicha.

— Lud się uczy na Polakach!

— Aleksandrze Aleksandrowiczu — szepnęła Marya — mówicie do kobiety, jam do tego nie przywykła, przykrość mi robicie.

— A jam do tego przywykł, myślicie? — zapytał Artemjew — ale potrzeba się podnieść do wysokości politycznych potrzeb narodu... Dajemy mu lekcye! Musimy drażnić i utrzymywać nienawiść, w tem nasza siła, im dłużej potrwa rewolucya, tem my się z niej więcej nauczymy... skorzystamy kiedyś, jak? no! to czas pokaże... ale wy tego nie zrozumiecie... i możecie się złęknać, uciekajcież póki czas jeszcze, bo tu dopiero orgia rozpocznie się gdy ich z wagonów wysadzać będą... Hura! dla naszych, świst i śmiech z nich!

Marya wymknęła się coperdziej, nie będąc ciekawą sceny, którym się już dosyć natrzymała po drodze... twarz ją paliła, serce biło zgrozą; Artemjew pozostał, rozstawia-

jąc kupkami swych ludzi i wydając rozkazy. Tłum podpiły z dzikimi twarzami, stał jakby oczekując na hasło.

Siadała już do powozu, gdy okrzyk dziki obił się o jej uszy i rozległ szeroko... smutnie zadźwięczał on w duszach wszystkich uczciwych ludzi... Był to jeden z tych głosów stypy moskiewskiej, jakie od roku bujają po bezludnem państwie, wywołwane stołecznemi hałasami!! Bóg daj, by nie stał się on hasłem innych wykrzyków, które tych, co się niemi cieszyli, ścigać kiedyś będą.

Kto zna stolicę Piotrową, jej ducha i obyczaje, jej zepsucie głębokie, dla oka pokryte zręcznie powierzchnią europejskiej przyzwoitości, kto bywał dłużej w tem mieście, co wsiąkło w siebie wszystko złe cywilizacyi, nie utraciwszy żadnej barbarzyństwa cechy — ten tylko pojąć potrafi, jak istotnie czystej trudno tam odetchnąć — atmosfera fałszu zewsząd otacza i dusi człowieka.

Nie można głębiej sięgnąć poza skorupę tego pobielanego grobu bez największego wstrętu. A tak to wszystko pięknie i ułudnie wygląda... przepych, rzekłbyś, że istotnie jest ład i bogactwo, ale znaczniejsza część tych ludzi, żyjących w gorszszym zbytku, zjedzona jest długami, lichwą i broni się wierzycielom wpływami swemi u władzy. Wszystko też jest na sprzedaż, byle pieniędzy dostać. — Elegancya najwytworniejsza powierzchownie przy najgrubszych obyczajach domowych i wszelkie pozory cywilizacyi przy najdziwniejszej nieświadomości świata i ludzi, rygor po-

krywający rozwiązłość, pedanterya urzędowa na oko, utrudniająca przekupstwo, które jak jad w krew wciska się wszędzie; — od odźwiernego do ministra, kupić można wszystkich. To, co się tu nazywa uczciwem, gdzieindziej odstreczałoby podłością swoją; uczciwym zowie się ten, co bierze pieniądze, ale robi za nie to, co przyrzekł, uczciwy jest kto ma jedną tylko nałożnicę a nie źle obchodzi się z żoną, uczciwy kto ludzi na targu nie sprzedawał, gdy było można, kto płaci czasem długi i nie prześladuje swych wierzycieli. Przytem wszystkim choć grzechy bliźniego nie są dla nikogo tajemnicą, surowo pilnuje się pewnej przyzwoitości; każdy udaje, że ma sąsiada za porządnego człowieka, wymagając w zamian, aby go za takiegoż pożyczano. Nic słodsze w obcowaniu nad tych ludzi stołecznych, ale ta grzeszność ich jest frontem placu obróconym do Europy, poza którym stoi pustka lub kupa gruzu.

Umiejąc chodzić i grać na strunach tujszego zepsucia, prawie wszystko co kto chce zrobić może, aby tylko nie rachować na żadne uczucia, a płacić, płacić protekcją czyjąś, pieniędzmi, a choćby obiecującym uśmiechem ładnej kobiety. — Z tych środków najwszechmogącym są pieniądze —

życie kosztuje niezmiernie drogo, wszyscy więc biorą i wszyscy brać muszą, każdy żyje nad możność. Interesa, których się nie robi pieniędzmi, idą tępo, trudno, i ułatwiają się tylko przez kobiety, choć ostatecznie znowu tym pośredniczkom także opłacać się potrzeba.

Miłoszki bez serca są w dobrym tonie i zwyczaju, począwszy od najwyższych sfer aż do kamerdynerów wielkich domów, wszyscy mają kochanki, nie żeby je kochali, ale że ta rozpusta daje niby człowiekowi pewną arystokratyczną cechę. Niema przykładu rozkochania się istotnego w kobiecie, ale zmysłowych fantazyi i kaprysów mnóstwo, i nałóg kosztownej rozwiązłości, z którą się chwala i popisują, w ostateku próżniacza rozpusta zgniłego narodu. Im kto starszy, tem głośniej się popisuje z miłoszkami... na ostatnich szczytach są fantazyje tego rodzaju greckorzymskie, o których nawet pisać się nie godzi. — I to jest przyjęte... w obyczaju...

W tej stolicy zepsucia Marya w ciężkich latach próby miała niegdyś chwile wielkiego blasku; dość długo była ulubienicą jednego z najpotężniejszych panów tego świata. Szczęściem śmierć jego uwolniła ją od tych więzów nieznośnych, czyniąc niezależniejszą. — Z tej to epoki, w której

wielu miało się za szczęśliwych, gdy ich w swoim przyjęła salonie, pozostały jej stosunki; na nie ona teraz rachowała.

Sekretarzem owego potentata, którego sercem władała, był człowiek, który wyszedł na ministra, młody, grzeczny, bardzo przyzwoity, pod układną i skromną powierzchownością ukrywał niezmierną ambicję. — Liczyła na dawniej okazywane jej przez niego względy, ale dawniej role były odmienne, ona była prawie ministrem, on małym urzędnikiem w dorobku. Resztę Marya obiecywała sobie zrobić przez kobiety i nie tracąc czasu, zaraz nazajutrz rozpoczęła starania przedwstępne.

Ale tu teraz wszystko jej było obce, musiała się naprzód dowiedzieć przez kogo wiodła ścieżka do serca ministra. Minister musiał mieć przecie choć jedną dobrą przyjaciółkę, nie licząc dystrykcyi chwilowych wśród wielkiego świata.

Marya, która pół-świat petersburski znała dobrze, zachowała w nim trochę stosunków; wśród tych kobiet upadłych nisko, były poczciwe i strapione serca... Jedna z nich bliżej jej była znajomą, dawniej ukochana generałowi, który był ulubieńcem Mikołaja, korespondowała nawet z Maryą; naprzód więc pobiegła do niej, — Amelia Piotrówna przyjęła ją z okrzykiem radości i szalo-

nemi oznakami rozczulenia. — Była to kobieta już nie bardzo młoda, którą klimat petersburski, jak wszystkich, co w nim żyją długo, zniszczył przed czasem. Dawne jej wdzięki zwiędły, ale starannie podtrzymywana ruina starczyła na wieczory, w których potrzebowała jeszcze być piękną i udawać wesołą. Jenerał kochanek opuścić ją musiał przeniesiony będąc na prowincję, gdzie dla przyzwoitości zabrać z sobą nie mógł tego kompromitującego sprzętu. Szczęściem Amelia Piotrówna miała córeczkę, którą się opiekował i dla której złożył dosyć znaczną sumę w banku, żyła więc z tego zapisu, a prócz tego dobrała sobie serdecznego przyjaciela, dyrektora jakiegoś wydziału w jakimś ministeryum, który się do kosztów utrzymania domu przyczyniał. Nie były to już owe świetne czasy, jakie Marya pamiętała, gdy przyjaciółka jej lato spędzała na rozkosznej dacy, a wieczory zimowe we wspaniałym apartamencie na newskim prospekcie, gdy miała swój własny piękny ekwipaż i liczną służbę. Teraz mieszkała dosyć skromnie o jednym chłopaku i jednej służącej, meble saloniku przypominały dawną świetność, ale już tylko zużyciem i wypłowieniem.

Popląkały się naprzód obie. Amelia Piotrówna wcale nie była złą kobietą, ale

wychowała się i spędziła życie wśród tego świata, w którym wyobrażeń nawet o obowiązkach, o cnocie, o delikatności uczuć nabyć nie można. Z zupełnie spokojnem sumieniem szła sobie tą drogą, nad którą innej nie znała i nie przypuszczała... skarżąc się tylko na niewdzięczność ludzi, na nieszczęśliwe przeznaczenie kobiet, na swój los niefortunny.

— Otóż patrz tylko co to się ze mną stało — mówiła, płynące łzy delikatnie ocierając, aby razem z twarzy bielidła nie otrzeć — widzisz jak ja teraz mieszkam. Jenerał mnie prawie opuścił, rzadko kiedy przyjedzie i tłumaczy się mi, że w interesach, a dla swojej chrzestnej córki ledwie daje półtora tysiąca rubli co rok. Ty wiesz co to półtora tysiąca w Petersburgu, kiedy kto miał wprzódę dziesięć! Mój Sasza... a znasz ty Saszę? nie? — szczebiotała ciągle popłakując — dobry człowiek, ale pensyę ma małą, a teraz takie głupie nastały czasy, że dochodów prawie niema żadnych... ledwie z biedą da tysiąc rubli na dom... Byłam sobie trochę uzbierała, ale i to w części poszło jak stary wyjechał, nie chcąc nawet wszystkich długów popłacić. — Więc wystaw sobie całego majątku, jeżeli zbiorę trzy tysiące, to najwięcej! Myślałam z początku, że ten dudek

blondyn, ładny a bogaty, z gwardyi, Stefan Iwanowicz, który mi niedawno przy- pochlebiał, weźmie mnie do siebie... i mo- żeby był to zrobił, ale dla tej małej się zawahał. No cóż robić? Sasza dobre człe- czysko, tylko że nędza i bieda! Musiałam się przenieść do mniejszego mieszkania... o koniach i karecie ani myśleć — ludzi poodprawiałam. Ty wiesz jak ludzie czło- wieka widzą w nieszczęściu, to go opusz- czą wszyscy, połowa moich dawnych zna- jomych — nie poznaje na ulicy Amelii Piotrównej.

I rozplakała się gorzko, mała córeczka, rozpieszczone dziecię, niespokojnie przy- biegła do matki.

— Nie frasujcie się Amelio kochana — odpowiedziała Marya — jeszcze twój los jest do zazdrości dla innych.

— Ale czy to ja się takiego niegdyś spodziewałam! — zawołała gospodyniłamiąc ręce. — Jenerał miał się już ze mną żenić, obiecywał, powinien był dla dziecka, jeżeli nie dla mnie; teraz już i mowy o tem niema. Stary, siwy, schorowany, począł słyszę sobie czernić włosy — wasy to i dawniej smarował — bodaj żeby się z inną nie ożenił. Wystaw ty sobie! wdo- wa po jenerale, która ma pięć córek i nie wie co robić z niemi, łapie go, słyszę, na

wszystkie sposoby; starsza mu dowodzi, że młodych ludzi cierpieć nie może... nadskakując mu podle... zostawiają ich wieczorami sam na sam... pochlebiają, karmią, już bym przysięgła, że się w końcu ożeni. Ale odda mi ona za moje... tam już tylko tego czeka kapitan, który woli w cudzym lesie polować, niż o swój się postarać! Ja wszystko wiem.

I płacząc ciągle, paplała wpadając w coraz nowe opowiadania.

— No, a wy kochacie waszego Saszę! — spytała Marya.

— Mój Sasza! bardzo, bardzo dobre człeczysko, ale on to się dobił do tego dyrektorstwa, wyszedłszy z małego... na nim taki znać... ja ci powiem po cichu... on jest z księżych dzieci... popowicz biedaczysko... Kiedym go poznała nie wiedziałam wcale, że był żonaty na prowincyi i także podobno z jakąś popadzianką... Szcęściem dzieci nie mają, a że to prosta kobieta i na twarzy ma bardzo szkaradny trąd, zostawił ją na wsi, płaci jej coś na utrzymanie. — No — ale też ożenić się ze mną nie może...

Westchnęła.

— Moja droga — odparła Marya uśmiechając się boleśnie — ze mną daleko, daleko jest gorzej!

— A! co ty mówisz! Ty jeszcze tak świeżo i młodo wyglądasz, ty byś tu sobie dostała kogo byś chciała, choćby z cesarskiego dworu... masz tylu przyjaciół, ciebie tak lubią... Tobie tylko w ręce klasnąć... a zresztą tyś sama jedna!

— Amelio — rzekła po cichu Marya — ja kocham — a mój kochany w kajdanach... idzie na Sybir do kopalni!

Przyjaciółka klasnęła w dłonie.

— O! zlitujże się Chryste, to .pewnie z tych buntowników Polaków! Jakże ty mogłaś pokochać się w takiej poczwarze... toż oni truli, sztyletowali, męczyli naszych...

Na twarz Maryi wystąpił rumieniec.

— Przecież to wiadomo — paplała dalej niepowstrzymana Amelia — że oni wszyscy spiknęli się przeciwko Ojcu naszemu Carowi i przeciwko świętej Matce Rosyi... z trucizną, z pigułkami przysięgli się ze zbrodniarzami całego świata, zatruwając studnie, chleb... napadali nocami i wyrzynali bezbronnych, znęcali się nad kobietami... o! poczwary! Ichby wszystkich do nogi wygubić potrzeba... Sasza powiada, że cały ten nieposłuszny naród wywieszą i na Sybir wywiozą, inaczej w świętej Rosyi spokoju nie będzie.

Marya ruszyła ramionami.

— Ty wierzysz temu wszystkiemu? — spytała.

— A jak nie wierzyć? Czytajcie dzienniki! posłuchajcie ludzi, u nas to jak święta Ewangelia!

— Moja droga, ja stamtąd jadę, jam na to patrzała!

— I ty pokochałaś sztyletnika?

— Amelio Piotrówno... nie będę ci wiele mówić, lecz gdybyś ty jak ja widziała co się tam dzieje, jak ja byś nad niemi płakała...

— Ej! Ej! ten to Polaczek ciebie po-
bałamucił! ty się w nim niepotrzebnie
zakochała! a jak z nas która pokocha —
oślepnie.

— Ślepną też ludzie i od nienawiści —
odpowiedziała Marya za rękę ją biorąc —
Amelio Piotrówno, bądź co bądź, jam do
ciebie przyszła po radę i pomoc w nie-
szczęściu, ty musisz dla starej naszej przy-
jaźni coś uczynić, ty nie odmówisz mi.

Amelia mocno się zmięszała.

— O! tylkoż nie Polaków ratować, bo
nie może być, to nie może być, tego nikt
tu nie potrafi. — U nas inny wiatr wieje. —
Mój Sasza taki patriota aż strach, przed
nim o tem i nie mówić. Oni w angielskim
klubie wszyscy tego zdania... że Polaków
potrzeba wygubić... póki ich stanie dopóty

my spokojni nie będziem i wiecznie w kłopotach... Oni mówią, że wszak Anglicy tak robili w Irlandyi i Indyach i inni też... czemu my nie możemy dla spokoju poświęcić choćby parę milionów ludzi... Rosya ma 70 milionów.

— Moja droga — odparła Marya — ale cóż Rosyi uczynić może jeden nieszczęśliwy kaleka bez ręki?

— A! miły Boże! — krzyknęła Amelia — bez ręki! bez ręki! Jakże ty możesz kochać takiego kalekę! Ale wstydźże się, wstydź! patrzajcie! i Polak i bez ręki... ot, pluń, a ja tobie znajdę takiego co mi podziękujesz i bogacza i młodego i...

Łzy stanęły w oczach Maryi na widok tego naiwnego zepsucia, które nawróciło było niepodobieństwem... ta istota innej nad zwierzęcą nie pojmowała miłości.

— Nie mówmy o tem — odrzekła — jeśli nie możecie uczynić dla mnie, ja się wam naprzykrzać nie będę, ale nauczycie mnie może jak trafić do Lwa Pawłowicza... przecież on był sekretarzem przy *moim*, gdyżśmy jeszcze żyli z sobą... a dzisiaj jest ministrem i wszechwładnym. Był dla mnie zawsze bardzo grzecznym, a w gruncie sądzę, że to jest dość dobry człowiek...

— Kto? Lew Pawłowicz? — przerwała trzpiotowato Amelia... — ja go nie znam, ale

wiem o nim po trosze od Saszy... dla mnie to teraz za wysokie progi, a moje dla niego za niskie... Nie wiem nawet przez kogo do niego trafić można; wystaw sobie śmieszny człowiek... wszak żyje tylko z żoną i niema kochanki... skąpy, dziwak... Sasza się przysięga, że nie bierze pieniędzy, że były takie przypadki, że mu po 75.000 rubli wciskano prawie gwałtem a odmawiał... ale to muszą być plotki. Cesarz Mikołaj dobrze znał matuszkę Rosyi, kiedy mówił, że u nas tylko car i jego syn co nie biorą... Lew Pawłowicz musi mieć kogoś co za niego robi interesa... a chce mu się zajść wysoko... On dla was nic nie zrobi! chyba — uśmiechnęła się szydyczko — macie u niego stary dług jaki.

Marya wstrząsnęła się z oburzeniem.

— Ale z kimże żyje? przez kogo mówić do niego za tym biedakiem!

— Ja wam szczerze powiadam, teraz za Polakiem ani gadać... — zawołała Amelia, u nas moda... siec i strzelać Polaków, nawet my klaszczemy w dłonie gdy posłyszemy, że ich mordują... Choćby kto i chciał wam posłużyć, będzie się obawiał... Ja wam mówię raz jeszcze zapomnijcie wy o nim... czy to on jeden ginie... tak chciał Bóg i Car...

— Amelio Piotrówno! — zawołała zniecierpliwiona Marya — czy kochaliście wy kiedy?

— Ja? ja? zdziwiona rzekła kobieta cofając się krokiem, boć to kochanie było rzemiosłem całego jej życia, a zapytanie wyglądało na szyderstwo. Co wy mówicie??

A po namyśle głębokim dodała ciszej poufnie:

— Rozumiem... przyznam się wam... kochałam bardzo... był to biedny urzędniczek z kancelaryi... ale taki głupi, że kiedy ja żyła z jenerałem i spodziewałam się, że on mnie weźmie, ten się chciał żenić ze mną! Naturalnie, żem mu się w nos roześmiała! Tylko co mi wszystkiego nie popsuł... A! kochałam go bardzo..

— Więc rozumiesz — przerywa Marya — do czego kobieta jest zdolną kiedy kocha.

— A! to prawda! to prawda! — westchnęła Amelia — człowiek zapomina o wszystkim... ale cóż, trzeba mieć rozum... bo potem i miłość i chleba nie stanie, a jeść zawsze potrzeba.

Nie było co mówić dłużej z tą nieszczęśliwą istotą, która żadnego poświęcenia pojąć nie mogła. Marya zagryzła usta i uściskawszy raz jeszcze swoje chrzestne dziecko, pożegnała dawną przyjaciółkę.

— Ale przynajmniej przyjdźcie kiedy

do mnie na herbatę... gdy będzie wieczorem Sasza, zawołała... przekonasz się lepiej, sama mówiąc z nim, co tu u nas teraz Polacy... No! fraszka Cyganie i Żydzi! do-dała ruszając ramionami. Tylko, szepnęła ciszej, proszę was, gdy przyjdziecie, to mi Saszy nie bałamućcie, i nie patrzcie na niego temi oczyma co to wy czasem macie!

Rozśmiała się, a Marya westchnęła.

— Te oczy wyplakałam — rzekła po ci-chu — nikogo już zbałamuścić nie potrafię, bądź spokojna... serce moje gdzieindziej...

— O! biednaż z ciebie kobieta — ściskając ją raz jeszcze odezwała się Amelia... — ale cóż na to poradzić? na co ci było kochać się w Polaku! to tylko nieszczęście, wiatro-nosy i goli...

Lew Pawłowicz dziś minister a niegdyś dobry przyjaciel Maryi, której przynosił kwiaty i cukierki, gdy przez nią chciał co wyrobić u jej starego protektora, przyjmował czasem proszących w rannych go-dzinach... Marya spodziewała się, że prze-syłając mu kartę swoją przynajmniej po-słuchanie otrzymać potrafi... wiele liczyła na dawnych stosunków wspomnienie, na pewne obowiązki, które one wkładają.

Kazała więc jechać nazajutrz do pałacu ministerium, w którym władzca zajmował wspaniałe apartamenta. Ale tu w dzień

posłuchania ledwie się było można dostać, ciżba w przedpokojach wszelkiego stanu ludzi nabijała się ogromna. Marya znając Petersburg, będąc nieco znajomą, wydobywszy parę rubli dla Szwajcara i kamerdynera, potrafiła bilet swój przed innemi przesłać ministrowi. Oddany w szczęśliwej godzinie poskutkował i służący przybiegł zaraz ją prosić nie do salonu, gdzie tłum wybranych oczekiwał na Lwa Pawłowicza, ale do osobnego gabinetu Jego Ekscellencyi.

W progu powitał ją z niezmierną grzecznością, trochę osiemnasty wiek przypominającą, mężczyzna bladej twarzy, rysów bez wyrazu, słuszny, wyprostowany, przystojny, w bardzo skromnym wicemundurze bez żadnego znaku... ale mimo udanej uprzejmości, roztargniony i zimny. Poznać w nim było łatwo człowieka, który się wyrzekł wszelkich namiętności dla ambycyi i grał wysoką stawkę. Czoło świadczyło, że mu nie zbywało na zdolnościach do wybicia się nad tłum współzawodników, był już zresztą jak ten co na maszt wlaższy, ma tylko ręką sięgnąć po zegarek i butelkę wina. — Ale ileż to razy osliźnie się szczęśliwy od samego wierzchołka...

Formą jego dumy była niezmierna

grzeczność, lodowata, odpychająca, nie chybił on nikomu, ale zakreślał nią koło, którego nikt przestąpić nie mógł. — Nie dawał najbliższym spoufalić się z sobą, ani zajrzeć w głąb swej duszy, zasępiony, zamknięty nawet dla przyjaciół, był dla nich zagadką... potakiwał każdemu, nie sprzeczał się nigdy, ale niczyjej rady nie żądał i nie przyjął.

Z uśmiechniętą twarzą (nie urzędnika ale gościa wieczornego) powitał przybywającą.

— A! a! cóż to wy u nas robicie — rzekł wesoło — Maryo Agathonówno? byłem pewny, zdaje mi się, że od kogoś słyshał, iż jesteście w Warszawie.

— W istocie, przebyłam tam czas dość długi, odpowiedziała zmuszając się do uśmiechu Marya i drżącą ręką ściskając podane sobie chłodne palce ministra.

— Byliście i w końcu musieliście stamtąd uciec, nieprawdaż? pochwycił Lew... aby na te okropności nie patrzeć... Bo tam słyshać i kobiecie spokojnie przez ulicę przejść nie dają... każdy Rosyanin wychodząc z domu, musi się przygotować jak na śmierć.

Marya uśmiechnęła się dziwnie, bystrym rzutem oka zmierzwszy ją minister odgadł jej myśl... Było to jego szczególnym

talentem, że w ludziach czytał jak w otwartej księdze... Jednym tem spojrzeniem zrozumiał kobietę, cel jej podróży, powód przybycia do siebie. Jeszcze nie wymówiła słowa, już się miał na baczności.

— Lwie Pawłowiczu — odezwała się po chwili biorąc go za rękę — jeśli macie cokolwiek... no... może nie przyjaźni ale choć pamięci dla dawnej a dobrej przyjaciółki, proszę was naznaczyć mi jaką swobodniejszą godzinę... Mam do pomówienia z wami i prośbę do was wielką...

— A czyżbyście mi teraz zaraz powiedzieć nie mogli co was do mnie sprowadza?

Marya zakłopotana się...

— A! bo to trochę dłużej... a na was czekają... tłum taki, boję się... zabiorę wam zbyt wiele czasu...

— Ażeby nie odkładać — rzekł grzecznie minister — żeby was nie trudzić, w pół godziny odprawię wszystkich, przejdźcie do małego saloniku, znajdziecie tam książki na stole... ja do was powrócę w prędkę... Lepiej żebyśmy się zaraz rozmówili, ja czasu teraz mam mało i nie chcę żebyście czekali...

To mówiąc wprowadził ją do salonu, skłonił się, a sam wyszedł przyjmować prośby i ustne podania.

Z tego wstępu nie najlepiej już sobie mogła wróżyć Marya, widocznie chciał się jej pozbyć odrazu, serce jej bić zaczęło! o! zmieniły się czasy! Siadła w fotelu, chwyciła jakiś angielski album, który zaczęła przerzucać nie wiedząc nawet na co patrzyła i czekała niecierpliwie powrotu Lwa Pawłowicza, rozmyślając tylko jak obrócić rozmowę...

Przyjęcie było uprzejme, poufałe, ale nie można się nie było łudzić, człowiek dawny zmienił się w nową istotę, z. podwładnego na panującego.

Po półgodzinnych marzeniach, drzwi się otworzyły nagle, minister wszedł szybko, przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciw niej.

— No, teraz jestem wolny — rzekł — mówcie, proszę, słucham was z uwagą, jestem na wasze rozkazy.

— Ale naprzód — spytała drżąca kobieta — powiedzcie mi dawny przyjacielu, jesteście wy dla mnie przyjacielem jak dawniej?... uczynicież co dla biednej Maryi?

— A! co tylko jest w mojej mocy — zimno rzekł skłaniając się Lew.

— Więc po co mam z wami krążyć i omawiać — przerwała Marya — powiem odrazu z czem przychodzę...

Położyła rękę na jego dłoni — spojrzała mu w oczy.

— Kocham człowieka, który za... przewinienie polityczne... skazany został do ciężkich robót.

Twarz ministra zasepiła się widocznie.

— Ale ten człowiek jest niewinny, ja znam jego sposób myślenia, poszedł popchnięty nie wierząc w rewolucyę, bo szli inni, bo fałszywy wstyd go zmuszał... jest kaleką, stracił rękę...

— A! a! — rzekł zimno minister, pocierając czoło — nadzwyczaj mi przykro Maryo Agathonównu, ale cóż wy chcecie bym ja na to poradził? Sprawy polskie do mnie nie należą... zresztą czas jest dla Polski, z jej własnej winy, bardzo niepomysłny. Powiem wam szczerze Maryo Agathonównu, dziś proście o co chcecie i za kim chcecie, ale nie za Polską i nie za Polakiem... Usposobienie przeciwko nim na dworze, w najwyższych i najniższych sferach jest najzwyczajniej nieprzyjazne... odezwać się nawet ze słowem łagodniejszym niepodobna... Jako człowiek, ubolewam wielce nad losem Polski, nad krajem, który tyle cierpi, *mais les nécessités politiques*... a opinia publiczna...

Marya spojrzała mu śmiało w oczy.

— Zapomnij na chwilę, że jesteś ministrem, Lwie Pawłowiczu — zawołała — mów-

my otwarcie jak starzy, dobrzy znajomi. Bądź dla mnie dobrym, bądź człowiekiem nie urzędnikiem... Ty wiesz najlepiej, że w Petersburgu wszystko zrobić można.

— Tak jest — odpowiedział minister... — do pewnego stopnia... macie słuszość, tak dawniej bywało, tak może już nie jest dzisiaj. Wyjątek szczególnie stanowi Polska... w tej chwili sam cesarz nawet nie śmiałyby się za nią odezwać... cóż dopiero ja, który jestem i tak posądzony o łagodność i zbytnią ludzkość? o sympatyę dla zachodu! Najpopularniejszym u nas człowiekiem jest Murawiew, to dosyć; — on sobą uosabia epokę, stan opinii w naszym kraju, chwilę... moment historyczny... Cesarz musi sam się rachować, aby opinii nie narazić. — Symbolem uczuć naszych, słowem Rosyi przebudzonej do życia... Murawiew!! Cóż chcecie byśmy przeciwko temu poczęli! Nie będę sądził czy to źle czy dobrze, ale tak jest... tak jest... na ulicy, w klubach, po szynkach, w biurach, w pałacu monarszym i w stajniach cesarskich znajdziecie wszędzie przeważny wpływ stronnictwa, które sobie tego człowieka za wyraz swój wybrało, za najwyższe godło... Żal mi Polski, ale dziś i myśleć nie można nawet, aby się co dla niej zrobić dało...

— Jaż przecie nie za tym biednym krajem, ale za jednym przychodzę prosić człowiekiem.

— Tak, ale ten człowiek jest Polakiem, Maryo Agathonówno, nikt się dziś za Polakiem odezwać nie chce, byłby poczytanym za nieprzyjaciela Rosyi... Zresztą my tu w Petersburgu nie władamy tem wcale, co się dzieje w Polsce; sam cesarz dał słowo honoru, że się do niczego mięszać nie będzie i ulega woli tych, którzy się podjęli ciężkiego posłannictwa uspokojenia tego kraju... Europa chciała nas zmusić do upokarzających ustępstw, dowodzimy jej, że mamy dosyć siły, by pójść nietylko przeciwko niej, ale przeciw opinii całego świata... przeciwko... no!! jeśli chcecie, przeciwko prawom odwiecznym dotąd wszędzie szanowanym.

Lew Pewłowicz potarł czoło znowu i uśmiechnął się gorzko.

— Czujemy się tak silni, że się nie boimy pójść nawet przeciwko Bogu i prawom jego.

— No — dodał — ale choć się nie zrobić nie może, powiedźcie mi jednak kto to jest i jak dalece winien.

Marya nieśmiałym głosem, smutnie odpowiedziała wszystko w krótkości, minister

słuchał z uwagą zacinając usta, kiwając niekiedy głową.

— Dosyć dziś być Polakiem — rzekł — cóż dopiero gdy do tego przybywa jeszcze przewinienie polityczne! Za cesarza Mikołaja mieliśmy nadzieję nawrócenia obłąkanych, dziś już myślimy tylko o wytepieniu... Niema sposobu! Jak się odezwać! co powiedzieć! Na wszystko ci odeprą... tą nieszczęsną potrzebą polityczną... *force majeure!* koniecznością wyniszczenia żywiołu polskiego. Maryo Agathonówno! chcecie go ocalić, postarajcie się o to, by przyjął *prawosławie!*

Kobieta wzdrygnęła się cała.

— A! gardziłabym nim — rzekła — gdyby dla ocalenia życia, ze strachu frymarczył wiarą... Nie wiem do jakiego stopnia gorliwym jest katolikiem... ale pojmujecie przecież, żeby to była podłość.

— Ale właśnie tylko upodleniem i upokorzeniem mogą się ratować Polacy... — przerwał Lew — Rosya pragnie ich spodlić w oczach Europy, aby im odebrać ostatek tej sympatyi, jaką jeszcze u niej mają... to właśnie cel..

Maryja pobladła, załamując ręce mimowolnie...

— Okropny czas! — zawołała — okropna myśl! O Boże mój! Lwie Pawłowiczu!

bogdajbyśmy byli nigdy nie kosztowali tej trucizny, która się zowie koniecznością polityczną.

— Tak jest! tak jest! czas okropny — rzekł minister, kręcąc się na fotelu — ale narody zmuszone są niekiedy przebywać takie epoki. Cóż chcesz, droga pani... potrzeba to zrozumieć, trzeba się temu umieć poddać... trzeba być *wyższym* człowiekiem.

— WYższym! — zakrzyknęła mimowolnie kobieta... — a! godzisz się to tak nazwać! Mówmy szczerzej... jestli to z korzyścią dla samej Rosyi? nie sądzę, żebyście wy w to wierzyli, idziecie z prądem rzeki, nie mogąc mu się oprzeć, ale i wy dostrzegacie, że temi okrzykami szału i zwycięstwa lecimy do przepaści! Żadne państwo nie zyskało nigdy, zniżając się do roli bezdusznego prześladowcy... Zapamiętali moskiewscy patryoci mają Rosyę za kraj wyjątkowy, który ma sobie stworzyć jakąś zupełnie nową przyszłość, nie mającą żadnej styczności z cywilizacją zachodu. — Na tym błędzie spoczywa wszystko... w ich oczach to, co Piotr uczynił dla Rosyi, jest grzechem... chcieliby powrócić do Groźnego i podbijać jak on Nowogród... i Psków... to szaleńcy! Nie widzicież wy, iż gdy się wyczerpie prześladowanie Polski, pocznie się inne w łonie

własnego społeczeństwa... że to idzie do rewolucyi, do przewrotu... jakiego świat nie ma pojęcia, na które w żadnym języku niema nazwiska.

Lew Pawłowicz spojrział na nią bystro... zanadto była wymowną, aby się poza nią nie domyślał więcej ludzi tak samo myślących...

— Między nami mówiąc — dodał cicho — wielu z nas tego co i wy się obawia, Maryo Agathonówna, ale woda groble przetrwała, a zatrzymać ją teraz trudno... trudno... ona i nas niesie. — Polacy nas do tego zmusili, godność Rosyi nie dopuszczała czynić ustępstw, zwłaszcza pod naciskiem Europy, musieliśmy z tem *opólczeniem* (pospolitem ruszeniem) wystąpić przeciwko wszystkim. Broń nie jest dobra... ruchawka niebezpieczna... ale mieliśmy nóż na gardle...

Po starej naszej przyjaźni — rzekł potem — nie dziwuję się, że mi to tak otwarcie mówicie... jednakże radziłbym wam, nie odzywajcie się nigdzie podobnie... Nawet ci, co może podzielają przekonanie wasze, nie będą śmieli stanąć w waszej obronie... Nie wielu widzi jaśniej, a ci też milczą zagłuszeni.

— A! więc nic! nie dla mnie, ani nawet nadziei! — zawołała — o! panie mój, przyjacielu, odejmujecie mi ostatnią iskierkę...

— Nie śmiem i nie mogę sumiennie dawać wam żadnej — rzekł, poważniejąc minister — boleję nad wami, żal mi nawet Polski i Polaków, ależ sami postawili się w tem nieszczęsnem położeniu... Rewolucya ich groziła przerzuceniem się do nas... musieliśmy między nią a sobą postawić tę nieprzełamaną zaporę patryotyzmu, niszczącego wszystko... Kiedy zwierz dziki napadnie jadących... dla ocalenia kilku, spychają mu z wozu najslabszego na pastwę; i my tak uczyniliśmy.

— Tak jest — odparła kobieta — dla uniknięcia jednej rewolucyi, robicie drugą... o! cnotliwi homeopaci! — roześmiała się szyderczo, powstając z gniewem.

Lew Pawłowicz zmieszał się, zaczerwienił i zadumany począł chodzić po pokoju... zagryzając usta.

— Dajcie mi jego imię i nazwisko — rzekł, unikając dalszej rozmowy ogólnej — spróbuję, postaram się... Gdy raz wyślą go z Warszawy, któż wie? znajdziemy może jaki sposób ulżenia jego losowi; wiecie Maryo Agathonówna, że nie zbywa mi na dobrych chęciach.

— A! bądźcie człowiekiem, nie ministrem — przerwała kobieta, chwytając go za rękę, miejcie serce dla nieszczęśliwego... Rosya nie na tem nie straci, wy zyskacie... nie

mówcie jak w dzień ukrzyżowania wołali żydzi — cóż, że jeden człowiek umrze za naród swój? Śmierć jednego człowieka ciąży wieki na sumieniu i losach milionów ludzi! Lwie Pawłowiczu... nie odmawiajcie...

Minister zmieszał się tym wyskokiem i zarumienił się, ale zarazem ostygł znacznie.

— Zapominacie — rzekł grzecznie, ale chłodno — że na nieszczęście tego brzemienia władzy, które los włożył mi na ramiona, ani na chwilę otrząsnąć nie mogę.

Skłonił się, rozmowa była widocznie skończoną, kobieta wyszła smutna, zostawiając dawnemu przyjacielowi swój adres, który on po jej wyjściu niedbale rzucił na stół.

— Nie dziwię się — rzekł w duchu — temu parciu Rosyi przeciwko polskim żywiołom, ktokolwiek zetknął się z niemi nie wyszedł cało, są zaraźliwe, są nęcące, mają w sobie tajemniczą siłę, przeciw której cała gwałtowność nasza barbarzyńska, nie może nic...

Któż wie — dodał posepnie — pracujemy może na nich i wszystko się to na nic nie przyda... Niekiedy umarli straszniejsi od żywych bywają... Mówiłem zawsze, że inną drogą iść z niemi było potrzeba... nie po-

słuchano mnie... Próba ma wielką skalę...
qui vivra verra!

I widać było, że ostatecznie nie tyle o losy Rosyi mu szło, co o własną skórę... Patryotyzm polakożerczy był w modzie, minister w angielskim klubie odzywał się z sarkazmami, największe mającemi powodzenie; a po cichu ruszał ramionami na całą tę agitację...

Jak Augurowie rzymscy, cywilizowani Moskale, spotykając się uśmiechali niekiedy na cały ten hałas dziki, ale słówko nawet przez usta przejść im nie śmiało...

Gdy Amelia przybyła pieszo odwiedzić dawną przyjaciółkę, na samym wstępie rozplakała się naprzód nad swoją niedolą... przechadzka przypomniła jej, że nie miała karety i kamerdynera, to wycisnęło jej łzy... Znalazła Maryę we łzach także nad odpowiedzią ministra, który zdawał się jej wszelką odejmować nadzieję... List był niezmiernie grzeczny, pełen ubolewań i współczucia, ale zimny i ostrzegający aby się więcej w tym interesie nie udawała do niego. Biednej kobiecie zawracało się w głowie z rozpacz. Z Warszawy razem odebrała zawiadomienie, że Juliusz okuty w kajdany wyszedł powolną tą drogą w głąb Rosyi, do której za towarzyszków politycznym skazanym dobierają umyślnie zloczyńców, aby w oczach świata zrównać ich z wyrzutkami społeczeństwa.

Ten środek mechanicznego mięszania cnoty z występkiem, barbarzyńskie połączenie dwóch przeciwnych sobie żywiołów, nie po raz pierwszy używany jest w Rosyi; pracowano i pracują nad tem, aby

poniżyć i skalać poświęcenie dla kraju, aby ideę zbrodni politycznej postawić na równi z prawdziwymi zbrodniarzami, weszło to w system, ale jakiejże to dowodzi naiwności ze strony oprawców! Jak w innych swych działaniach Moskale postępują sobie w tem, wierząc tylko w cielesną siłę, nią usiłują stłumić i pogiębić ducha; zresztą dla tłumu starczy wedle nich postawienie pod pręgierzem za hańbę... Ale i tłum rozróżniać umie!

Idzie im o to, aby widok politycznych przestępców nie działał na kraj, aby łańcuch wiążący zbójcę z męczennikiem idei, obu razem zaciągnął w pogardę ogółu... Przerażają się, nie bez przyczyny, wpływem, jaki powoli wywierać musi ta masa, wygnańców apostołów, choćby na najdziksze społeczeństwo. Dla tego też nie ma potwarzy, którejby nie rzucano na skazanych, ażeby ich zohydzić. Wszędzie na świecie kara jest w jakimś do przewinienia stosunku, tu dosyć często podejrzenia aby zasłużyć na najsroższą; a los raz skazanego człowieka wszyscy starają się jak najcięższym uczynić, wszyscy począwszy od oficera prowadzącego komendę, aż do żołdaka popędzającego kolbą tych, co w drodze osłabną.

Przy takim usposobieniu ludności, gdy

rząd i prasa podzęgają do okrucieństwa, można sobie wystawić, jakim los więźnia być musi. Nigdy jeszcze nie był on dziś szerszym podobnym.

Dawniej godziło się ludowi mieć litość nad winowajcami a uczucie chrześcijańskie narodu w głębi Rosyi było dziwnie piękne... i szlachetne. Dla miłości Boga żywiono, wspierano tych, których jednym imieniem *nieszczęśliwych* zwano... Ale rząd sam postarał się o wykorzenienie tego uczucia i obyczaju, o zdemoralizowanie narodu, piękną tradycję usiłując wytępić, nie dopuszczając, aby ona do politycznych przestępców zastosowywana być miała. Tam, gdzie dawniej przyjmowano chlebem i litością, dziś spotykają kamieniami i przekleństwami.

Nie znamy w historii przykładu, aby rząd sam starał się podzegać nienawistne uczucia w ciemnym ludzie ledwie do społeczeństwa dorastającym, aby dobrowolnie spychano tych, których ludźmi uczyniło chrześcijaństwo, w otchłań namiętności pogańskich. Tak się dziś przecie dzieje, a czytanie moskiewskich dzienników obudza zgrozę i litość nad umyślnem obłąkaniem, wzdargę dla ludzi, co się takiego podjęli rzemiosła, radzi, że im się pozwolono na chwilę zabawić w politykę.

Maryi przyszedł na pamięć cały szereg rysów, o których niejednokrotnie czytała i słyszała w Warszawie... wystawiała sobie Juliusza, rzuconego na pastwę oprawcom, przebywającego tysiące mil tej drogi krzyżowej urągowiska i pastwienia — upadającego pod brzemieniem prześladowania.

Amelia przeleżała się, widząc ją wybladłą, zmienioną, zapłakaną i ulitowała się nad biedną... zaczęła ją cieszyć po swojemu.

— Ale zapomnijże ty o tym swoim durnym Polaczku — rzekła żywo — ty dla niego nic nie zrobisz, a tylko zdrowie stracisz... Żebyś wiedziała jak wyglądasz dzisiaj! Ja cię do teatru zaprowadzę... wiesz... już wspomniałam o tobie księciu Daliwadze... Jestto śliczny gruziniec, biały jak mleko, włos kruczy, oko ogniste, zęby jak perły, młody, nie bardzo okrzęsany, ale taki poczciwy... a co najlepsze bogaty! bogaty! mówię ci kamienie drogie kwartami mierzy... Tybyś go uczyła muzyki i po francusku, bo on koniecznie chce kochanki z językami i z muzyką...

— A! Amelio Piotrówno, zlituj się, dajże mi pokój i z nim i ze wszystkimi innymi — porwała się Marya — nie chcę znać żadnego... mnie w głowie, w sercu, na ustach, jedno tylko, ten biedny wygnaniec, wlokący się

na Sybir... z sercem zakrwawionem, wątpiący o mnie... przeklinający mnie może...

— Jakaż z ciebie dziwna kobieta — zawołała Amelia — cóż ty na to poradzić możesz? trudno samej zginać i nic nie zrobić... Cóż ci odpowiedział Lew Pawłowicz?

— A! żadnej nie daje nadziei!

— Nie uwierzysz jak mi cię żal! — odezwała się, zamyślając, przyjaciółka... — Ale ty przecie miałaś... — szepnęła ciszej — stosunki z trzecim oddziałem... ot, tam ci może najłatwiejby poszło co zrobić...

Maryja zarumieniła się.

— Tam oni teraz dla mnie nie nie zrobią — przebaknęła — i ja ich też o nic prosić nie myślę...

— To już ciebie nie rozumiem — wzdychając, odpowiedziała przyjaciółka...

Wtem zastukano do drzwi.

— Proszę wejść! odezwała się Maryja, podnosząc głowę.

Nieśmiało uchyliła się naprzód drzwi połowa i siwe krótko postrzyżone włosy widzieć się dały, potem twarz rubinowego koloru z małemi wklęsłemi oczyma, zaogniona przepalanką, na ostatek cała postać dosyć niezgrabna, mężczyzny wprawdzie przebranego z europejska, ale stworzonego widocznie do ludowej moskiewskiej kapoty. Z dawnego zrzuconego

stroju zostały na nim jeszcze buty do kolan i szarawary aksamitne, ale kapelusz miał okrągły, chustkę na szyi i kamizelkę aksamitną w kwiaty. Wyglądało to wszystko razem dosyć dziwacznie i niepozornie, ale twarz kwaśna od naliwki i herbaty z rumem była poczciwa, uśmiechająca się, jakaś dobroduszna i serdeczna. Od progu wyciągał ręce i począł, nic nie mówiąc, ale śmiejąc się, stając, podchodząc, minami osobliwzemi najserdeczniej się z czegoś cieszyć...

— Marya Agathonówna! Marya Agathonówna! a! to wy, o Boże mój! — zawołał w końcu, ręce dźwigając do góry — o Boże ty mój! a nie poznajecie starego sługi! nie poznajecie! ha! ha! Prokopa Wasilewicza waszego wiernego nie poznajecie...

I na środku izby przyklęknął.

— A! to ty mój stary...

— A no ja! ja! ja! — zawołał, porywając się, podbiegając żywo, całując jej ręce i płacząc razem stary.

— Któż to jest? — szepnęła zdziwiona Amelia.

— A! to dawny mój znajomy, kupiec... — odparła Marya zmięszana... — Prokopie Wasilewicu, druhu poczciwy, siadajcie.

Stary, obejrzawszy się, wyszukał jakieś najdalsze krzesło i usiadł na brzeżeczku

z poszanowaniem, a począł się wpatrywać w Maryę i popłakiwać, ocierając oczy i nos czerwony chustką krasiastą, którą zarazem gładził włosy i porządkował brodę z wąsami.

— A! wy nie wiecie Maryo Ahathonówno, jak mnie dusznie miło was widzieć, człowiek ma serce — rzekł uderzając się w piersi jak obuchem. — O! Prokop Wasilewicz nie zapomniał, coście wy dla niego uczynili. Gdyby nie wy, dzieci i wnuki moje nie miałyby chleba kawałka... a ot teraz... Maryo Agathonówno... ja bogacz! ja kupiec wielki! Wy nie wiecie! Poszło ręką jakieście wy mnie podźwignęli... Pan Bóg błogosławił i nie dałbym ja mojego handlu za 500.000 rubli... A to ja wszystko wam winienem... wam... i pamiętam i nie zapomnę... A wy? byliźbyście pomyśleli odwiedzić moją dominę i dowiedzieć się co się z nami dzieje? byliźbyście choć spytali o starego? A godzi się to, matko rodzona, a godzi? — I żeby nie przypadek, ja bym nawet nie wiedział, że wy tutaj i nie byłbym przyszedł z *głową* *powinną*... O!

Zerwał się stary i począł ją znowu po rękach całować, a Maryi łza także stoczyła się z powiek... mówiło do niej uczucie prawdziwe.

— Coś wy Maryo Agathonówno, jakoś

biedno i mizernie mi wyglądacie! — rzekł po chwili kupiec... — co to wam takiego! mówcie no! czyście chorzy... znam takiego znachora...

Amelia nie chcąc przeszkadzać rozmowie, wstała.

— Otóż — rzekła szybko — czy chcecie czy nie, ja was do teatru poprowadzę dziś, zajadę po was — Sasza zamówił karętę, tylko bądźcie gotowi.

I wybiegła szybko...

Stary kupiec, który był powstał w czasie pożegnania, usiadł przy Maryi poufalej, gdy zostali sami.

— Maryo Agathonówno — rzekł powoli wpatrując się w jej oczy — ja widzę po waszej twarzy, że wy cierpicie mocno... Wam się jakieś przydarzyło nieszczęście. — Zlitowaliście się wy kiedyś nad mojami łzami, podzieliliście się nieszczęściem mojem, zróbcie mi łaskę niegodnemu, zróbcie mi mi tę cześć, żebym ja choć wiedział co was boli. Małym robakiem jestem, ale wiernym wam i może od drugich wdzięczniejszym.

— Na cóż się wam przyda, Prokopie Wasilewiczu, wiedzieć co mnie boli, gdy mi żadnej ulgi przynieść nie możecie. Wierzę w poczciwe serce wasze, ale ono tylko tyle, że się ulitować nademną potrafi.

— No, więc powiedzcież no tylko, a rzućcie z serca ciężar — odezwał się stary.

— Przybyłam tu z Warszawy — odezwała się Marya — w jednej sprawie bardzo ciężkiej: przywiązałam się całą duszą do człowieka, do Polaka (dodała ciszej, wiedząc jakie to zrobi wrażenie) — a mój nieszczęśliwy skazany został na katorgę.

Kupiec się chwycił oburącz za głowę.

— Nie mogę mu ulżyć losu — dodała Marya... — ale pójdę za nim!

Prokop Wasilewicz milczał, lży kapały mu z oczów.

— A Boże ty mój! jak to wam było — rzekł — przywiązać się do człowieka niewiernego, do *niechresta*, do jakiegoś tam — złoczyńcy.

— Mój stary — odezwała się kobieta — nie mówcie tego, wy ich nie znacie.

— Ale car przecie wydał ich wszystkich na zgubę — mówił kupiec — to muszą już być źli ludzie. Wy wiecie, że kto na katorgę skazany, z tym nawet ślubna żona iść nie ma obowiązku, ma prawo go opuścić... na-cóż wam dobrowolnie iść na to nieszczęście?

— A opuściliżbyście wy dziecko wasze, gdyby, uchowaj Boże, podobny je los spotkał? — zapytała Marya.

Stary głową tylko pokiwał.

— Chodziłam do Lwa Pawłowicza i do

innych — mówiła dalej — nie nigdzie uczynić dla niego nie można... a więc pójdę z nim... to jedno zrobić mi wolno i tego mi i sam car nie zabroni...

Prokop otarł łzy.

— Słuchajcie no — rzekł, zamyślając się... — do mojej córki... pamiętacie wy Daryę? Darya wyrosła na ogromną dziewczkę i hoża jak jabłko; a gra na fortepianie, ale jak gra, jak śpiewa... musicie ją posłyszeć! cudo! O! od tego to ja nie odstąpię... Do Daryi udaje się niejaki Susłow, dobry człowiek, zdatny, porządny, stateczny, nie hulaka, nie szczygieł... Służy on w ministerstwie wewnętrznem... hej! może my przez niego po cichu co zrobimy! On dla Daryi gotów w ogień i w wodę, a Darya i my dla was, choć na sam brzeg piekła...

— Mój drogi Prokopie Wasilewiczu — rzekła kobieta — ależ ja chodziłam do samego ministra... a patrz... wskazała list... odmówił mi.

— To nic — odpowiedział stary — to nic... Czy to wy zapomnieliście Petersburga? u nas przez czarne schody wyżej dojść można niż po paradnych, czego czasem nie zrobi minister, to potrafi prosty *stołnaczelnik*. Ja wam nic nie obiecuję, ale no... pomówiemy z Susłowem, Susłow bardzo sprytny chłopak i wie, gdzie raki zimują,

głowę ma... no! sami zobaczycie. Jeśli on tylko powie, że można, ja wam ręczę, że zrobimy. Susłow weźmie na pazury, jak mu się tylko Darya uśmiechnie, a wy Daryi szepnijcie, żeby mu mrugnęła oczkami... ja będę wiedział, jak go zażyć...

— A! niech ci Bóg da wszystko dobre, Prokopie Wasilewiczu — odezwała się Marya — za to wasze do mnie serce, nie mam wielkiej nadziei, alem ci wdzięczna... ty jeden wyciągasz mi rękę...

— O! no! no! dosyć tego, jutro wy u mnie na herbacie, ja zaproszę Susłowa, pogadamy... zobaczymy... Bóg łaskaw. Bądźcie lepszych myśli. Chcę was koniecznie mieć u siebie, posłyszycie jak Darya gra, dawał jej lekcyę bestya Niemiec, o! o! le dwiem się ja go pozbył z domu, hołysz widać. ruble moje przewąchał i począł więcej uczyć, niż należało, ale my nie dopuściliśmy do nieszczęścia... matka go wyszpiegowała i pozbyliśmy się z domu, a wzięli madame francuską, co daje koncerta... O! i Darya rozumna dziewczyna... co jej po Niemcu, to nie dla nas potrawa...

Tak paplał poczciwy kupiec i na nowo wycalował rękę Maryi, pożegnał ją, kapeluszem prawie wlokąc po ziemi. Trzy czy cztery razy powtórzył jeszcze, że na nią oczekuje nazajutrz wieczorem z her-

batą i wysunął się, zostawiając niepocieszoną wcale tym Susłowem, na którym on zdawał się jakieś budować nadzieje.

Wieczorem mimo smutku i wstrętu potrzeba było pojechać z Amelią do francuskiego teatru. Przyjaciółka, poczuwając się do obowiązku rozerwania przybyłej, rada też była, że swojego Saszę zmusi w ten sposób, aby i jej dostarczył dawno nie kosztowanej rozrywki. Amelia przybyła wystrojona, kompromitująco wybielona i wyróżzana, w jaskrawych przyborach, wytwornie, choć nie świeżo, ubrana. Strój ten mocniej jeszcze raził oczy Maryi, przywykłej do żałoby warszawskiej, ale serce zboleć nie dozwalało zbyt na to zwracać uwagi.

Zaledwie usiadły w łoży, zjawił się w niej zapowiedziany wcześniej, ale już przez Maryę zapomniany książę Daliwadze. Ubodło to nieszczęśliwą i z wymówką spojrziała na swą płochą przyjaciółkę petersburską, która się tylko uśmiechnęła. Leczyła ją jak umiała i mogła. Daliwadze w istocie był pięknym, jak bywają górale kaukazskiego szczepu, twarz miał szlachetną, oczy wyraziste, czarne, był młody, wesół, śmiejący się, ale wychowanie przez pół petersburskie, które padło na dziką naturę swobodnego górala, szczególną zrobiło mieszaninę instynktów rycerskich ze scep-

tycызmem i zgnilizną poronionej cywilizacji. Na pierwszy rzut oka znać było zaraz, że mu się Marya podobała bardzo, ale ona odrazu usiłowała mu dać poznać, że go wcale bałamucić nie myśli, bo serce ma czem innym zajęte. Była grzeczną, ale jak lód chłodną i odstręczającą.

Daliwadze mówił tylko po rosyjsku, przysiadł się do swej sąsiadki i gwałtem z nią zawiązać usiłował rozmowę. Widząc go tak naiwnie natarczywym, Marya nie miała innego sposobu, tylko mu odrazu szczerą i całą prawdę powiedzieć o sobie. Nie uszłoby to w innym świecie, tu było koniecznością. Z twarzy zresztą wniosła, że zasługiwał na to, aby z nim była szczerą.

— Coście to wy tak smutni, piękna Maryo Agathonówno? — spytał w czasie między aktem gruziniec.

— Mogłabym ja, Polka — odparła Marya — odpowiedzieć wam pytaniem na pytanie, dlaczegoście wy tak weseli?

— Jako? wy? jesteście Polką? — rzekł zdziwiony góral.

— Tak jest — rzekła — i nie taję się z tem i chlubię. Moja ojczyzna, kraj mój jest tak biedny, upokorzony, znękany jak i wasz... i my i wy nie mamy się czego weselić! Powiem wam szczerze, w tej biednej Polsce zostawiłam narzeczonego mego w kaj

danach, skazanego do katorgi, kaleką...
Mogęz się ja uśmiechać!

— Książ bojaźliwie obejrzał się dokoła,
w oczach jego połyskiwała łza.

— A! rozumiem was — rzekł — losy wasze
są naszymi losami, ale my... myśmy się już
wyrzekli nadziei... Bóg tak chciał — dodał
z rezygnacją wschodniego fatalizmu — coś
przeciw takiej potędze może słaba garstka
podbitego narodu?

Spuścił głowę...

— O! myśmy stokroć nieszczęśliwsi od
was — odpowiedziała Marya — wam jeszcze
pozostały choć łachmany świetnej prze-
szłości, które nosić wolno, macie strój wa-
szych naddziadów, mówicie ich językiem,
możecie na górach waszych dumać nad
dawną wielkością i sławą; nam odbierają
mowę, obyczaj, suknie... a tych, co śmieją
poskarżyć się i jęknąć, wiozą w lody Sy-
biru... niema dnia, żeby z tej drogi nie do-
szedł nas krzyk bolesny konania... starca,
niewiasty, dziecięcia...

I zapłakała... Daliwadze zamilkł, skłonił
się z poszanowaniem i stanął za nią po-
korny, ale na chwilę nie spuścił z niej oka...
a gdy, odjeżdżając, siadały do powozu,
z uczuciem braterskim rękę jej uściśnął.

— Maryo Agathonówno — rzekł pospie-
sznie, wy tu nie macie nikogo pewnie, po-

służcie się mną, nie bójcie się dzikiego gruzińca, umie on poszanować boleść kobiety... będę wam tylko bratem i sługą... nie odmówcie.

Maryja skłoniła tylko głowę, dziękując, powóz ruszył; Daliwadze stał długo patrząc za odjeżdżającą.

Nazajutrz u Prokopa Wasiliewicza był wielki występ, gotowano się ze wspaniałą herbata dla dobrodziejki, która niegdyś kilku słowami ocaliła całe mienie kupca, zagrożone jednym z tych procesów niesprawiedliwych, napastliwych, jakie się tylko w Moskwie trafić mogą, gdzie sądy i sędziów kupuje się za pieniądze, sprawy sądzi przy drzwiach zamkniętych i cisza grobowa pokrywa spełnioną krzywdę.

Prokop Wasiliewicz, zbogacony wieśniak jarosławskiej gubernii, człek prosty, dorobiwszy się znacznego majątku szczęściem, oszczędnością i zbiegiem okoliczności niespodziewanych, poczynął jak wszyscy dobrokiewicze całego świata, trochę chorować na bojara, syna kształcił po europejsku, córce dał jak najwykwintniejszych nauczycieli... Ta cywilizacya, gwałtownie narzucona pokoleniu, które w pieluchach do innego sposobu się losu, wyglądała tak, jak tynk na świeżym murze... Mur osiadał, tynk pękał i dziury świeciły... ale

i resztki gipsu przyozdabiały na prędce ulepione gmachy...

Prokop Wasiliewicz od niejakiego czasu zwłaszcza przyjmował w domu wystawnie, ale obyczajnie zachował jeszcze przez pół stare ruskie; a w duszy był poczciwym chłopem. Czuł on, że w surducie powinna była chodzić przyszłość, syna też już przyoblekał w szatę cywilizowaną, ale sam z przyjemnością wdziewał stary sarafan, a żona jego nie młoda już, otyła, Eudoksya Iwanówna, chodziła jak bywało, głowę miała związaną chustką jedwabną, a krótki przyodziewek z futerkiem był jej ulubioną odzieżą... Coś nakształt tego, co w niektórych miejscowościach Moskale zowią *ohrejdušką*, bo u nich dusza jeszcze cała w mięsie i ciele. Ale ohrejduški Eudoxyi Iwanówny szyte były z kosztownych materii, podbijane gronostajami, koleczyki w uszach matrony połyskiwały przepysznyimi soliterami, a na białej, pofałdowanej szyi wisiały perły, którychby jej generalowa pozazdrościła.

Darya Prokopówna, ukochana córka, była wcale ładną, białą, pulchną dziewczką, słuszniejby należało powiedzieć dziewczyną, zbudowaną do życia obowiązków gruntownie — szerokich ramion, wydatnych piersi, rąk i nóg do chodu i roboty

stworzonych... Z ust jak koral rumianych uśmiechały się jej białe ząbki, śmiały się i siwe oczka maleńkie i wesole. Miała około lat szesnastu, ale wyglądała na dwadzieścia i chodziła już jak dorosła panna w szerokiej krynolinie, w najszerszej, jaką tylko mogła wyszukać i w sukniach od najlepszej francuskiej modniarki... Mówiła też wcale nieszpetynie po francusku, a grała na fortepianie z siłą i brawurą, do której duża jej ręka i dłoń zamaszysta dzielnie posługiwały. Było to widocznie dziecię ludu, z którego jeszcze próżniaczego życia wieki nie wyssały zdrowia i wesela.

Dom Prokopa Wasiliewicza wyglądał jak jego familia. W salonie wisiał św. Mikołuszka srebrną blachą okuty w kątku, z wiekuiście palącą się przed nim lampą oliwną i piękny pejzaż, wystawiający nadwożańską okolicę w oparnej ranek letni... Wygrał go Prokop na jakiejś loteryi, a że miał przepyszne ramy, umieścił go w salonie... ramy go zachwyciły. W kącie drugim stał palissandrowy *flügel*, to jest fortepian, kosztujący tysiąc rubli, a obok na serwantce porcelanowy kot do masła, szklane ornamenta niewykwińskiego smaku, bukiet kwiatów pod kloszem i dwa lichtarze z różowemi świecami... Przepych bogacza łączył się tu tak wszędzie z brakiem

smaku i zaniedbaniem człowieka, przywykłego do prostszych rzeczy, który nie umie rzemieślniczego misterstwa odróżnić od sztuki.

Po usłudze i przygotowaniach do onej sławnej herbaty znać było, że rzadko przyjmowano ceremonialniejszych gości.

Po salonie chodził gospodarz, gładząc brodę, jejmość w jedwabnym kaftanie, Darya w sukni czarnej morowej z ogromną broszą, do rozmiarów jej piersi zastosowaną i mały Susłow, niby elegant, niby adonis stęplowym papierem i biurową stęchlizną śmierdzący o milę dla lepszego nosa. Prokopom pachło to jak patchulą.

Susłow był brunecikiem starannym około siebie, dosyć przystojnym i delikatnym, synem duchownego podobno, już należał do tej klasy mniej pracowitej, która za piecem siedząc, zdrobniała. Miał nieco podejrzaną dystynkcyi i znać było, że się gotował przebijać przez świat nie rozbijając ludzi łokciami, ale wszrubowując się między nich, choćby podłaząc niekiedy. Białemi zębami, drobnemi i ostremi, uśmiechał się do Daryi, która z nim obchodziła się dosyć łaskawie, okazując wszakże, że jej posag dawał prawo nieco podrożyć się z sobą.

Kupiec zaprosił przez Maryę na ten dzień i przyjaciółkę jej Amelię, sądząc, że

jej zrobi tem przyjemność; Amelia dosyć zręcznie znowu wyprosiła pozwolenie przyrowadzenia z sobą kniazia Daliwadze... Kniaź w kupieckiem towarzystwie zawsze jest pożądanym, choćby był gruzińcem. Prokop był z niego bardzo szczęśliwy.

Któż nie słyszał o tych starych generałach w Petersburgu, których mieszczachństwo najmuje sobie na pogrzeby i wesela? Być bardzo może, iż zwyczaj ten dziś ustał, ale że istniał, za to możemy najuroczyściej zaręczyć. — Zwykle bywał to odstawnym z mundurem i kilku krzyżami starowina, którego godzono za pięć, dziesięć a czasem i więcej rubli dla asystowania uroczystości. Najmowano mu karetę, sadzono na honorowem miejscu, ugaszczano, a przy drzwiach wtykano bomażkę... z podziękowaniem. Nic charakterystyczniejszego nad to! takich generałów tylko Moskwa mieć mogła. Spytajcie tych, co dawniej bywali w Petersburgu, powiedzą wam i poświadczą, że wesela, chrzciny, pogrzeby z najętymi generałami, były u mieszczachństwa rzeczą bardzo zwyczajną. Generał taki siadał, jadł, pił, mniej więcej dobrze spełniał swą rolę, a byli naturalnie pokupniejsi i mniej poszukiwani. Podradczyk, który dostarczał generała, przynosił zarazem jego

imię i imię ojca, aby wiedziano jak go uczcić. Byli tacy popularni niektórzy, że im spokoju nie dawano, a że i datek i szampan weselny ponętne są, targali się ostatek, dodając świetności obrzędowi... nie jeden zmarł ze znużenia! Uczty weselne nie zawsze są strawne, a noce petersburskie chłodne.

Miarkujcie, że kiedy generałów się kupuje dla świetności, chętnie daremnego każdy przyjmie księcia.

Na turkot powozu zajeżdżającego przed bramę, stary Prokop zbiegł ze schodów i kłaniając się do ziemi, poprowadził Maryję na górę. Matka z córką przywitały ją przed progiem.

Stara kupeczycha za wyrządczną im cześć dziękowała ze łzami, o mało że Maryję nie całowała po rękach, posadziła ją na pierwszym miejscu na kanapie, a sama nie śmiała już usiąść przy niej. — Przedstawiono natychmiast Susłowa, który się trochę z początku zmieształ, ale wkrótce odzyskał równowagę, bo już wiedział o co chodziło i jak dziś ważną grał rolę. Stary go zawczasu był przygotował. Wkrótce potem nadjechała Amelia strojna w inny sposób, ale niemniej wspaniale, co na nie-szczęście tylko jej podstarzenie uwyda-

tniało bardziej jeszcze... Za nią spieszył książę Daliwadze.

Nim podano herbatę, już fortepian był otwarty, Prokop Wasiliewicz obstawał mocno przy tem, aby córka zaraz grała i śpiewała, a Marya także się tego domagała, wiedząc jaką staremu uczyni przyjemność. Otworzono flügel aż do wnętrzości, aby co najwięcej narobić hałasu i poczęła się fantazyja Thalberga, wykonaną jakby ją dziesięć młotów nie dziesięć palców wystukiwało. Omyłek było wiele, ale z tak dobrą popelnionych wiarą, że na nie zważać się nie godziło... Potem na żądanie powszechne ostrym, ale potężnym głosem zaśpiewała Darya *Casta Diva* i *Grace Meyerbeer'a*, naostatek Schubert'a *Skargę dziewczyny*, a że tego wszystkiego jeszcze za mało, zakończyła kawałkiem *Liszta*, w którym najbieglejsze ucho myśli dopytać nie mogło, tak doskonale pokryła ją świetna egzekucya...

Wszyscy przyklasnęli nadzwyczajnemu talentowi wirtuozki, ojciec i matka płakali z rozrzewnienia, kochanek rosnał; rzucano nań wejrzenia dające mu do zrozumienia, jaki to skarb ma mu się dostać, jeżeli nań zasłuży... Po tej pierwszej części koncertu, za którego ukończenie widząc zapal słuchaczów nie bardzo można było ręczyć,

nastąpiła herbata. Samowar wniosła strojna w kokosznik służąca, szklanki i filiżanki chłopiec sklepowy w ubiorze narodowym, kraśnej koszuli i aksamitnych spodeńkach, ale z chustką na szyi, co zdradzało popęd do apostazji. Prokop skinął na Susłowa i przyprowadził go do swej dobrodziejki.

— Pawle Porfirowiczu — rzekł podając mu sam krzesło... — ja tej pani winienem wszystko, nie miałbym dziś szeląga przy duszy, gdyby nie jej łaska, co uczynić możecie dla niej, zróbcie, a zobowiązecie mnie... I nie pożałujecie tego, nie pożałujecie, przysięgam wam na Boga żywego, o cokolwiek wy mnie potem poprosicie, nie odmówię wam.

To rzekłszy i ścisnąwszy za rękę biuralistę, odszedł. Susłow odezwał się parę słów, dopytując o sprawę, Marya zaraz mu ją krótko i chłodno, bez nadziei, aby się to na co przydało, opowiedziała. Susłow zamyślił się mocno.

— Czy to jest człowiek bardzo znany i głośny? — zapytał po chwili.

— W kraju swoim dosyć, ale cichy i skromny, nigdy sławy nie szukał z zasługi; nie mówią o nim dziś, jest tyle innych boleści...

— To dobrze — rzekł Susłow — a gdzież on jest teraz?

— Doniesiono mi, że już go z partyą wyprawiono z Warszawy.

— I to dobrze — dodał, trąc czuba urzędnik... — pozwolicie mi, żebym zaraz dla pamięci zrobił sobie *zapiskę*. A nie moglibyście wy wystąpić jako siostra, krewna lub tym podobnie?

— A gdyby mnie o dowody pokrewieństwa spytano?

— To się nigdy nie dzieje — odparł Susłow — chyba by była denuncyacya, rzecz formy, potrzeba, żeby ktoś podał zapiskę, prośbę, skargę; zdaje mi się, nie ręczę, że coś się da zrobić. Spróbujemy zatrzymać go gdzie w drodze w lazarecie tymczasem, wy podacie notę, ja pochodzę... zmienią mu karę katorgi na *posielenie* (mieszkanie), jakbyście sobie życzyli? gdzie?

Marya zawahała się.

— A nie mógłżeby powrócić? — spytała.

— Po co? to by było gorzej dla niego, w Polsce by go chwycili raz drugi i my byśmy biedę mieć mogli... później... wracają ludzie łatwo. Tu u nas w Rosyi będzie spokojny, Woroneż, Kursk, Wiatka, Wołogda, macie do wyboru, a co mu tam za krzywda, wyśmienity kraj!

— Wybierajcie już sami, wy lepiej to znacie gdzie wygnaniec przesiedzieć może żkie dni niewoli...

• Susłow skłonił głowę, Marya spojrzała mu w oczy niedowierzająco.

— Jak to? jak to? więc wy macie nadzieję? — rzekła nabierając nieco ducha, choć zrazu nie mogła pojąć, aby taka małeńka figurka dokazać potrafiła, czego jej minister odmówił...

— Ale ja byłam u ministra i on mi odmówił?

Susłow dziwnie się szyderczo uśmiechnął.

— Zapomniałem was przestrzedz — dodał — ażebyście więcej nie udawali się ani do niego, ani do żadnej z wielkich figur... możecie popsuć interes; mam nadzieję, że się rzeczy zrobią po cichu... i końce w wodę... Nie będę wam taił, że teraz łatwiej uwolnić dziesięciu zbójców, niż jednego Polaka... ale u nas, kto wie jak, robią się czasem rzeczy niepodobne na pozór do zrobienia. Będę bardzo szczęśliwy — rzekł z uśmiezkiem — jeżeli usłużyć potrafię przyjaciółce Prokopa Wasiliewicza... wy także spodziewam się — dodał ciszej... — wy, których on tak szanuje, przemówicie słówko za mną!

— A! całe życie moje będę wam wdzięczną...

Łzy stanęły jej w oczach.

Książ Daliwadze, który nie był wtaj.

mniczony w sekret tej rozmowy, widocznie z małą zazdrostką zbliżył się do nich i przerwał ciche narady. Amelia też szczebiotaniem i zaczepkami nieustannemi usiłowała ją odciągnąć ku sobie; podawano herbatę — rozmowa stała się powszechną, Susłow ustąpił na stronę.

Tymczasem Prokop Wasiliewicz był szczęśliwy jako człowiek, który stare spleca długów... wesoło zacierał czuprynę i gładził brodę. Herbata była tylko wstępem do biesiady, poprzedziła ona owoce, konfitury, tort, przekąski słone i słodkie w wielkiej obfitości i doborze; zaraz po nich nastąpił pierwszy wystrzał nieuniknionego szampana i zdrowie Maryi Agathonównej, które wszyscy spełnili kilkakrotnie. Gospodarz całował ją po rękach i płakał z radości. Zaledwie miano czas odetchnąć po tem, gdy zaproszono do wieczerzy, zamówionej u najlepszego kucharza i wspaniale przystrojonej. Mężczyźni wypili przed nią po kilka kielichów wódki, które otrzeźwiły ich do nowych libacyi szampana. Lało się ulubione Moskałom wino strumieniami, zmuszano pić i kniaź, Susłow, sam gospodarz, nawet Amelia dobrze sobie podchmielili. Ożywiło się towarzystwo do tego stopnia, że Susłow ze swą przyszlą mogli bezkarnie szeptać i ścisnąć się za ręce a nikt

nie dostrzegł tych serdeczności dosyć jawnych; nawet troskliwa matka, której także kieliszek szampana głowę nieco zawrócił. Książ Daliwadze nieustannie przysiadł się do pięknej Maryi, wzdychając i podkręcając czarnego węża, a Amelia poczyniała ich wzajem sobą prześladować, aby pierwsze zbliżenie się ułatwić, ale to nic nie pomogło, stał w myśli biednej kobiecie nieszczęśliwy kaleka, pędzony na Sybir i łzy się do oczów cisnęły.

Późno w noc wychylono toast ostatni i Marya sprowadzona na dół schodów przez gospodarza, wsiadła do powozu zamysłona, smutna kontrastem tej wesołości ze swą boleścią, nie wiele obiecując sobie ze starań Susłowa.

Niegdyś ojciec historyków Herodot, opowiadając o krajach północy, w których tajemnicze głębie zajrzeć nie mógł, napisał, że tam za wiecznie padającymi śniegami świata nie widać, że jak puchy białe unoszą się tam wiekuiście w powietrzu tumany i zamiecie, a wszelkie ustaje życie... Ten mrok i cisza Herodotowa dotąd okrywają rozległe moskiewskiego państwa przestrzenie i nic nie widać za białych ciemności zasłona... Któż zajrzał i opisał ten kraj zaryglowany, zamknięty, zakłęty, uśpiony, despotyzmem w żelazne ujęty kluby, to ogromne więzienie ludów, z których gdy się przerażony wymknie niewolnik, drżą mu usta i nie śmie rozpowiadać co widział, aby głos jego nie doszedł uszu oprawców, aby go niewidzialne ręce nie pochwyciły znowu i do tego grobowca żywych nie zaparły na wieki. — Zimnemu temu piekłu braknie Danta, coby je odmalował...

Nad tysiącami mil pustyni, przez którą rzadko, bojaźliwie przesuwa się człowiek, panuje cisza grobowa, niema tu wesołej

wrzawy życia i ruchu swobody, trwoźnie przebiega przestrzenie załękły niewolnik, tylko łańcuchy brzmia głośno i jęk rozlega się dla przykładu i rozkaz grzmi podawany z ust do ust. Milczeć i słuchać!

Dziwna i straszna kraina, ciągną się stepy bezludne, wyschłe i zamarłe, gdzie-niegdzie kępka ludzi w mizernych domach, nad którymi sterczy jako wyraz ostateczny siły... turma kazienna, cerkiew i kaznaczejstwo. Nie znajdziesz ani szkoły, ani fabryki, ani giełdy, ale więzienia i skarbiec wszędzie — cała rządu działalność w tych dwojgu, więzienie dla tych, coby ludźmi być chcieli, kasa dla tych co się za złe mają czem opłacić i żyć bezkarnie. Cerkiew stoi dla pozorów, aby nie powiedziano, że to jest społeczeństwo bez Boga, ale w niej Bogiem jest car; car oznacza co Panu Bogu od ludzi należy i o ile przykazania Bożego słuchać potrzeba.

Z dwojga, jeżeli przykazanie carskie przeciwi się Bożemu, musisz usłuchać tego co nakazuje car, a nie tego co kazał przed wieki Bóg. W cerkwi tak dobrze panuje rząd jak w więzieniu i skarbcu, on zamyka, otwiera nabożeństwa, naznacza, uświęca, rozgrzesza i potępia. Nic niema tu ponad cara — car Bogiem — pogaństwo, jak za cesarów w Rzymie.

Człowiek, ludzka wola, uczucie, prawa moralne świata niczem są tutaj, wszystko służy jednemu i tej garści co go otacza. To, co inaczej być chce, co się odzywa głosem sumienia w imię prawa ludzkości, idzie do kopalń w łańcuchy...

I cicho na pustynnych przestworzach, cisza i śmierć nazywa się błogą szczęśliwością, a ktoby śmiał zapłakać, ten winien zbrodni stanu i obrazy majestatu, bo zapragnął więcej niż się godzi i chciał mieć własne uczucie i łzy, a tu godzi się tylko płakać nad carską niedolą i weselem carskim się radować.

Idziesz przez ten kraj i krew się ścina w żyłach na widoki, które cię otaczają, nigdzie i nigdzie ludzkość więcej, niegodniej poniżoną nie była, istota stworzona na obraz Boży stała się wizerunkiem bydłęcia... Łzy wysychają w powiekach, serce bić ustaje, szklane niebo patrzy na to i cierpi, Bóg dopuszcza — chce się z rozpaczny Opatrzności zaprzeczyć i w Boga nie wierzyć...

Wśród głuchego milczenia śmierci jeden krzyk pijanej tłuszczy czasem się ozwie z głębi tych kotlin zaklętych... pijani pieją, zagłuszając w sobie, by niecierpieć. Człowiekiem tu być nie można, nadto boli...

więc zalać trzeba duszę a rozbestwić w sobie zwierzę... pijany nie czuje razów i śmieje się z upokorzenia.

Przebiegasz stepy, szukając życia i niema go nigdzie, wszędzie człowiek idzie przelekły, ze spuszczeniem w ziemię okiem, przekradając się przez świat, całe jego życie kradzione, biedne, tęskne... To też trzeźwa ich pieśń brzmi jak grobowy płacz, a to szczere słowo jest szeptem trwożliwym co się sam siebie lęka... Wszyscy wszystkim nieprzyjaciółmi, brat, żona, ojciec, dzieci są w obowiązku szpiegowania się. Kto cię nie wyda karany kto zdradził swoich nagrodzony, społeczność cała trzyma się nie węzłem między sobą spojona, ale klamrą łańcucha co z góry ją ujął w kleszcze.

Chrześcijaństwo pozorne przerosło tu w jakąś potworną religię rządową, w której Pana Boga niema, bo go car mundurem i szlifami zasłania. Pan Bóg niema prawa do tego carskiego ludu przemówić wprost, tylko przez usta swego pełnomocnika, a cobykolwiek rzekł głos z niebios, musi być potwierdzone w Petersburgu.

Pustką, ciszą i grobem jest to cielsko olbrzymie państwa, na którym jak wrzody krwawe i ropiaste rosą stolice i miasta;

zgnilizna jest tu żywotem, a ruch robotwa, które ona rodzi, jedynym objawem jakiegoś istnienia. Jest to wszakże potęga, jak potęgą jest góra gnoju, którym przyrzucono żywcem pogrzebione istoty...

Znane już są nietylko nam nieszczęśliwym, cośmy z rodzin naszych dali wszyscy na ofiarę Minotaurowi moskiewskiemu dziecięcą krew i boleści, ale całej Europie te pochody więźniów politycznych przez stepy moskiewskie, przypominające wieki barbarzyństwa, gdy prawo nie karało występnych, ale się mściło nad nimi. Malowano je i nie odmalowano ich, bo rozpieszczony świat nie lubi krwawych powieści i woli słuchać historyi o wszetecznicach, które go bawią. Ale przyjdzie czas, gdy bizun Moskala i z zachodu Europy popędzi ofiary na lody Sybiru, żgając je ironią i szyderstwem po drodze, dobrzeby się zawczasu nauczyć, co może przecierpieć będzie potrzeba jutro.

Sama podróż do miejsca przeznaczenia jest już męczarnią nieopisaną, często jednym z najstraszniejszych epizodów w historii wygnańca. Ciągnie się ona niekiedy całe lata; zmieniają w niej kraje, klimaty, dozorcey, komendy, towarzysze, ale rzadki znajdzie litość, wyrozumiałość i jakąś ulgę dla nieszczęśliwych.

Ci, którym odjęto prawa stanu, w obliczu pojęć moskiewskich ludźmi już nie są, wolno się z nimi obchodzić jak się komu podoba; wprowadzie i ci co pozostali szlachciami, mieszczanami nie lepiej wogóle są poszanowani, ale przecież mogą się, choć nieskutecznie skarżyć i upominać o krzywdę swoją.

Dawniej lud w głębi Moskwy, niezarażony politycznymi namiętnościami, był litościwy wogóle dla wszystkich przestępców, dziś — dzięki staraniom opiekuńczego rządu, znikła ta cecha chlubna odwiecznej tradycyi ludzkiej, zniósł ją chroblivy, rozwścieczony patryotyzm, zfabrykowany w kuźni Katkowa... Wystawmyż sobie męcznie tych pochodów żałosnych, z nielitościwem żołdactwem wśród kraju, podżeganego nieustannie do nienawiści.

Włosy powstają na głowie, a jęków tyśiąca ludzi niebo nie słucha, ale je liczy! O! przyjdą dni pokuty, albo niema Boga i sprawiedliwości... Kto podżęgał do okrucieństw, kto je wywoływał, padnie ich ofiarą, sam lub pokolenie jego...

W skwarne dni lata drogą tumanami kurzu ziejącą, w jesieni błotami grzązkiemi, zimą przez głębokie zasy śniegowe ciągnie się łańcuch nieszczęśliwych wygnańców, z powygalanemi głowami, ze skutem

rękoma, powolnie, smutnie, żałobno... Niekiedy z głuchym jękiem przystanie słabszy, to go popchnie żołnierski karabin, zaboje chory, a śmiech mu na skowyczenie odpowie, padnie omdlały, a podniosą go razy i dalej, dalej a dalej.

Czasem zechcą usta zeschnięte odwilżyć się pieśnią i zamknie je pięść żołdaka, ozwie się głośniejsza rozmowa, oficer dzikim jękiem rozkazem rozerwie... dalej w grobowym milczeniu, dalej a dalej.

Jeżeli żołnierz nie jest ujęty datkiem, próżnobyś go prosił o kroplę wody u studni — jeżeli ludność rozkiełznana i rozburzona, zbliżyć się do chaty niepodobna...

Czemuż nie dobiją odrazu?

Ten pochód wszakże zowie się jeszcze ulaskawieniem, jest dobrodziejstwem, za które wielbią miłosierne serce tego, co chwilę szubienicy zamienia na lata powolnej męczarni...

Kogo nie dobije ta straszliwa podróż, tego skamieni, uzdrowi, zahartuje i uczyni zeń człowieka silnego, zamkniętego w sobie, twardego jak żelazo. Nie porwie się on niebacznie, ale nie zapomni nigdy tego eo przecierpiał.

Takimi to srogimi razy od 1764. do 1864 roku z płóczego narodu co skakał

i balował, gdy pierwszy raz ojczyznę
ćwiertowano, Moskwa wyrobiła plemię mę-
czennicze, w którym dwunastoletnie chłopcy
są bohaterami, a niewiasty chodzą w aureo-
lach Błogosławionych Pańskich za życia.
Upadlibyśmy i zgnili, gdyby nie to mę-
czeństwo nieustanne, dające nam siły nowe;
dziękujmy za nie Bogu, bo w nim uro-
śliśmy i rośniemy i olbrzymiejemy co-
dzień, a rozsiani po szerokich przestrze-
niach, apostołujemy idei Pańskiej i szerzymy
ją w stepach kędy nie było ludzi... tylko
carskie bydłota.

W pośrodku jednego z tych traktów,
którymi wloką się sznury wygnańców,
nie opodal od małego powiatowego mia-
steczka, świecącego ostrokołem swej turmy
i białemi ścianą swej cerkwi — konwoju-
jący żołnierze, znużeni pochodem po roz-
grzęzłej ziemi, chociaż im wolno było iść
twardszymi bokami, gdy skazani musieli
ciągnąć środkiem i błotem — wstrzymali
się przed małą ziemiłanką raczej, niż chatą
dla wypoczynku.

Na pustynnym obszarze, pokrytym ze-
schłemi trawy i ogryzionemi krzaczkami,
wyrósł ów tak zwany Krasny Kabaczok,
jak paskudny grzyb przy drodze, na pół
siedząc w ziemi, nieco tylko dachem
i częścią krzywych ścian wystając nad gli-

niasty pagórek. Koło niego ani drzewiny ani znaku ludzkiej zapobiegliwości i starania o umajenie życia. Z jednej strony wysoka kupa gnoju i śmieci odwiecznych z drugiej studenka z kałużą. Rodzaj chlewa przypierał do karczemki, upleciony z chrustu, polepiony gliną, która od słoty poodpadała. W chacie tej oprócz wódki zaśnieżonego samowaru, razowego chleba i surowej kapusty nic dostać nie było można. Nie młoda kobieta, kilkoletnie dziecko wybladłe i starzec złamany zamieszkiwali lepiankę stepową.

Kilkunastu skazanych w szarej odzieży i różnych ubiorach z tłomoczkami na plecach, gdyż każdy co miał lepszego niósł na sobie, obawiając się oddać na wlokącą się z tyłu furę, smutnie popadało na ziemię, gdy żołnierze złożywszy broń w kozły, poszli wódki i wody napić się do karczemki. I wiodący żołdaci i skazani byli nad wyraz smutni i przybici; niektórym sił już do pochodu nie stawało; zaledwie upadli na ziemię, głowy ich pochylały się na piersi, sen począł kleić powieki... Do koła krajobraz roztaczał się nagi, pustynny, dziki, rzekłbyś kraj nie zamieszkanym jeszcze, stojący ludom wędrownym otworem jak przed wiekami. Nizkie, chude zarosła, nieuprawne pola poryte potoki

wiosennymi, trochę zasiewów niedbałych, płowe wydmy i nagie obszary zeschłej trawy... Oko błędziło nie mając się na czem zatrzymać, czem zająć, czuć było niewolę nad tą krainą, którą swoboda mogła uczynić żyzną, ożywioną, szczęśliwą. — Człowiek zdawał się tu żyć jak w pontyńskich błotach z musu, z konieczności, z przestraczem i wstrętem. Jednego od drugiego dzieliły przestrzenie ogromne, a odosobnienie i zdziczenie smutkiem i tęsknotą malowało się na twarzach białych i zwiedłych. Przechodzący sunęli się milczący, spiesząc jakby przestraszeni pustynią i ciszą.

Wygnańcy przywykli do innych widoków, do kraju zaludnionego i wierzącego w przyszłość, ze smutkiem oglądali się dokoła, wszyscy usiedli na nieco suchszem wybrzeżu gościńca.

Było ich kilkunastu; na przodzie szedł poważny i spokojny starzec słusznego wzrostu, który mimo swojego wieku zdawał się najlepiej wytrzymywać tę podróż, może ją nie pierwszy raz już odbywał. Nie dziwota u nas znaleźć takich, co trzykroć szli na Syberyę i trzykroć z niej powracali. — Na czole jego wisiała chmura myśli posepna, ale nie rozpacz — w oczach połyskiwało niedogasłe życie.

Przy nim szedł chłopak młody, blady, znekany i na duchu widocznie upadły — gniew, oburzenie, zajadłość jeszcze nie wydechana w długim pochodzie, wzmożona długą męczarnią, nadawały obliczu jego wyraz niezmiernej boleści, tem sroźszej, że nieukołysanej zdaniem się na Opatrzność, nieuświęconej rezygnacją chrześcijańską.

Szyderski śmiech krzywił mu czasami usta, mścił się na nieprzyjacielu sarkazmem, ale i sobie nim duszę rozdierał.

Obok siedział trzeci mężczyzna bez ręki, blady, zmęczony, ale tak prawie uspokojony jak starzec, tęsknicie wygnania nadawały twarzy jego wyraz poetyczny... był piękny ale zastygły... Poznacie w nim ducha Juliusza.

Oprócz nich wesoły, małego wzrostu księżyna, którego stanu pod suknią domyśleć się już nie byłoby można, uśmiechał się prawie wesoło, zażywając zieloną tabakę z brzozowej tabakierki i nieustannie obracając ją w rękę... Szesnastoletni chłopak obok niego palił szkaradny jakiś tytuń z obrzydliwej fajeczki, zajęty tą zabawą więcej może, niż swem nieszczęściem...

Reszta skazanych mniej wyróżniająca się, pokotem spoczywała na ziemi, twarze niektórych były prawie trupio-blade i tru

pio-nieżywe... tylko zmarzłe i zeschłe lzy wyrwały na nich dwie brzoźdy czerwone, które zostały jak łoża potoku, choć źródło co go żywiło, zamarło.

Nieco opodał jeden młodzieniec skorzystał z chwili, dobył odartą książkę i czytał — tragedję Słowackiego.

Po chwili milczenia, pierwszy ksiądz z tabakierką przerwał ciszę, podając z uśmiechem sąsiadowi kurzącemu lulkę swoje brzoźowe pudełeczko.

— Naści, Henryczku kochanie, zażyj choć raz, toż przecie mniej śmierdzi i mniej smrodzi od twego tytuniska, a zawsze dystrakcyja w tym samym rodzaju dotycząca powonienia. Życzę ci nawet pozbyć się tego nałogu, prowadzącego do palenia liści kartoflowych za dobrą monetę, zrzyneków starego sukna i różnych różności, sprzedawanych pod pozorem tytoniu... Uważaj tylko, że z przyczyny twej lulki dla całej kompanii naszej zamykają się drzwi wszystkich starowierców...

— A lepsza jegomością tabaka? — odparł młody chłopak, pytając powoli — taki to paskudny i nielitościwy nałóg, jak i mój. — Ja palę liście kartoflowe, jegomość zażywasz popiół i szkło tłuczone, kwita byka za indyka. Co to wam szkodzi, że mi tytuń smrodzi?

— I do rymu! patrzajcie go! — rzekł ksiądz, śmiejąc się szczerze...

— Toć do rymu... ale nielitościwy jesteś dobrodzieju... przecież ten dymek to jakaś ochłoda w biedzie... kurzy się sobie pod nos i za dymem świata nie widać... A przy tem jest jeszcze ta korzyść, że to odbiera apetyt, którego zaspokoić nie można.

— Delikacik... ha! chce ci się ciepłych pasztecików z kociego mięsa!... ha! a razowego chleba spleśniałego nie łaska??

— Gdybyż to świeży, pachnący chlebik razowy... a maselko do niego?

— O! o! i maselko już! i sardelki może! o! o! a poco maselko? — spytał ksiądz — a poco delicje?

I zaczęli się śmiać biedni... łązy im stały w oczach i Warszawa i życie dawne i dni szczęśliwsze.

— Jużbym kwitował z masła — rzekł student — gdyby mi choć but tak szkaradnie nogi nie obrażał... — Nie wiedzieć na co mi Pan Bóg dał tak małą nogę, a szewcy moskiewscy zdaje się, że obuwie robią na wielbłądy... Noga w bucie chodzi i lata za każdym poruszeniem i do krwi mi je rozdzierają ściany tego ruchomego więzienia.

— Widzisz WPan — przerwał mu ksiądz — otóż to tobie być szlachcicem;

gdybyś był prostym plebejuszem jak ja, nie miałbyś takich maleńkich nóżek i byłoby ci tak wygodnie w dużym bucie moskiewskim, jak mnie prostemu chłopu.

— Jegomość wiesz — odparł głos jeden — że szlachtę rząd narodowy skasował.

— Żebyż był i małe nogi szlacheckie, za jednym zamachem także przerobił jakim dekretem! — rozśmiał się księżyna.

— Patrzno jegomość — przerwał student — a ten literat czyta!

— Tak samo kochanku, jak ty fajkę palisz...

— Nie! ja jestem samoistniejszy jegomościuniu, ja dopełniam się dymem, gdy on musi aż dopełniać się duchem... — zawołał student.

— A nasi aniołowie stróże tymczasem dopełniają się wódką! rzekł ksiądz...

W tem zbliżył się do nich starzec, spokojny i pogodnego oblicza.

— Czemu to nie usiądziecie — rzekł księżyna — dobrze wypocząć choć na chwilę, zaraz nas pewnie znów popędzą, niechby się nogi nieco rozkurczyły.

— Nie jestem tak bardzo znużony — odpowiedział stary — powoli wdroyłem się do chodu, zdaje mi się teraz, że gdy staniemy na miejscu, tęskno mi już będzie za tą podróżą wiecznego tułacza. Nałóg druga

natura, ciało nawyka do wszystkiego umysł też ze wszystkiego by powinien umieć korzystać.

— Macie zupełną słuszość — dodał siedzący na trawie bez ręki — jednym z pierwszych przepisów praktyki życia jest umiejętne zastosowywanie się do wszelkiego jarzma, jakie na nas wkłada konieczność — ale są granice tej potulności człowieczej, ciało powinno się zastosowywać, duch trwać niezłamanym...

— Jak na chwilowy odpoczynek przy Krasnym Kabaczkę — odparł stary — zanadto ważny i rozciągliwy podobno rozpoczęliśmy przedmiot, znijdźmy nieco do rzeczywistości... Jak ci jest Juliuszu?

— Znośnie — odpowiedział kaleka — a wam kochany Jeremi?

— Mnie jest prawie wybornie, to wygnanie, podróż piesza, odmłodziły mnie w istocie.

— Czemuż ja tego o sobie powiedzieć nie mogę! — odezwał się niecierpliwie młody chłopak.

— Dlatego panie Władysławie — rzekł Jeremi, obracając się ku niemu — że sam tego nie chcesz... Burzysz się jak istota śmiertelna i niecierpliwa, a — *patiens quia aeternus* wzór nasz, powinien nas uczyć cierpliwości. Ty byś chciał, ażeby spr

wiedliwość przychodziła na zawołanie wedle twoich zachcianek, twojej formułki, do-
raznie, a Pan Bóg mędrszy jest od nas,
prowadzi ją trybem niezmiennym wedle
swojego prawa. Jego woli a raczej temu
prawu jego poddać się jest koniecznością.

— Stare baję! — przerwał Władysław —
widzę, czuję a nie rozumiem toku rzeczy
ludzkich i chwilowego nawet zwycięstwa
zła, klnę więc świat i ludzi...

— Pozwolisz jednak — rzekł Jeremi —
iż bezpiecniej i rozumniej jest uleść prawu
niezlomnemu, które światem rządzi, niżeli
je bezsilnie przeklinać... lub chcieć da-
remnie przerabiać.

— Jakże ta tak święta, tak wielka, tak
czysta sprawa jak nasza mogła upaść, to
do ateuszostwa prowadzi! — krzyknął roz-
drażniony młodzieniec.

— Nie — rzekł Jeremi — to prowadzi
do uznania naszej głupoty, do uznania
niewłaściwości środków, użytych w dobrym
celu, ale po dziecinnemu... Zresztą mylisz
się pan w założeniu, cóż dowodzi, że sprawa
upadła? sprawa żyje a może zwycięża,
gdy ją mają za pogrzebioną... żeśmy
upadli, to nic nie dowodzi, że za nią cier-
pimy, nie przekonywa, iż zwyciężono...
Drogi, któremi Opatrzność prowadzi do
swych celów, są niezbadane...

— A ta głupia i podła Europa! — przerwał Władysław — to świętokradzkie opuszczenie nas! to zaparcie się wspólnego interesu przez egoizm...

— Wszystko to było znać koniecznem, a niezawodnie jest potrzebnem dla samej sprawy, która przejść musi i przez ognie czczych entuzyazmów i przez lody obojętności i znużenia i przez krew i walkę, aby jasną, wielką, niezaprzeczoną stanęła przed światem...

Władysław ruszył ramionami.

— Pojmuję tylko to w ten sposób, że zmuszą nas do przewrócenia świata do góry nogami, do rewolucyi ogólnej, do...

— Czasy rewolucyi orężnych i gwałtownych, kochany panie Władysławie — rzekł spokojny Jeremi — nieodwołalnie przeszły. Rewolucye wypróbowały swą nieużyteczność, ludzkość innemi drogami musi pójść do postępu. Miały one swój urok w początku, potem doświadczenie okazało, że się nie zdały na nic, a wielce szkodliwy wpływ wywierają na ekonomię całej społeczności... Przyszłość pójdzie powolniej ale bezpieczniej, bez tych konwulsyi.

— Nie rozumiem tedy, za co pana Moskale prowadzą z nami — zawołał Władysław — kiedy pan jesteś takim reakcyonistą...

— Dlatego, że Moskale są największymi w świecie rewolucjonistami, nie szanującymi żadnego prawa... ślepy, kto tego nie widzi. — Nie lubią oni wszakże rewolucyi, których sami nie robią i dla tego ciągną W Pana, a nie cierpią tych, co się odwołują do nieśmiertelnych praw, któremi pomiatają, dlatego prowadzą mnie... Dla nich ty panie Władysławie z całą zacnością swoją byłbyś daleko łatwiejszym do nawrócenia odemnie, krańcowe doktryny stykają się z sobą zawsze. Proudhon z dobrą wiarą broni Moskali, ja nie wierzę w rewolucyę, w radykalizm, w gniesienie ludzkości na formę wyznaczoną i dlatego zapewne idę na Sybir. Pan gdybyś się urodził Moskałem, robiłbyś to, co oni robią... ja... wzdychałbym i ubolewał.

Władysław głęboko się zadumał.

— Nigdyśmy się zrozumieć nie mogli — rzekł — to darmo, a jednak idziemy razem...

— W pochód! w pochód! — zaczęli wołać wychodzący z Kabaku tłumnie żołnierze — w pochód!

Ale w tejże chwili oficer ukazał się na progu.

— Zaczekać! — krzyknął — jeszcze nie pora, dosyć czasu...

Soldaci postawili broń i weszli znowu

do sieni, a więźniowie przerwana na chwilę ciągnęli rozmowę, jak gdyby siedzieli w najwygodniejszym salonie.

Wtem tuman pyłu ukazał się zdala na pustym gościńcu, a oczy wszystkich zwróciły się na ten jedyiny przedmiot zajęcia, który był jeszcze zagadką. Z poza chmury pyłu widać tylko było głowy trzech koni, jednego w hołoblach i w duże, dwóch skaczących po bokach. Zbliżając się zaszarzał tarantas kryty, dosyć duży, na którego koźle brodaty jamszczyk siedział, konie poganiając ochoczo. Głowa jakaś wysunęła się z kibitki i głos z wewnątrz rozkazał zatrzymać się przed Kabakiem.

Więźniowie przyglądali się powozowi w milczeniu, gdy z niego wyskoczyła kobieta, zatrzymała się chwilę, oglądając niespokojnie i podbiegłszy do siedzącego na brzegu drogi Juliusza, ze złożonymi rękami padła przed nim na kolana... krzyk dał się słyszeć, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę ciekawie... łkanie i jęk przerywały ciszę.

— Panie mój! panie mój! to ja! to ja! — wołała kobieta...

I mówiąc te słowa, chwyciła, całowała nogi jego.

Juliusz bladej był jak posąg, zdrętwiały, na twarzy walczyły widocznie najsprzeczniej-

sze hamowane uczucia, na ostatek niewiara, chłód, zwątpienie rozprysły się nagle i schylił się ku kobiecie wołając:

— A! ta chwila nagradza wszystko... daruj... przebacz... jestem szczęśliwy! tyś niewinna!

— A! mógłżeś mnie, panie mój, posądzić... mógłżeś...

I głosu jej zabrakło, zakrywszy twarz rękami płakała; ale dłużej mówić żołnierze nie dali, przybycie powozu wywabiło ich z karczemki; grubijańsko, groźno poczęli krzyczeć i łajać kobietę, że się śmiała bez pozwolenia do więźnia przybliżyć.

Rozpoczęło się to od prostych żołnierzy i mniej było dziwnem z ich strony, ale wybiegł za nimi natychmiast oficer jeszcze gorliwszy nad nich, jeszcze bardziej rozjuszony i widząc że Marya nie ustępowała, pochwyił ją dziko, odtrącając za rękę.

— Poszła won! — zawołał, kopiąc nogami...

Kobieta cofnęła się przerażona jego obejściem, szczęściem ten język moskiewski, którym oficer przemówił do niej, umiając doskonale, odtrąciła go jednym wymówionym wyrazem, dowodzącym, że żyła w Rosyi i znała Rosyę...

Spojrzała nań z góry i groźno.

— Jestem kobietą! — zawołała — a wy oficerem!

— To mi wszystko jedno kto wy! — zapalając się, odparł praporszczyk — jestem żołnierzem, dla mnie są tylko rozkazy wyższej władzy...

— A zatem i ten rozkaz zapewne do pana się stosuje... — przerwała Marya wyjmując żywo papier i rozkładając go przed oficerem — więzień ten jest ułaskawionym i już do pana nie należy.

— Przepraszam! — z naigrawaniem i śmiechem rzekł praporszczyk, oddając papier, na który tylko rzucił okiem. — ten rozkaz stosuje się do wyższych władz nie do mnie... Więzień pójdzie pieszo w kajdanach jak szedł, póki go odemnie nie odbiorą i nie pokwitują... a wy... precz! dodał hałaśliwie, precz! lub żołdatom każę was odpędzić!

To mówiąc odwrócił się zajadły i począł wołać na głos:

— W pochód! w pochód!

Maryą stała nieruchoma, mały satrapa, który był obrażony lekceważeniem swej potęgi, tryumfował mogąc się pomścić.

— A! panie — odezwała się kobieta — jestże to godnem oficera i Rosyanina?

— Pani mnie, spodziewam się, uczyć nie będziesz, co i jak mam czynić! — krzyknął

zajadle praporszczyk -- do szeregu! w pochód — a wy! precz stąd! precz!

— Pozwól mi pan choć iść z nim piechotą! — przemówiła ciszej.

— Nie pozwolę — ofuknął oficerzyna — precz! ani słowa! precz zaraz!

Więźniowie i żołnierze nawet niektórzy okazali oburzenie, ale oficer doskonale reprezentował Rosyę i znalazł się jak ona gdy opinia Europy odzywała się za Polską, zajadlej jeszcze trwał w swym barbarzyństwie.

Juliusz słowa nie mówiąc, podniósł kajdany i stanął w szeregu, żegnając Maryę skinieniem i prosząc ją by ustąpiła, ksiądz zażył po dwakroć tabaki, student schował Słowackiego, młodzik fajkę. Jeremi ze spuszczoną, osiwiiałą głową, posłuszny, wystąpił naprzód, Władysław tylko blady jak trup, patrzył na oficera drżący i gdyby nie skute ręce byłby się może rzucił na niegodziwca, który w tej chwili popchnąwszy kobietę, ustawiał żołnierzy i naigrasząc się nieludzko, dawał rozkazy do wymarszu.

— Uczą nas mospaneńku cierpliwości — rzekł ksiądz po cichu — ale ostro! ostro! jeżeli pod takimi nauczycielami tej cnoty nie nabędziemy, to już chyba nigdy!

Juliusz był blady, nie odwrócił jednak

nawet głowy, aby się nie burzyć, patrząc na tę scenę nieludzką.

— Słyszysz — zawołał oficer na jam-szczyka, który powoził w tarantasie Maryi — i pogroził mu pięścią — powinieneś wiedzieć psi-synu, że ci nie wolno jechać ani przed ani za kolumną, albo wprzód i paszół; albo opodal... a nie to cię żołdatom ściągnąć każe i dać naukę...

Płacząca, skamieniała prawie pozostała Marya na gościńcu, ale gniew dodał jej siły, rozkazała wyprzedzić więźniów zaraz, żegnając Juliusza chustką i ręką, sama postanawiając pospieszyć przodem do komendanta miasteczka, aby poskarżyć się na oficera, a nadewszystko, aby Juliusza uwolnić. Partya wlokąca się powoli dopiero na noc miała stanąć w powiatowem mieście.

Przeczuł to wszystko dowodzący partyą oficer, a że wiedział dobrze, iż wszelka krzywda wyrządzona Polakom, ujdzie bezkarnie i pragnął jeszcze znęcać się nad podwładnymi, szczególnie zaś nad tym, którego nazajutrz miano mu odebrać, obmyślił dla niego i dla Maryi jeszcze jedną niespodziankę.

Prawą ręką praporszczyka był podoficer Krawcow, odwołał go zaraz na stronę.

— Słuchaj — rzekł — dostaniesz rubla

na wódkę, tylko mi się pospiesz dobrze, furmankę z bagażami weźmiesz i przodem popędzisz doowska. Masz ty tam kogo znajomego.

— No! wasze błahorodje wie, że ja tu mam wszędzie pełno znajomych, ja tutejszy...

— Tem lepiej, ruszaj zaraz i wczesnie puśćcie tam głos po miasteczku, że idzie za wami partya Polaków, samych najniegodziwszych rozbójników, nieprzyjaciół cara i Rosyi... niechaj wyjdą przeciwko nam... ale nie z chlebem i solą! rozumiesz!

To mówiąc, rozśmiał się zwierzęco.

— Ty wiesz — dodał — jak to nas przyjmowali już nieraz! żeby Polaczki nie myśleli, że się nad ich losem litują i że my ich tu bardzo dobrze pieścić będziemy! a spraw się tylko dobrze... i żeby nikt nie wiedział czyja robota... niech się trochę potrwożą i pokrzyczą... nie damy im głów pozdejmować z karków...

Krawcow mrugnął brwiami, potrząsł głową, ruszył, siadł na furę i pojechał przodem; partya tymczasem wlekła się pieszo powoli.

Marya i ją i posłańca wyprzedziła pocztowymi końmi do miasteczka, kazawszy wprost zajechać do komendanta.

Na nieszczęście podpułkownik Siemigowski, rodem Polak, mimo że się tego wypierał, dowodził w tej pustce odległej,

człek to był małego ducha, obawiający się nadzwyczaj kompromitacyi i utraty miejsca i chleba — gorszy więc jeszcze od najzjadlejszego Moskala.

Przyjął Maryę, dopominającą się sprawiedliwości więcej niż zimno, zakłopotany mocno, spojrział na papier i obiecał więźnia uwolnić, gdy partya nadejdzie, ale dodał zaraz, że co do oficera, ten wcale do niego nie należy i na niego skarżyć się trzeba gdzieindziej, drogami innemi, przeto żadnego zadosyćuczynienia obiecywać nie może.

Nie szło też tak bardzo biednej kobiecie o tę lichą zemstę nad okrutnikiem, wyrzekła się jej z ochotą, pilno tylko było odzyskać Juliusza, otrzymawszy więc obietnicę, pobiegła oczekiwać nań przy drodze.

Zmierzchało a więźniowie jeszcze się nie ukazywali, natomiast ujrzała Marya z podziwieniem pospieszającą tłumnie ku rogatkom ludność, wyraźnie podrażnioną i wzburzoną, z okrzykami groźnemi przeciw Polsce i Polakom...

Nie mogła zrazu pojąć jakaby temu była przyczyna, gdy wtem ukazali się żołdaci, wiodący wygnańców, hałastra zarzła, zaryczała, rzuciła się i zewsząd ozwały się okrzyki.

— Rozbójniki, polskie rozbójniki... nie-

chresty! złodzieje... Dzieci, starzy, kobiety nawet kilku dyaczków i duchownych poczęli chwytać kamienie i błoto, przeklinając, plwając, rzucając się z pięściami i kijami na nieszczęśliwych, jak gdyby rozszarpać ich chcieli. To rozjuszenie tłumu było tak bydlęce i dzikie, że Marya na widok jego i grożącego Juliuszowi niebezpieczeństwa, uląkwszy się o życie biednego, pobiegła na ratunek bezprzytomna, nie myśląc, że pierwsza mogła paść ofiarą zjadłej tłuszczy. Ktoś ją przecie litościwy powstrzymał, a żołnierze nie dopuścili gwałtu nad powierzonymi im skazańcami ścisnąwszy się dokoła; rozstępowali się tylko śmiejąc, aby całe błoto, kamienie, śmiecie i pomyje spadły na tych, dla których były przeznaczone.

Gdy się to rozpoczynało, Jeremi poważnie obrócił się do swoich, wołając:

— Panowie, nie potrzebuję wam przypominać, że męstwem jest najwyższem zachować zimną krew i cierpliwość, zimna krew i wzgarda, jedni tu mogą zwyciężyć, gniew byłby spodleniem...

Ale głos jego natychmiast zagłuszyła wrzawa, a żołnierz z boku doń przyskoczył. uderzając kolbą i zmuszając do milczenia

Niewiadomo, czy skutkiem tych kilku słów czy podniesienia ducha, wszyscy jeńcy zachowali się z męczeńską powagą

i godnością, szli nieporuszeni, milczący, obojętni, widocznie nietknięci tą nikczemnością zgrai, na kogo padło błoto ocierał je powoli, kogo zraniono do krwi, ocierał krew nie szukając winowajcy...

Postawa ich mężna i ta obojętność, która nie zdradzała najmniejszego strachu, w końcu opamiętały, zawstydzili z tłumu niektórych a najbardziej otrzeźwionego oficera, w którym ozwało się jakieś uczciwsze uczucie. Uśmiech, w którym z początku powitał tę demonstrację, zmienił się w dziwne skrzywienie, nagle rozkazał żołnierzom ścisnąć szereg i przyspieszyć kroku do ostrogu. Tłuszcza goniła wszakże za uchodzącymi wrzeszcząc i niekiedy rzucając na wygnańców...

— Panowie a bracia — zawołał ksiądz — ponieważ nas tu nie urzędownie przyjmują i zanoszą się na ukamienowanie, a gdybyśmy im zaśpiewali spokojnie... Boże coś Polskę? he?

Pieśni były jak najsurowiej zakazane, ale gdy w tej chwili zamięszania i popłochu, ksiądz pierwszy basem rozpoczął, a chór cały odpowiedział mu męskimi głosy... uczyniło to takie wrażenie na tłumie, na żołnierzach, na przytomnych, że nikt nawet nie śmiał się przeciwieć męczeńskimi hymnowi...

Towarzyszył on już niejednemu krwawemu w dziejach lat ostatnich wypadkowi; śpiewano go przy wystrzałach kwietniowych na placu przed zamkiem i w kościele św. Jana, gdy żołdactwo wparło się gwałtem aż do ołtarza poświęconego Bogu.

Teraz aż do drzwi turmy podnosząc się na duchu, doszli nucąc pieśń 1863 roku więźniowie, a osłupiała tłuszcza pozostała na placu jakby wstydząc się swego rozbestwienia...

Maryę na poły omdlałą zaniecono do gospody, w której nierychło odzyskała przytomność.

Gdy tu po długim obezwładnieniu odzyskała zmysły, potrzebowała wiele spokoju i ciszy, aby powrócić do pierwszego stanu i pochwycić wątek rozerwanych myśli, przypomnieć wypadki ostatnie i dopytać co się z Juliuszem stało. Nikt jej o nim powiedzieć nie nie umiał, szukała go na próżno oczyma dokoła, nareszcie porwała się, aby biedz za nim i odzyskać.. gdy wtem uchyliły się drzwi i jedna w świetle postać ludzka, która na niej najprzykrzejsze mogła uczynić wrażenie, praporszczyk od straży, który z nią i Juliuszem obszedł się tak dziko i barbarzyńsko, ukazał się w progu.

Ale tym razem był to wcale inny człowiek, prawie zawstydzony i upokorzony, Marya nie dostrzegłszy tego wyrazu na jego twarzy, krzyknęła z przestachu. Na widok obawy jaką wzbudził, oficer się zarumienił, zdawał się wahać co czynić, gdy Marya dała mu znak, że mówić z nim nie chce i widzieć nie może.

Pomimo to oficer stał uparcie w progu.

— Wybacz pani — rzekł — winien jestem, ale muszę też kilka słów powiedzieć i wy musicie mnie posłuchać...

— Przez litość, uspokójdźcie się — przerwał młody człowiek — nie myślę czynić wam przykrości żadnej.

— Potem co się stało...

— Tak, potem co się stało, chcę żebyście mnie za zwierzę nie mieli — rzekł gorąco — winien jestem, no! szaleństwo! Ja to sam uwysłnie przez gniew i złość narobiłem i tej ostatniej biedy, ale człowiek człowiekiem i na to, żeby głupstwo czynił i żeby poznał, że nie dobrze zrobił. Nie powiem wam mojego nazwiska, to rzecz obojętna, ale wypowiadam wam, jak we mnie zrodziła się ta niechęć przeciwko wszystkiemu co polskie... Słuchajcie. Kiedy rewolucya wasza wybuchła i mój pułk został przeznaczonym do Polski na uśmierzanie buntu, szliśmy tam wcale inaczej usposobieni, niżeli dziś jesteśmy, z politowaniem dla was, ze współczuciem. Nie myśleliśmy cara zdradzić dla głupiej Polski, aleśmy was żalowali i nie tak ciężko dałaby się czuć ręka nasza, gdybyście wy sami nie rozjątrzyli nas i nie rozbudzili nienawiści... Zaczęliście od oplwania całego narodu, od obelg miotanych przeciwko nam, powtarzano je, tłumaczono, obijały się nam

o uszy co chwila, w ostatku złość w nas zrodziłaście i oto macie jej owoce...

— Ale godziło się mścić za to na kobiecie, na kalece nieszczęśliwym? — szepnęła cicho kobieta...

— Nie! nie godziło się — dodał oficer — było niegodnem com ja zrobił i drudzy, ale i w nas krew kipi i myśmy ludzie nie bydłeta; i my gniewem się unieśli... powiedźcież to braciom waszym, że nienawiść narodu ruskiego oni też sami rozżarzyli, bo jej nie było, że ona jest ich własnem dziełem... ale na nią jest lekarstwo... Ja wczoraj zawstydzony zostałem. Oto com wam miał powiedzieć — dodał — a teraz wychodzę, bywajcie zdrowi i szczęśliwi piękna pani, pospieszę aby waszego... uwolnili. To wyrzekłszy ukłonił się, zamknął drzwi za sobą i wyszedł.

Dla uwolnienia Juliusza i zmiany jego terażniejszego stanu skazanego do katorgi na przeznaczonego na proste wygnanie w głąb Rosyi, potrzeba było dopełnienia licznych formalności, które się jeszcze przez cały ten dzień przeciągnęły. Marya także odzyskawszy cokolwiek sił, poszła się domagać uwolnienia, ale komendant, jakeśmy mówili, był Polakiem, lękał się cienia posądzenia o współczucie dla jednego ze swych ziomeków i z tego powodu musiano

jak najskrupulatniej dopełnić wszystkich form wymaganych. Nazajutrz dopiero około jedenastej Juliusz pożegnał swych towarzyszków, zawahawszy się na chwilę, czy godzi mu się z wyjątkowej łaski korzystać. Ale na pierwszą rzuconą wątpliwość wszyscy jednogłośnie zakrzyknęli, nie dopuszczając nawet myśli tej nieużytecznej ofiary.

— Jakkolwiek, byle uczciwie, uda się któremu z nas ulżyć swojemu losowi — zawołał Jeremi — należy się ratować. Ocalając jednostki, ratujemy kraj, dla którego stać się mogą użytecznymi w nieprzewidziany sposób. W każdym z nas żyje jakiś atom tradycyi, jakaś cząsteczka narodowego bytu... Cóż nam lub sprawie przyjdzie z tego, że więcej jednym będzie męczennikiem i ofiarą? Trzeba umieć cierpieć, gdy koniecznością jest cierpienie, ale się samobójstwa nie dopuszczać, bo ono zawsze występkiem.

Juliusz spuścił głowę, smutno mu było samemu jednemu, wyłączonemu, jakby męczeństwa nie był godzien, opuszczać towarzyszków niedoli. — Wszyscy byli smutni i po cichu płakali, gdy się żegnać przyszło, jeden ksiądz, choć mu się łza kręciła w oku, śmiał się zapewne, aby zbytniego rozczulenia nie dopuścić.

Uściskał i pobłogosławił Juliusza, a po cichu rzekł mu na ucho.

— Mój dobrodzieju... z przeproszeniem... któż cię to wybawił? czy to jaka krewna? czy... wszak jegomość żonaty nie jesteś?

— Nie pytaj się mój ojczy...

— A! to źle! to źle! może, uchowaj Boże... zamężna!

— Nie.

— A no! to jeszcze nic... spodziewam się mój panie, że teraz się z nią ożenisz...

— Niestety! nie wiem czy to będzie podobnem.

— Cóż, czy wiara stoi na przeszkodzie?

— Ale nie?

— Więc cóż? mówcie szczerze...

— A! jej przeszłość! westchnął Juliusz...

Ksiądz pokiwał głową.

— Mój dobrodzieju, byle była skrucha za grzechy, żal szczery i serdeczny, a któż z nas całkiem czysty przed Bogiem! Mówię ci to kochanku, im prędzej unikniesz zgorszenia tem lepiej.

— Macie zupełną słuszność — rzekł Juliusz... — radzicie pocziwie...

— Niechże Bóg błogosławi — dodał po cichu księżyna, ściskając go za rękę wesoło... — bądź co bądź ona także WMość kocha... bo się umiała poświęcić, a miłość oczyszcza i obmywa.

Wszyscy cisnęli się, aby choć słowo przemówić do tego, na którego wśród ogólnej niedoli wionęło trochę szczęścia, wszystkim im zdało się, jakby także jakąś kropelkę jego dla siebie otrzymali; lżej poszli na dalsze wygnanie... mniej jednym na łańcuchu!

Oficer, który wczoraj sobie tak niegodziwie postąpił, dziś był surowym, ale chłodnym, roztargnionym nieco, ale namyślnie, aby wielu złamanych przepisów nie dopatrzeć. — Wczorajsza zimna krew i powaga z jaką więźniowie przyjęli w milczeniu wyrządzone im obelgi, widocznie nań wpłynęła, nie zmienił względem nich ścisłej karności, ale zaprzestał namiętnego okrucieństwa, poszanował boleść wytrwaną mężnie i godnie.

Juliusz pod strażą jednego tylko policyanta przeszedł do gospody, w której progu czekała nań, słowa wyrzec nie mogąc ze wzruszenia, jego wybawicielka.

Spojrzenie na biednego wygnańca odkrywało tak jawne ślady tego co przecierpiał, iż z niej za każdym rzutem oka nowe wydobywało jęki. Juliusz w istocie był straszliwie zmienionym, kilkumiesięczne więzienie, wewnętrzne walki, katownie moralne, choroba, kalectwo, cytadela, podróż piesza, zestarzały go o lat kilkanaście, znę-

kały i przygniotły, ale nie złamały ducha. Znać w nim było uspokojenie wewnętrzne i rezygnację niewyczerpaną, prawie graniczącą z odrętwieniem.

Z początku powitanie było łzami i milczeniem, nierychło obojgu rozwiązały się usta, a jej nieśmiało z wahaniem przyszło się spowiadać ze wszystkiego. Musiała wszakże tłumaczyć się, aby uniknąć nowych posądzeń o środki, jakimi cudowną prawie ulgę dlań wyjednała.

Poczęła tę spowiedź swoją ze szczerością zupełną, tak, aby w umyśle jego najmniejszej nie zostawić wątpliwości, odmalowała mu uczucia, myśli, kroki poczynione, ludzi którzy jej dopomagali i choć obawiała się chwalić ze swem poświęceniem, wypowiedziała wszystko, aby jasno czytał w jej duszy.

Przyklękła przed nim w ostatku.

— Panie mój — rzekła pełna wzruszenia — tyś taki wielki, a jam tak w oczach własnych nikczemna, tak ciebie niegodna, że nie chcę, abyś nawet pomyślał, iż ci się narzucam z moją ofiarą i miłością natrętną. Przybyłam aż tu, aby ci przynieść jeśli nie swobodę to ulgę w niewoli, ale nie chciała i nie chcę być kulą przykutą do nóg twoich. Tyś swobodniejszy... wypędzisz mnie gdy zechcesz, odegnaj...

pójdę, nie nie chcę tylko odejść czystą, usprawiedliwioną w twych oczach... postanowienie moje jest niezmiennem, odprowadzę cię do miejsca twojego wygnania, a potem... do matki powrócę. Wdzieję ubogie suknie mojego stanu i będę pracować, a pracując myśleć o tobie i błogosławić cię!... Nie jestem godną cię — ale chciała tej jedynej w życiu pociechy, aby odejść zostawiając po sobie wspomnienie czyste... abyś mógł myśląc o Maryi nie wstydzić się, że ją kochałeś. — Twoja miłość uczyniła mnie istotą nową, odrodziła i podniosła; powinieneś mieć tę pociechę, że nie chwilową przemianę, ale trwałę sprawiłeś przeistoczenie... Tam została stara matka, brat, rodzina uboga, krewni, powrócę do nich, podzielę ich los... będę myśleć o tobie i żyć zaczerpniętem z tych kilku chwil złotych życiem...

Juliusz nie mógł ust otworzyć, całował ją po rękach i łzy kręciły mu się pod powieką.

— Nie — odezwał się wreszcie — oprócz ciebie nie mam na świecie nikogo, pozostaniesz ze mną i podzielim życia resztę z sobą... nie jako kochanka, zostaniesz ze mną jako żona. Ja także wiem co ci winienem, nie spełniam obowiązku zimnego, nie płacę

długu, skrzywdziłbym tem nas oboje, uczynię to tylko, czego się serce moje domaga...

— Nie! nie! — odparła Marya — do Wołogdy jedziemy razem Juliuszu drogi, tam, gdy cię umieszczę, gdy się zapewnię, że ci będzie dobrze... znośnie przynajmniej, przynajmniej spokojnie, zapłacę i powrócę — nie krzywdź mnie zapłatą... dałbyś mi więcej, niżelim zasłużyła, a ja chcę, ażebyś mi został dłużnym... w twem przekonaniu, gdy, niestety! w mojem, ja ci wszystko jestem winna! Imię twoje nie przylgnie do skalanego czoła, do istoty, którąbyś miał prawo choć chwilowo, wspomniawszy na jej przeszłość, pogardzić... Ale dość tego na dziś, mówmy o czem innym... tyle do mówienia mamy!

Rozmowa choć zwrócona ku innym przedmiotom, powracała mimo woli do wyznań, wynurzeń i domysłów przyszłości. Cały też dzień zszedł na niej, a że kilka dni pozwolono odpocząć wygnańcowi nim się w dalszą uda drogę, poświęcili je wspólnym ubolewaniom nad straszliwą terażniejszością.

Wszelkie przeczucia i domysły przechodziło to, na co patrzeli.

Mógłże kto przypuścić kiedy, abyśmy my dla Rosyi i dla świata, nie już Polakami, ale ludźmi nawet być przestali,

abyśmy zostali wyjęci z ogólnych praw ludzkości, zapewniających własność, mowę, wiarę, obyczaj? aby wygnańcy z własnej ojczyzny nie znaleźli przytułku i gościnności nigdzie na świecie, nawet tam, gdzie ich nie odmawiają wszystkim wydziedziczonym i osieroconym?

Okrucieństwo podżeganego przez dziennikarzy narodu prostego i niewykształconego, mniej dziwić może jeszcze, niżeli systematyczne posługiwanie się niem rządu, którego cynizm przeraża... Jak sądzić wiek i kraj, w których się rzeczy takie bezkarnie dziać mogą?

Juliusz zapominał czasem upojony szczęściem krótkim o niewyczerpanej boleści narodu, której część na niego spadała, ale wracało jej wspomnienie rychło, mimo starań Maryi, usiłującej go rozerwać i pocieszyć — oboje płakali razem... chcąc i nie umiejąc przez gęste chmury dojrzeć światełka nadziei. — Nazajutrz dostrzegł raz pierwszy biedny wygnaniec na twarzy swej towarzyszki ślady długiego trudu, niepokoju, tęsknot i łez... Zmienionym on wydał się Maryi, ale i Marya straszliwie przeboleła niepokoje, których piętno wryło się na jej czole, w jej oczach, spieczonych wargach i rozplómieniem wejrzaniu. Najmniejsze wzruszenie nabawiało

ją przykrym kaszlem, a kaszel wywoływał krew na wargi, z którą się ukrywała przed Juliuszem. Była jednak wesołą i udawała zdrową... Odkrycie to przeraziło Juliusza i przyspieszyło podróż do Wołogdy, gdyż nie pokazując po sobie trwogi, pragnął co rychlej dowieść ją do miejsca, gdzieby spoczynek i lekarz mogli jej siły stracone przywrócić. — Wyjechali więc prędzej, niż sądzili z razu i mimo powolnej a dosyć stosunkowo wygodnej podróży do miejsca, Marya przybyła tu osłabiona, upadająca. Nie chcąc pokazać po sobie że cierpi, kryjąc się z chorobą, umyślnie często dla przekonania o zdrowiu zbytecznie się narażając, szkodziła sobie jeszcze. Zdawało się, że wcale nie dba o jutro i żyje tylko dniem dzisiejszym, ostatki sił dobywała, aby nie zdradzić wycieńczenia i cierpienia... Trzeba było troskliwości Juliusza, aby odkryć tę boleść tak zapobiegliwie tajoną i nie okazując trwogi, starać się coś na to poradzić.

Juliuszowi wprawdzie Wołogda naznaczoną została na miejsce pobytu; na czas nieokreślony, ale jak wszystkich tak jego poddano rozporządzeniu władz miejscowych, które wyrokowały o pozostaniu w mieście lub zamieszkaniu w gubernii.

Zależało to od kaprysu, fantazyi, łaski gubernatora i jego kancelaryi.

Juliusz zarówno i Marya pragnęli pozostać w samym mieście, gdzie już była kupka Polaków, lekarz i łatwiejsze życia wygody; Marya miała nawet listy polecające i zaraz nazajutrz wymknęła się z nimi, prawie pewna, że łaskę o którą im tyle szło, wyrobić potrafi.

Urzędnik wysoki, któremu została poleconą, zrazu nawet jej przyjąć nie chciał, posłała list i ten jej drzwi otworzył narzeczcie; ale spojrzawszy na chmurną twarz wszechwładcy, czuła jak ją chłód i zwątpienie objęły. Człowiek to był widocznie zrosły od dzieciństwa w papierach urzędowych, zaschły w nich i bez kropli uczucia, oblicze żółte, zmęczone i niedozwalające się spodziewać nawet udanej względności.

Zastała prewoschodytelstwo nad stołem i listem petersburskim, skłonił jej zaledwie głową, siedzieć nawet nie prosząc.

— Mikołaj Andrejewicz pisze mi — rzekł — polecając was mojej opiece... Czy jesteście tu zesłani? nie miałem jeszcze raportu... nie wiem o was.

Począł szukać w papierach...

— Ja przybyłam tu dobrowolnie — odpowiedziała Marya — towarzysząc zesła-

nemu na mieszkanie krewnemu, za którym was mam prosić.

— Jak się zowie? jak się zowie? — zapytał żywo urzędnik.

Marya z przestraczem powiedziała imię, twarz wszechwładcy zachmurzyła się nieco.

— Wiem, wiem — rzekł — jest już tu o nim wiadomość... ale dlaczego sam dotąd nie przyszedł się przedstawić?

— Tylko cośmy przyjechali, leży chory!

— Chory? — spytał urzędnik... — wszyscy chorzy, gdy im potrzeba się stawić przed władzą... Czegoż chcecie? jakiej opieki? Rząd opiekuje się dosyć tymi tuźmi, więcej niż warci... A tyle z nimi kłopotu...

— Prosiłabym z powodu jego choroby, abyś pan był łaskaw zostawić nas tu w mieście...

— To być nie może — przerwał prędko urzędnik — jemu naznaczono już mieszkanie w miasteczku ...orach..., tu jest aż nadto wygnańców... mówię wam, bardzo mi żal, ale to być nie może...

— Ale panie...

— Ale moja pani, mówiłem raz, że to być nie może; ja spełniam co mi polecają, łask robić nie mogę... i nie chcę... Jestem człowiekiem, mam ludzkie uczucie, wszakże pięści tych, co powinni cierpieć nie widzę potrzeby... Będzie wam tak dobrze w ...orac'

jak i tu, jest doktor, chleba dostać można... wody dosyć... z głodu nie umrzecie.

— Ale on jest chory...

— A cóż mi do tego? nie mam obowiązku w to wglądać... chory, to wyzdrowieje...

Maryi lzy puściły się z oczów, sił zabrakło, wszechwładca spojrział na nią i ruszył ramionami.

— Wy, jeśli się wam podoba, możecie zostać w Wołogdzie, ale on pojedzie...

— Mam nadzieję...

— Nie miejcie nadziei, nie robię wam żadnej... Jest ich tu już aż nadto... będą się schodzić i spiskować, dosyć kłopotu i z tymi.

Marya zamilkła; urzędnik zanurzył się w papierach i pożegnał ją skinieniem głowy.

Nie odchodziła wszakże — blady starzec podniósł po chwili głowę i widząc ją stojącą uparcie, spytał:

— Czy żądacie więcej?

— Nic więcej, tylko tej jednej łaski, abyśmy przynajmniej, dopóki on sił nie nabierze, mogli tu pozostać. Postarałabym się może o pozwolenie z Petersburga...

Urzędnik się uśmiechał szydersko, machając ręką.

— Chociażbyście mieli to pozwolenie, ja

nie pozwolę — rzekł. Jest ich tu dosyć, jest aż nadto. Dlaczegoż znowu mamy się rozpalać nad losem tych, którzy przewinili najsrożej buntem przeciwko prawej władzy? dlaczego mielibyśmy my pieścić ich i troskliwie oszczędzać, gdy zasłużyli na daleko cięższe ukaranie?... Proszę was, dajcie mi z tem pokój.

— Ależ i winowajcy są ludźmi... — odezwała się Marya — a uczucie miłosierdzia chrześcijańskiego...

— Nic mnie nie nauczycie — odparł szorstko urzędnik — wiercie mi, to czas stracony, daję wam parę dni na spoczynek... ale rozporządzenia nie odwołam...

Marya postąpiła chwilę w milczeniu, ale widząc, że próżnoby chciała tę istotę bezduszną poruszyć, wyszła zapłakawszy. Juliusz był tak oburzony, że nawet tych dwóch dni spoczynku nie przyjął, bądź co bądź postanowił ruszyć na miejsce przeznaczenia.

Małe powiatowe miasteczka w głębi Rosyi, położone opodal od wielkich traktów i pozbawione życia i spółki ze światem, są zwykle pustką, o jakiej europejski mieszkaniec pojęcia mieć nie może. W wielu z nich możnaby się sądzić w XVI lub XVII wieku, tak wszystko zostało nieporuszonem i żaden promyk cywilizacyi nie doleciał tam jeszcze. Odszczepione od ogólnego żywota, zasklepione w sobie te miłośnicy, wegetują zdane na łaskę i niełaskę urzędników, zarządzających w nich prawie despotycznie i nie dopuszczających nad sobą żadnej kontroli, którą odległość od większych ognisk i mała ważność tych kątów zapadłych utrudnia.

Życie snuje się tu po staremu, to jest w patryarchalnym despotyzmie i samowoli, garstka ludzi wypotrzebowywana przez kilku stęka, boleje, męczy się, ale chodzi posłusznie w kajdanach, których zrzucić nie może, każde usiłowania stargania ich jeszcze je ciaśniej zakuwa.

Do takich odosobnionych kątów należało

miasteczko... do którego Juliusz i Marya przybyli na wygnanie. Przed niemi już trzech Polaków zesłano w to miejsce wprzód, ale nie wielką być oni mogli dla nich pociechą. Jeden był umierającym starcem, który z łoża już nie wstawał, drugi na pół obłąkanym po stratach co go dotknęły, trzeci zubożniałym na wszystko i odludkiem. Obłąkany był ze trzech najzwawszym i najszcześniejszym, ale rzadko miał godziny przytomności, plątało mu się dziwnie w głowie i boleśnie nań było patrzeć, choć on sam prawie ciągle się uśmiechał, a jak wszyscy oszaleni, prawil, gadał lub mruzczał nieustannie. — Niekiedy jednak wracała pamięć, z nią lzy, a po nich szal i wesołość przerażająca...

Na towarzystwo miejscowe niewiele rachować było można. Mieścina licha była i mała, oprócz urzędników i kilku zamożniejszych kupców, nie mieszkał w niej nikt prawie, tylko ubogie rodziny ludność składające, a obyczajami należące do innego wieku i świata nie naszego. Trudno przyszło nawet znaleźć jakie takie mieszkanie, bo wszyscy wzdragali się na imię Polaków, na równi ich mając z nieczystymi zwierzęty i pogany.

Kupiec Jakowlew, który bywał w Moskwie i Niższym Nowogrodzie, a przeto

ocierał się już o różnych ludzi, zgodził się jakoś dać im mieszkanie w oficynie swego domu. Był to młody, żywy, roztropny człowiek, ale tak Moskał całą duszą, obyczajem i głową jak wszyscy. Uchodził on w miasteczku za bogacza i miał prawie wyłączny monopol wykwintniejszego nieco towaru, który sam tylko dla błahorodnego towarzystwa sprowadzał.

Hierarchia urzędnicza składała się jak wszędzie ze sprawnika, horodniczego, kanzaczeja, sędziego i pomniejszej gawiedzi kancelaryjnej. Sprawnik, odstawny kapitan od piechoty, z żołnierskich dzieci, obarczony był liczną rodziną i wiódł życie wygodne, szanując miejsce, które mu je dawało. Dom jego był w mieście najprzedniejszym, a Agafia Iwanówna, żona jego, najpoważniejszą matroną w powiecie. Sześć córek i czterech synów, rozproszonych szczęściem po świecie, składali rodzinę, do której należał także ubogi, na łasce żyjący, odarty, rozpity, niegdyś odsądzony od miejsca i praw stanu, brat samej pani Nikita Gregorowicz Pułow. Sprawnik nie wiele się mieszał do rządu powiatu, którym w istocie władała jego żona, sekretarz, którego ona protegowała i pełnomocnik jej Pułow.

Ponieważ brat sprawnika, także dziecko

żołnierskie, dosłużył się był w Petersburgu wyższej rangi i przez niego miał jakąś protekcję stary Zyżyn, miał więc i pewną siłę, która go podtrzymywała, mimo niezadowolnienia powszechnego, gdyż urzędu swego używał więcej na rzecz swoją, niż cara jegomości. Wogóle w Rosyi pojęcia obowiązków publicznych są dziwnie wykrzywione, widzą w nich sposób do życia tylko, do z bogacenia się, a nie posługę społeczeństwu. Zyżyn też wcale nie myślał o tem jak zarządza powiatem, ale tylko co mu to przynieść może, a mimo zdzierstwa nielitościwego, żona jeszcze wymawiała mu nieustannie, że sobie w niczem rady dać nie umie i że gdyby nie ona, nie mieliby chleba kawałka. Pasyą Zyżyna była gra... otoczony podwładnymi grał obyczajem satrapów, każąc sobie płacić gdy wygrywał, nie uiszczając się nigdy z przegranych. Czyniło to grę i bezpieczną i dosyć zyskową, a uniknąć jej z nim nie było podobna, bo mścił się niełaską na upartych.

Horodniczy Sawelin, nie żonaty, kobieciarz, hulaka, otyły burłak, był Don Żuanem miasteczka i przyjacielem domu Zyżyna, w którego żeńskiej połowie od dawna chciano mu narzucić żonę. Tymczasem jednak mimo poufałych stosunków o mał-

żeństwie nie było mowy, choć dwie panny Zyżynówny zdawały się równie pewne, że go śmiertelnie rozkochały. Jedna z nich nawet często do niego chodziła w odwiedziny, pod rozmaitemi pozory... Kaznaczej ślepy na jedno oko, ale bardzo bystry człowiek, który powiadał, że umie po francusku i niekiedy wyrывał się z parą wyrazami niezrozumiałymi, uchodzącymi za francuszczyznę, stanowił tu trzecią matadorę. Miano go za dowcipnego i głębokiego polityka, trzymał »Moskiewskie Wiadomości« i »Inwalida«. Sędzia, Niemiec pochodzeniem, ale wychowaniem i naturą Moskal, był dosyć ograniczoną istotą, której głuchota nie dozwalała nazbyt wielkiej grać roli w towarzystwie; on, jego żona i jedyna córka byli nadzwyczaj skąpi, a że sprawnik i horodniczy żyć lubili, nieustannie się z ich oszczędności naśmiewano. Kaznaczej dowcipował z Niemca co wlażło. Córka wszakże miała wielu wielbicieli, nie z powodu wdzięków, ale dla reputacji ojcowskiej szkatułki. Agafia Iwanówna obawiała się bardzo, aby płochy horodniczy nie dał się jej usidlić i średniej jej córki, której prawie przyrzekł ożenienie, nie porzucił dla bladej i chudej Niemki.

Tam gdzie wyższą warstwę towarzystwa składały podobne opisanym istoty, łatwo

sobie wyobrazić, jakie było tło, na którym ona spoczywała. Ludność miejska była tam ideałem masy stworzonej dla despotycznych rządów, w której jest właśnie tyle cech ludzkich, aby usprawiedliwiała zapisanie do skazek (spisu ludności). Od wieków ani na jeden włos nie się tu nie zmieniło, nie nie wyrósł, ludzie rodzili się, żyli i marli w prawosławnej wierze swych ojców i prawosławnej ciemnocie a posłuszeństwie i przekonaniu, że inaczej jak jest być nie może. Reszta Bożego świata wydawała im się poczwarną, zaprzędaną szatanowi i przeznaczoną na wiekiistą zagubę.

Oprócz dwóch gazet moskiewskich, utrzymywanych przez kaznaczeja, więcej tu żadne pisma nie dochodziły. »Gubernialne Wiadomości« wydawane czasem w Wołogdzie, utrzymywał sąd, a nieurzędowa ich część służyła kancelistom do zawijania tytoniu i oprawy świec. Parę odartych księżyczyn krążyło wprawdzie po miasteczku od lat kilku, ale nie wiele osób czuło potrzebę zaglądania do nich. Kobietom czas schodził na krzątaniu się około domu, gawędkach o kawalerach i jedzeniu orzechów lub ziarenek kawonów, konfitur suchych i jagód. Oprócz tych co byli do ciężkiej pracy zmuszeni, nikt nie nie robił,

próżnowanie królowało wszędzie, wydając się najwyższem dobrem. Rodziło ono rozmarzenie dziwne, zepsucie dziwaczne, bo prawie beznamietne i jakąś tęsknicę nieuleczoną.

Przybycie Juliusza i Maryi na chwilę naturalnie zajęło całe miasteczko, ale gdy sprawnik przekonał się, że oboje byli chorzy, gdy horodniczy zobaczył, że Marya nie kwalifikowała się do jego doraźnych romansów, kaznaczej doszedł, że się tam z francuszczyzną popisywać nie będzie mógł, dano im pokój. Zostali więc osamotnieni, a z trzech ziomków, których tu zastali, jeden do nich przyjść nie mógł, drugi nie chciał, zjawił się tylko nazajutrz obłąkany.

Był to mężczyzna mogący mieć lat czterdzieści, człowiek niegdyś majątny, rodem z Warszawy, właściciel znacznej fabryki, którego zrabowano przy jakiejś pomście za popełnione w ulicy zabójstwo; żona mu młoda zmarła z przestrawu po tym gwałcie, a jedyne dziecko zginęło z rąk zadanych przez Moskali... Stary ojciec wkrótce też życia dokonał... Blum (tak się nazywał) dostawszy lekkiego pomieszania po tych bolesnych ciosach, upominał się o sprawiedliwość u rządu za rabunek i zabójstwo w jego domu spełnione, to

spowodowało, że go w głąb Rosyi zesłano. Nagła zmiana losu, zubożenie, sieroctwo i to uczucie ucisku, oburzające uczciwego człowieka, zachwiały rozumem Bluma do reszty... Wywożono go już z Warszawy śpiewającego i płaczącego na przemiany, ale stan ten nie zmienił jego losu, rząd uznał, że należało sprzątnąć z przed oczów ofiarę, aby nie świadczyła o jego gwałtach i ucisku. Wysłano Bluma do Wołogdy, a tu z każdym dniem obłąkanie się jego zwiększało. Nie było ono niebezpiecznem, w chwilach pewnych oprzytomniawszy, milczący był, smutny i spłakany, zwyczajnie zaś wielomowny, ożywiony, wesół, naprzykrzony, bo potrzebował koniecznie towarzystwa ludzi. Samotność otaczała go widmami niepokojącemi.

Nazajutrz po przybyciu Juliusza i Maryi i zamieszkaniu ich w domu kupca Jakowlewa, po wszystkich urzędowych odwiedzinach, ku wieczorowi Blum się zjawił wystrojony o ile mógł, w rodzaju czamarki, którą sam z surduta przerobił, w czapce czworograniastej i z lornetką bez szkiełka w oku. Słodki uśmiech krążył po białych jego ustach.

Zaprezentowawszy się przyzwoicie, usiadł na podanem krześle... Juliusz już z opowiadań sprawnika wiedział o nim i do-

myślił się z kim miał do czynienia; Marya przyjęła go ze współczuciem i obawą.

— Pozwolą się państwo spytać — rzekł po chwili — z którego przybywacie świata?

— Jak to pan rozumie? — szepnął Juliusz.

— To jest czy z nieba, czy z piekła, czy z ziemi?

— Jedziemy z Polski...

— No, to wszystko jedno czy z piekła, bo tam teraz szatani panują — rzekł Blum — ale po drodze nie widzieliście się z kim ze znajomych?

— Z nikim — rzekł Juliusz.

— Tu dużo osób bywa wieczorami — dodał obłąkany — przychodzą i z nieba... moja żona z synkiem... ojciec, niektórzy z powieszonych także, bywają i dyabli, nareszcie tutejsze towarzystwo miejscowe... a państwo — rzekł ciszej po chwili — jeśli wolno spytać, żywi czy umarli?

— Jeszcześmy żywi — rzekł wzdychając Juliusz.

— Ja także zdaje mi się, że jestem żywy — dodał Blum — ale radbym co najprędzej tę głupią komedię skończyć, bo umarli są swobodniejsi... naprzód, że wolno im bez paszportów jeździć, kontrybucyi nie płacą i już ich ani wieszają, ani rozstrzeliwają.

Mówił to wszystko z największą seryą i na pozór przytomny.

— Cóż w Warszawie — spytał po chwili — czy Turków niema jeszcze?

— Nie słyszeliśmy...

— Bo mają przyjść niezawodnie, ale tylko ci, którzy od stu lat pomarli, ma być z nich wysztyftowana armia doskonała i ta przyjdzie pewno w pomoc. Ale że się to te nieboszczyki rozpierchły, wiadoma rzecz, człowiek jak się wyrwie z ciała leci lichu wie dokąd, więc choć archaniołom kazano na nich na cztery rogi świata zatrąbić, jeszcze się te ciury widać nie zwlokły. Krażą także pogłoski, że Aleksander W. Macedoński, którego cesarz austriacki mianował feldmarszałkiem swoim, ma tą armią dowodzić, księżę Józef i Kościuszko sprawią przy nim szarże adjutantów... panna Plater i Tomaszewska dodane mu są dla towarzystwa i konwersacyi... Nic państwo o tem nie słyszeli?

— Nic a nic... — rzekł Juliusz z westchnieniem.

— Mnie o tem pod sekretem mówił nieboszczyk ojciec, ale proszę państwa nie rozgadujcie, sprawnik jest szpieg, horodniczy szpieg, nawet panna Natalia, córka sprawnika, należy do tajnej policyi i chodzi wieczorami zdawać raporta horodniczemu...

Na tem chwilowo przerwała się rozmowa... Blum uśmiechał się przyjemnie i poprawiał czamarękę.

— Proszę państwa, a gdyście wyjeżdżali z Warszawy, czy wiele stało szubienic po kościołach?

— Jakto po kościołach? — spytała Marya.

— A bo podobno Moskale mają teraz zwyczaj wieszac w katolickich kościołach, naprzeciw wielkich ołtarzy, w czasie sumy w niedzielę...

— O tem nie słyżełiśmy.

— Może też to i bajka, tyle krąży plotek — rzekł Blum — to pewna jednak — dodał — że w Saskim ogrodzie codzień żołdaci strzelają do celu... a celem są dzieci, które na to wypędzają z domów umyślnie. Nabili ich już dużo i solone posyłają do Petersburga na stół N. Pana... potrawa delikatna... Zjedli tak mojego Stasiuszka biednego, ale to nic, widzialem go wczoraj ze skrzydełkami różowemi, lata jak motylek...

Obląkany mówił szybko, z uśmiechem, a Maryi łzy ciekły z oczów... wesołość jego straszniej była przejmującą od największej rozpacz. Juliusz napróżno usiłował sprowadzić go do przytomności, kierując rozmowę na przedmioty mniej drażliwe życia powszedniego, Blum wylatywał zaraz

na te przestworza, w których wyobraźnia jego swobodniej bujać mogła.

Nareszcie po nużącej godzinnej blisko rozmowie, którą on sam podsycił i utrzymywał zawsze w jednym tonie, wyszedł ofiarując nowo przybyłym swoje usługi i obiecując im sprowadzić znajomych, z któregooby sobie życzyli świata...

To była jedyna smutna próbka kraju jaką tu znaleźli; mylimy się, drugą był zapomniany przez nas lekarz powiatowy, młody człowiek, któremu nie dowiedziono żadnej winy politycznej, ale że kończył nauki w czasie rozruchów uniwersyteckich w Moskwie, a należał do stypendystów skarbowych, posłano go w ten kąt zapadły na powiatowego doktora, oddając pod sekretny dozór policyjny.

Sacharow był owocem dojrzałym cywilizacji moskiewskiej, pełnym najdziwniejszych sprzeczności. Umysł to był niepospolity, ale zwichnięty edukacją, jaką tylko Moskwa daje dzieciom swoim: republikanin i despota, demagog i czerwony, a mimo to wierzący w posłannictwo jedyne Rosyi i odrodzenie rodzaju ludzkiego za pośrednictwem dziczy azyatyckiej. Napił się on zawczasu i Hercena i Pogodina i najosobliwszych płodów samorodnych literatury autodydaktów słowianofilów i Proudhona

i filozofii pozytywnej francuskiej i mrzonek niemieckich, czytał Straussa i Renana — ale z tego wszystkiego niestrawioną, nielogiczną utworzył sobie jakąś całość i system podobny do tego, którym właśnie się rząd posługiwał. Sacharow naturalnie Polaków nie cierpiał, mając ich za najzgnilszych posłanników i reprezentantów zgniłej cywilizacji zachodu. Nie żył on w miasteczku z nikim; spełniał obowiązek ściśle, zamykał się z książkami a bawił dyssekcją trupów, których mu lazaret i turma obficie dostarczały. Zapraszany przez sprawnika i jego rodzinę, która na każdego młodego człowieka polowała, przychodził rzadko, mówił mało i pannom zaczepiającym go na różne sposoby, przystępu do siebie nie dawał. Kaznaczej, który z nim jako z człowiekiem uczonym chciał wejść w stosunki, mówił o nim potem, że mu nie wiele brakło do waryacyi. Wogóle szorstki, dziki choć uczciwy, nikogo sobie zjednać nie potrafił w miasteczku: ale go oszczędzano, bo wszyscy go jako lekarza potrzebowali.

Juliusz, któremu stan zdrowia Maryi codzień się zdawał groźniejszym, w kilka dni poszedł go odwiedzić i prosić, aby był łaskaw, nie dając poznać celu w jakim przybywa, zaszedł kiedy do nich i chciał Maryę wybadać.

Sacharow przyjął go milcząco i dziko; wysłuchał i nie odpowiedział, skinął tylko głową. Zastał go wygnaniec nad książką i preparatem jakimś anatomii patologicznej i porzucił nie poruszonego z miejsca. Rozmowa była krótka, jeśli to rozmową nazwać można, mruknął coś i niby się skłonił. Zdawał się jednak rozumieć o co chodziło.

Nazajutrz o południu zjawił się u Juliusza, był nieco jaśniejszej twarzy i dobrze się znalazł, bo upozorował swe odwiedziny tak, że Marya ich celu domyśleć się nie mogła. Juliusz radził się go o siebie, a doktor mało zwracając na pozór uwagi na Maryę, począł z nią mówić grzecznie i wybadał bardzo zręcznie. Sam on nie wiedział dlaczego jakieś tajemne współczucie pociągało go do tych Polaków, może iż się nie skarżyli, nie boleli i godnie znosili nieszczęście.

Mylimy się zresztą może zowiąc to współczuciem, Sacharow który niecierpiał zachodu Europy, a tem samem i Polaków, dobrze już było, że im nie okazał wstrętu, że dla nich stał się łagodniejszym niż zwykle. Z ciekawością spoglądał on na tę parę, szukając w niej wad, które a priori spodziewał się znaleźć: próżności, lekko-

myślności, rozpieszczenia, miękkości i egzaltacji zarazem.

Marya i Juliusz wydali mu się wyjątkiem, ale ich badać postanowił. — Grają przedemną komedję stoicyzmu, pomyślał w duchu.

Próba, którą na Juliuszu uczynić postanowił, była nieludzka, ale zdała mu się usprawiedliwioną, bo nie potrzebował kłamać, aby ją dopełnić. Marya odeszła na chwilę, Juliusz pospieszył z zapytaniem.

— Jakże ją znajdujesz doktorze?

— Nie będę wam krył, bardzo źle — odparł Sacharow — nasz klimat dla tego rodzaju chorób piersiowych bywa zabójczy, droga pogorszyła stan... Mogę się mylić i daj Boże bym się mylił, ale zdaje mi się, że sztuka lekarska niema środków, którymi by ją ocalić mogła... Podróż na Madere, do Nicei...

Juliusz stał blady i nie rzekł słowa, doktor wpatrywał się w niego bacznie długo i spostrzegł tylko drżenie mięśni w jego twarzy.

Słowa nie rzekłszy więcej rozstali się.

— Jestem okrutny — mówił sobie w duchu Sacharow, wracając do domu — cóżby mię kosztowało odpowiedzieć ni to ni owo, a zostawić mu nadzieję? Człowiek ten nie jęknął, cywilizacya więc nie wszystkich

zmięczeza i obiera z siły, nie wszyscy, jak ci trzej, dostają waryacyi, melancholii lub nieuleczonej choroby!!...

Zamyślony poszedł do domu.

Gdy Marya powróciła do pokoju, zastała Juliusza z dwoma łzami na policzkach, ale je otarł prędko, w rozmowie nie dał jej poczuć, że nosił śmierci groźbę na sercu... Ale wieczorem począł powoli namawiać Maryę na podróż do cieplejszego kraju dla zdrowia...

— Jesteś znużona, chora, potrzebujesz wypoczynku — mówił — mnie tu choć tęskno, nie byłoby tak źle, czekając na twój powrót, przywiozłabyś mi z sobą świeże technienie wiosny, zdrowie, wesołość i przyszłość.

— Cóż za urojenie znowu? — odparła kobieta — możeszże ty nawet o tem pomyśleć? chciałżebyś się mnie pozbyć? sądzisz żeby mi na zdrowie poszło jechać bez ciebie, samej, zostawiwszy cię tu na męczarnie samotności, samego, bez opieki? Co za myśl! co za myśl! Czyż sądzisz, że jestem tak chorą? A gdybym nią w istocie była, czyż myślisz, że mi to życie tak drogie, bym je samolubnem odosobnieniem przedłużać pragnęła... Wiesz mój drogi, śmierć dla ludzi, którym życie choć dziś szczęśliwe, jest zgryzotą przez swą prze-

szłość — nie tak straszna jak się zdaje. Dla mnie mogłoby być większe szczęście jak umrzeć teraz przy tobie, nie idąc już dalej, bo cóż znajdę więcej? co lepszego? może mnie tylko spotkać smutek, straty, boleści... Więc... dajmy temu pokój i ciesmy się tem co Bóg dał..

W istocie los dwojga wygnańców nie był tak strasznym jak innych, bardziej osamotnionych lub skazanych na nieustanne stykanie się z dziczą moskiewską. Życie wprawdzie nie było łatwym, ale stało się znośnem, oboje na nie pracować musieli, a trud zajmował godziny, któreby pożarła tęsknota. Jakowlew nieco cywilizowańszy Moskal odstąpił był im wprawdzie mieszkania, ale nie znaleźli sługi, coby się podjąć chciała w gospodarstwie im pomódz, wszyscy chronili się zetknięcia jak z zapowietrzonymi.

Marya więc sama wesoło i ochoczo musiała się podjąć kuchni i tysiąca drobnostek w utrzymaniu domu niezbędnych, czyniła to z zapalem, z niezmierną gorliwością, ale widocznie upadała na siłach. Kaleka bez ręki pomagał jej, siedział przy niej, ale pozostała mu dłoń jedyna nie na wiele czyniła przydatnym. W pole płaszcz nosił drewna, niekiedy na targ chodził, ale w wielu robotach ka-

lectwo zupełnie go ubezwładniało. Ona krzątała się, a na twarz jej występowały rumieńce, potem przychodził kaszel suchy, potem osłabienie i gdy dzień mozolny zbliżał się do końca, gorączka ją paliła, siły opuszczały. Ale duch wiele może nawet w chorobie, a potęga jego często najslabsze ciało czyni potężnem, często samą boleść zatamowuje lub odracza... Marya pragnęła nie dać poznać po sobie że cierpiała, że upadała i udawało jej się to cudownie, dopiero gdy przeszła kres mocy ludzkiej, zapłakana, zrozpaczona, nocą padała na łóżko, czując się codzień gorzej i ciężej chorą.

Sacharów niekiedy przychodził, popatrzał i podziwiał ich.

Za jego usilnem staraniem znaleziono przecie jakąś sługę, która się podjęła u »niechrześcijan« za dobrą zapłatę zamieszkać. Tym sposobem Marya odzyskała trochę swobody, ale niestety! zapóźno... Zdrowie jej już było ostatnim błyskiem lampy blizkiej zgaśnięcia. Z każdym dniem stawała się słabszą, gorączka paląca zwiększała się, rosła, kaszel męczył straszliwy, krew rzucała się ustami... i jednego wieczora, całując w rękę Juliusza, na którego szyję zarzuciła ręce płacząc... skoła...

Nikogo nie było w domu, gdy się to

stało, Juliusz sam martwe ciało zaniósł na łóżko, zamknął jej oczy, złożył ręce i ostatni pocałunek na bladym czole, a potem ukląkł i modlił się duchem u zwłok biednej istoty.

Tak go w ciemności zastał przybyły Sacharow... domyślił się on łatwo wypadku, który był aż nadto przewidziany, a widząc Juliusza tak na pozór spokojnym, tak w boleści trzeźwym, zdumiał się siłą jego duszy... Mimowolnie tknięty litością, przesiedział przy nim całą noc prawie, podziwiając moc z jaką walczył z sobą, twarz jego wydawała rozpacz, która szarpała łono, ale przez usta jeden wyraz szła się nie dobył. — Poleciwszy starania o pogrzebie przyjętej kobiecie, chciał go Sacharow odciągnąć z sobą, aby mu bólu oszczędzić; Juliusz się oparł stanowczo.

— Nie godzi mi się odstąpić jej zwłok — rzekł do doktora — ona mi poświęciła życie, jam winien poszanowanie temu martwemu ciału, którego serce biło dla mnie... Chcę na nie patrzeć, aby jej obraz wyrzył mi się w pamięci, abym zapamiętał tę gorzką chwilę rozstania, która mnie czyni sierotą...

Nad rankiem całe już miasto wiedziało o zgonie Maryi, a najpierwszy przybył

Blum do Juliusza. Był strojny jak na najweselszą uroczystość.

— Winszuję panu — zawołał ściskając Juliusza... — pani ozdrowiała i teraz z tamtego świata odwiedzać nas będzie... poznają się tam z moją żoną... Umrzeć to nic, kochany panie... przesąd, stary przesąd... ludzie nie wiedzą, że to jest przejście do nowego życia...

Na ten raz szaleństwo jego wyglądało bardzo rozumnie. — Juliusza nawet nie raziło; Blum był weselszy niż kiedykolwiek...

Za pogrzebem zjawił się i ów wygnaniec odludek, który z nikim nie żył i nigdzie się nie pokazywał.

Bez księdza, bo katolickiego nie było bliżej nad kilka wiorst, a prawosławny za pogrzebem Polaka iść nie mógł, odprowadzono ciało na smętne mogiłki, położone na łąsem wzgórzu za miasteczkiem.

Tu w kątku osobnym, w którym już para drewnianych krzyżów świadczyła, że komuś Bóg zesłał koniec męczarni w tej pustyni — wykopano mogiłę i złożono w niej biedne ciało niewiasty, nad którym pokłękł Juliusz i długo, długo się modlił. — W tej modlitwie przebiegł całe jej i swoje życie, ale mu ona zrobiła ulgę i natchnęła

silnem postanowieniem. Wstał jakby z tego grobu wionęła nań myśl zmarłej, wyznaczająca mu dalszą drogę..

Blum ukłoniwszy się żółtej mogile z uśmiechem pobiegł do domu...

W miasteczku śmierć wygnanki a szczególnie opowiadanie o ostatnich jej chwilach przez Sacharowa zrobiły głębokie wrażenie. Najprostszy i najmniej wykształceni ludzie są dostępni obrazom prawdziwego i szlachetnego cierpienia, które ich rozbija, dziwi, obudza wkońcu poszanowanie. Sacharow nie mógł słów znaleźć na odmalowanie potęgi ducha, z jaką ona przyjęła śmierć na wygnaniu dobrowolnym, on swą stratę niepowetowaną i sieroctwo. Wprawdzie ta para ludzi wedle jego pojęć była wyjątkiem w świecie cywilizowanym, jak on go sobie wyobrażał, niemniej jednak świadczyła, że zgniły zachód miał choć cząstki zdrowe w sobie. Sacharow przywiązał się z psychologicznych przyczyn do Juliusza, ciekaw będąc stanu jego serca i wrażen jakie na nim wyrze ten wypadek.

Znajdował go w domu nad książką, często na mogiłkach siedzącego spokojnie, przytomnym i panem siebie.

Zrazu mówili z sobą mało, za daleko stali

pojęciami, aby się zrozumieć mogli, wkońcu po kilku tygodniach Sacharow głębiej też w tę duszę pragnąc zajrzeć, na dłuższe go wyciągał rozmowy. Dotykali najrozmaitszych przedmiotów, rozumieli się, ale oba widzieli, że ich całe dzieli światy. Sacharow był Moskalem i nieprzyjacielem cywilizacji tej, którą Moskwa opóźniwszy się przejąć, przeskoczyćby chciała. O całe wieki zacofany naród sądził, iż wyminąć może, czego przyswoić sobie nie potrafił, a chcąc zyskać, musiałby na nowo pójść do szkoły i poczynać od abecadła. Z zarozumiałością wszystkich autodydaktów, Moskal liczył na samorodne siły swego narodu, gdy Juliusz zeń się uśmiechał. On chciał stworzyć nowy świat, aby nie być zmuszonym starego zostać poddanym i dłużnikiem, Juliusz przekonywał, że to są mrzonki próżne — dowodzące tylko nieznamości natury ludzkiej i praw kształtowania się społeczeństw... Z tych kwestyi ogólnych, które wszystkimi boki przylegały do kwestyi polskiej, często zadrasnęli o nią, ale Juliusz rozszerzania się nad nią unikał, co Sacharowa drażniło nie mało. Jakkolwiek różniąc się w wielu rzeczach, oba oni stali się sobie potrzebni, lecz nigdy może nie zbliżyliby się do siebie,

gdyby nie szczególny wypadek, który im trzeciego dał towarzysza.

W parę miesięcy po śmierci Maryi, jednego poranka kibitka pocztowa zrzuciła wpośród rynku starego, siwego, ale krzepkiego jeszcze jegomości, którego zdano na łaskę Bożą, aby sobie mieszkania wyszukał. Był to staraniem jakichś przyjaciół ulaskawiony na wygnanie Jeremi... Dziwny traf losu tu go zapędził.

Starzec mimo kłopotliwego położenia swego, bo pora była niemiła, dzień dżdżysty i wietrzny, zdawał się w najlepszym humorze i uśmiechał widząc przed sobą zamykające wszystkie drzwi i rozstępujących mieszkańców, którzy w nim zaraz poznali nienawistnego Polaka. Horodniczy ze zwykłym sobie grubiaństwem dał mu do wyboru nocować w turmie, na odwachu, lub gdzie mu się będzie podobało, nie czując obowiązku wcale szukać dlań kwatery. Tłomoczki leżały na mokrej ziemi, stary zacierał ręce, gdy nadbiegł Blum, który przywitał Jeremiego jak znajomego.

— Szanownego rodaka! z któregoż świata W Pan Dobrodziej przybywasz?

Stary popatrzał nań, poznał go, przypomniał sobie i przeczuł w nim waryata.

— O tem potem — rzekł — nie możecie mi nastreczyć gdzie przytuliska?

— Ale dlaczegoż nie — odparł Blum — prosiłbym do siebie, tylko że miewam czasem liczne zgromadzenia nieboszczyków, toby panu spokoju nie dawały — ale jestem pewien, że pana przyjmie zacny nasz pan Juliusz... którego kochanka niedawno przeniosła się na cmentarz.

Jeremi pochwycił tę myśl żywo, poszli razem i stanęli potem razem, gdyż oba dla siebie przypadali ze wszech miar... Jeremi był zesłańcem Bożym dla biednego Juliusza, który się trzymał o własnej sile, ale podpory tej wielce potrzebował. Starzec był jak w drodze mówił odmłodzony i pokrzepiony; stan towarzysza wymagający moralnej posługi i posiłku jeszcze go obudził do czynu, stał się więc wodzem dla tej duszy, która walczyła o wyrobienie sobie celu w życiu i środków osiągnięcia go.

Człowiek ten rozumem swym, sercem, charakterem był nieoszacowanym dla zboleiałego skarbem, wiek, praca, doświadczenie zahartowały go na żelazo. Widział jasno, mówił otwarcie i nie bawił się nigdy kosztem słabości ludzkich, ulegając im dla własnego spokoju.

Sacharow przybywając do Juliusza z nalogu, znalazł tu Jeremiego, ta nowa postać, drugi owoc cywilizacyi potępionej, od razu

wzbudził w nim niezmiernie zdumienie i głębokie poszanowanie. Nikt nad starego Jeremiego bardziej na apostoła prawdy nowej epoki stworzonym nie był, czynem i słowem popierał on jasno pojęte zasady, od których go nic odprowadzić nie mogło. Jeremi nadto się czuł silnym, by jak Juliusz sporu, rozprawy i delikatnych kwestyi unikał, owszem szukał on ich, pojmując, że zadaniem rozproszonych było rozsiewać prawdę, głosić ją i szczepić.

W tydzień potem Sacharow, którego ciekawość coraz bardziej ludzie ci drażnili, zaprosił ich do siebie na herbatę.

Rozmowa, która tylekroć kołowała ponad sprawą polską, nad walką żywiołów polskiego i moskiewskiego, nie śmiejąc ich dotknąć, wpadła naostatek na ten przedmiot, Sacharow pierwszy gwałtem ją popchnął na tę drogę. — Ze zdumieniem postrzegł, że Jeremi nie odtrącił wcale wyzwania.

— Mówmy o tem — rzekł — owszem, pan jesteś człowiekiem rozsądnym i wykształconym, tak, że się zrozumieć potrafimy łatwo... Nie na co innego nas Pan Bóg po zimnych waszych stepach rozproszył, jak abyśmy kto jak może, słowem, czynem, cierpieniem, jękiem apostołowali...

— To jest wasze przekonanie? — spytał

zdumiony Sacharow — jak to? po wydłudnieniu kraju, po otrzymanem przez nas stanowczem zwycięstwie, po tylu doznanych klęskach, po widocznym upadku, wy marzycie jeszcze o powodzeniu waszego apostołstwa?

— Nie marzym, szanowny doktorze, ale jesteŃmy go pewni — odparł Jeremi — walka dopiero się rozpoczyna taką, jaką ją Opatrzność mieć chciała, nasza nieopatrna młodzieź poszła z wami na kułaki, ale to był wstęp do rzeczy, który spowodował wygnanie i właściwsze spełnienie naszej misji. Oto co było heroicznego zginęło na polu sławy, co było lichego i małodusznego to poszło na edukację głodu, upodlenia i nędzy za granicę, a co było siewaczy i mężów przyszłości wyście sami rozestali po Rosji dla nawracania jej. Przypomina to zawsze tylekroć cytowaną bajkę o dyable, który ziarno posiane przez człowieka kopytem zagrzebał w ziemię, sądząc, że je stratuje... tymczasem przyspieszył tylko zejście i wzrost jego...

Sacharow milczał tak był zdziwiony...

— Ale my was stratujemy i zgnieciemy! — rzekł.

— Nie — odparł spokojnie Jeremi — my jak wy jesteŃmy mimo woli narzędziami posłusznymi prawa Bożego, które panuje

światu; — prawo to chce mieć, że prawda zwycięża... i to co w nas było i jest prawdą zwycięży.

— Ale jakież dowód, że w was była i jest prawda?

— Czytajcie historię i ucztę się a poznacie, że narody jak wasz przy całej energii żywotnej jaką mają, odrzucające spadek doświadczenia ludzkości, oddzielające się od jej losów i pragnące stworzyć sobie odrębne, nie są nigdy na drodze postępu, dopóki nie wnikną do społeczeństwa co odziedziczyło tradycję, co wychowało się u macierzyńskiej piersi cywilizacji ogólnej. — Polska zginie czy żyć będzie, wywrze wpływ niezmierny na was i zmusi do porzucenia mrzonek, a spojenia się ze światem cywilizowanym. Oto jest misja nasza.

— Kwestya — mówił spokojnie dalej Jeremi — cała się daje jasno postawić w ten sposób.

Moskwa zadławiła Polskę, popełniła występki obrazy praw ludzkości, ale go w sobie uniewinnia potrzebami politycznymi i nie mogąc zwyciężyć Polski, usiłuje ją zniszczyć, wyksterminować. Zdaje się jej, że ku temu najniegodziwszych używając środków jest wytlómaczoną.

Dalej, marzyciele wasi niedowarzeni

wyrozumowali nie mogąc Europy doścignąć, że cywilizacya europejska na nic się nie zdała, nazwali ją zgniłą, chcąc stworzyć państwo moskiewsko-słowiańskie, utopię socyalną i polityczną, społeczność wywiniętą z pieluch jakichś tradycyi moskiewskich, którym za zaród służy gmina pierwotna... Ta gmina, te demokratyczne instytucye niby wyłącznie wasze, są to stare rzeczy i stare łupiny, przez które wszystkie narody przechodziły idąc dalej.

Co więcej, w chwili gdy cały Boży świat dąży do rozbicia się! a wielkie państwa staną się wkrótce niemożliwymi i muszą się rozczłonkować, rozłożyć, ustępując nowej formie bytu politycznego, do której dążą narody — wy marzycie o monstrualnej masie jednolitej Rosyi. — Okupujecie ją czem? gwałtami, wypędzacie Tataków, wyganiacie Czerkiesów, terroryzujecie Polskę, naśmiewacie się z Chochłów i ich marzeń małosyjskich... a koniec końcem nic nie pomoże, wasza potwora moskiewska, której cielsko zaległo od Wisły do Amuru, od Bałtyku do Araratu i Kaspji, rozpadnie się, rozłoży i w proch rozsypie. Idziecie wprost przeciwko ideom wieku w interesie państwowym, któremu poświęciliście dziś nawet pragnienie swobód, jakie w was dawniej mieszkało... chcecie panować światu,

zamierzacie podbijać całe obszary słowiańszczyzny, a nie widzicie, że już dziś to wasze państwo traci równowagę i dłużej jednością być nie potrafi.

Mieliście wielką przyszłość przed sobą..

Stanąć moglibyście na czele uczciwej federacji państw i narodowości słowiańskich, szanując wszystkie i wysoko podnosząc zasadę nietykalności narodowych woleliście dla despotycznego ideału monstra azyatyckiego zaprzedać całą waszą przyszłość.

Macieź siły na stworzenie państwa moskiewskiego?

Bagnety i armaty, darujcie, nie są potęgą organizacyjną, kruszą one opór, ale nie budują nic. — Gdzież jest idea wasza? Panowanie nad światem?... to stara utopia skazana od dawna na pośmiewisko. — Jaką przynosicie zasadę? jaką myśl nową? jaki postęp dla ludzkości? jaką prawdę wyszyjecie na chorągwi waszej?

Bóg i car! to za mało, bo i tych dwoje u was do jednego cara się redukuje, a pozwolicie, że od czasu Cezarów, carów i t. p. dużo ludzkość urosła i w stare pieluchy uwinąć się nie da... Z czem więc idziecie i co przynosicie?... Azyatyckie pragnienie podbojów, z którymi potem inaczej jak eksterminacją rady dać sobie nie możecie...

Sacharow stał i słuchał, ale kraśniał cały, powoli każda myśl raniąca go, wpijała mu się w łono, wybuchnął nareszcie.

— Surowe są te słowa — zawołał — spodziewam się, że mi równie otwartych za złe nie weźmiecie.

— Nie jesteście narodem apostołów, bo nawet nieszczęścia wasze nie zdołały was z wad narodowych oczyścić. — Wszystkie stare grzechy, które odpokutowaliście może rozszarpaniem i niewolą pozostały jak spadkowa choroba po dziś dzień we krwi dzieci. — Nieopatrzni, płosi, zarozumieli, lekceważący wszystko, gorący na chwilę a słabnący, gdy dłuższej i powolnej potrzeba pracy, gdzie macie siły do posłannictwa cywilizacji, której nie możecie się nazwać ostatecznym wyrazem. — Ze zgniłego owego zachodu, wy jesteście może najprzegnilszą częścią.

— Wszystko to jest po części prawdą — odparł Jeremi, uśmiechając się — ale mimo wad naszych wszystkich, mamy to, czego wy mimo cnót i energii waszej nie macie, mamy poczucie dobra, cześć dla niego, poszanowanie człowieka i jego swobody... — ideę *prawa*.

— Dlaczegoż z tem poczuciem swobody człowieka nie daliście jej wieśniakowi waszemu, od 1791 roku o niej prawiać?

— Wina nasza, macie słusność — rzekł Jeremi — dlatego dzisiejsza pokuta, domierzona barbarzyńskimi rękami waszemi, słusnie się nam należała... Na to zgoda... Ale zubożała szlachta nasza, którą jako plugastwo na miazgę chce zetrzeć wasz socyalista Milutyn, odrodzi się ubóstwem, pracą, tyranią waszą. Zginie jej dużo, lecz to co wyjdzie z probierczych ogni, będzie jak stal niepokonane i hartowne... Opatrzność, kochany panie, dokonuje cudów, o jakich się nie śniło nawet najsprytniejszym racjonalistom, oto z ludzi na własnej ziemi rozpieszczonych, nieużytecznych, rozpróżnowanych, na obcej, wśród wygnania stwarza męczenników, apostołów, pracowników i wyznawców prawdy. Widziałem ludzi co szli ze mną skuci na jednym łańcuchu, którzy wyszli z domu upadli na duchu, a czerpali go w nieszczęściu, a spożęźnieli nędzą...

Myślicie, iż sto tysięcy ludzi, z których każdy w swej piersi niesie jakąś cząsteczkę narodowej prawdy, zdobytej wiekami, nie wywrze wpływu na wasze kraje? Mylicie się... Chcieliście nas karać, podnieśliście nas, uświęcili, zrobiliście bohaterów. Uznanie Polski i jej praw nie byłoby wam takiej wyrządziło szkody jak to jej gnienienie i eksterminacya. Przyszłość pokaże jak grubo-

ście się omylili, jak płodną, dla nas była każda szubienica, każda klęska, każda kula wasza, każde barbarzyństwo waszych oprawców...

Sacharow wrzał, usta mu drgały, w głowie plątały się myśli, nie mógł się rychło zebrać na odpowiedź.

— Mówicie żeśmy zgnili, być może — dodał uśmiechając się Jeremi — są w naturze istoty, których zgnilizna daje woń i siłę leczebną, wy to wiecie jako lekarz, czemuż nie mają być narody, których rozkład poszedłby na korzyść ludzkości? — Wiercie mi, dziejów nie robi ani p. Katkow, ani wasze Milutyny, są one wynikiem odwiecznych praw, które się spełniają na odwrót planom zuchwałym, po myśli Boga wiodącej ludzkość do postępu.

Nigdy cofaniem się do prawd przeżytych, jak wasza teoria moskiewska, nie posuwa się naprzód, nigdy to co przeszło nie może być drugi raz na warsztacie, ludzkość idzie, wyrabia pojęcia, oznacza cele i do nich nieprzełamanie dąży. Prawo postępu jest rzeczą, której żaden despotyzm carski powstrzymać nie potrafi, stawiać on będzie zapory, aby wezbrały wody, aby zwiększyła się siła i rozbiła to co stoi na przeszkodzie..

Losy Polski są w rękach Boga, wy się bluzgacie krwią męczeńską, nie wiedząc sami co czynicie, lecz gdyby przyszło paść narodowi ofiarą, wiercie mi będzie ona płodną... a ruiny nasze więcej mają przyszłości niż wasze budowy...

Nemezis historyczna niech reszty dośpiewa...

Warszawa, dnia 10. października 1864.

A Nr 008191



22.11.1982

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.
A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.
Please return promptly.

a
gr

W-wa. 15973/K
1000 bl. à 100 k.

CANCELLED

FEB 10 1983

77390-2-1983

Slav 7115.6.107

My 1 onl;

Widener Library

003405889



3 2044 085 693 224